

Dawn Stewardson

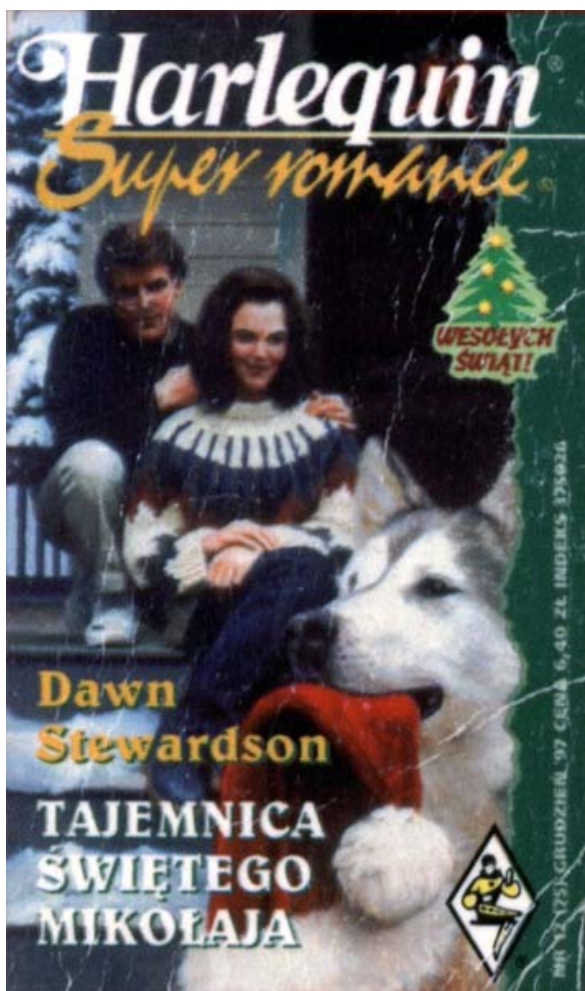
Tajemnica Świętego Mikołaja



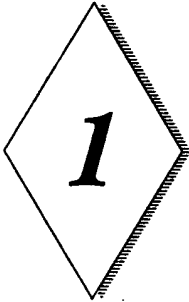
Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
Looking for Mr. Claus
Pierwsze wydanie:
Harlequin Books, 1996
Przekład:
Blanka Kaczberska



ISBN 83-7149-121-2
Indeks 375926



Mike O'Brian starał się ostatnio omijać szefa szerokim łukiem, toteż kiedy po przyjeździe do redakcji zerknął na swoje biurko, poczuł, że uginają się pod nim kolana. Przy komputerze leżała kartka:

O'Brian, czekam w gabinecie.

J.E.S.

– Niech to diabli – zaklął.

Wiedział, że popadł u naczelnego w niełaskę i spotkanie z nim niezbyt mu się uśmiechało.

– Włóż lepiej kamizelkę kuloodporną – poradził mu życzliwie jego kumpel, Howie, który siedział przy sąsiednim biurku. – Stary nie jest w najlepszym humorze.

– A widziałeś go kiedyś w dobrym humorze? – rzucił sarkastycznie Mike.

– Hmm... niezłe pytanie. Ostatnim razem było to chyba w styczniu dziewięćdziesiątego czwartego, kiedy trzęsienie ziemi zdemolowało redakcję „Timesa”.

– Właśnie – zgodził się Mike. – Obaj wiemy, że kiedy się uśmiecha, wtedy dopiero należy mieć się na baczności.

Kiwnął głową reszcie kolegów i ruszył do drzwi. Gabinety wydawcy i redaktora naczelnego znajdowały się piętro wyżej. Przeskakując po dwa stopnie, mówił sobie, że nie ma się o co martwić. Choć ostatnio krążyły

plotki o szykujących się zwolnieniach, nie powinien być pierwszy w kolejce. Jego rubryka w gazecie cieszyła się dużą poczytnością, a ponadto rok temu zdobył nagrodę Pulitzera za serię artykułów o grasującym w Los Angeles gangu. Poza tym cała jego wina sprowadzała się do nadszarpnięcia nieco kasy „Los Angeles Gazette”.

Jednak zanim doszedł na ósme piętro, musiał przyznać, że wyciągnął z kasy odrobinę więcej niż „nieco”. Tak czy owak, nie jest pierwszym reporterem na świecie, który zapłacił za informację, jakiej w końcu nie dostał. I każdy na jego miejscu dałby taką sumę za podobnie chwytliwy materiał.

Naturalnie, ten materiał przestał być atrakcyjny z chwilą, gdy rzekomy informator ulotnił się z forsa, nie pisnąwszy nawet słowa. Atrakcyjność transakcji natychmiast zmalowała do zera. Z drugiej strony Wielki Jim był wciąż tak wściekły, jakby te pieniądze pochodziły z jego własnej kieszeni.

Podchodząc do gabinetu, Mike wyprostował się i wypiął pierś, po czym stanął w otwartych drzwiach i odważnie przekroczył próg.

Jim Souto popatrzył na niego zza biurka. I uśmiechnął się. Widząc to, Mike zapragnął nagle znaleźć się na końcu świata. Jim zaprosił go ruchem ręki do środka i powiedział:

– Zamknij drzwi i siadaj. Mam coś dla ciebie.

Mike’owi cisnęło się na usta pytanie, czy jest to wymówienie, ale ugryzł się w język.

– Powiedz mi – ciągnął naczelny – co wiesz o imperium prasowym Ferrisa Wentwortha?

Mike dopiero po chwili zrozumiał podtekst kryjący się za tym pytaniem. I odetchnął. Nie, żeby pisanie artykułu o magnacie prasowym było dla niego jakimś łakomym kąskiem. Ani żeby nęciła go myśl o wyjeździe do Nowego Jorku w celu przeprowadzenia wywiadu z tym facetem. W połowie grudnia jest tam zimno jak diabli. Ale przynajmniej szef ma zamiar zlecić mu kolejne ambitne zadanie, więc nie jest tak źle.

– No cóż... – odpowiedział, wracając myślami do pytania Jima – oprócz naszej gazety, Ferris Wentworth jest właścicielem jeszcze około dwudziestu pism w tym kraju, nie licząc wielu innych za granicą.

– Otóż właśnie. Są wśród nich pisma większe i mniejsze. Jedne przynoszą zyski, inne straty. Więc postanowił zamknąć te drugie.

Mike kiwnął głową. Na szczęście „Los Angeles Gazette” była dochodowa.

– Zanim to jednak zrobi – ciągnął Jim – chce dać im jeszcze jedną szansę. Te, które potrafią wypłynąć na powierzchnię, dostaną odroczenie wyroku. I tu właśnie zaczyna się twoja rola.

– Moja rola?

– Tak. Wentworth dobrał w pary pisma deficytowe z większymi tytułami,

takimi jak nasza gazeta. I mam wypożyczyć naszej siostrzanej gazetce dziennikarza z nazwiskiem.

– To znaczy mnie?

– Tak. Zrobisz serię artykułów dotyczących wiadomości lokalnych.

– Wiadomości lokalnych? To niezupełnie moja spec...

Ucisząc go ruchem ręki, Jim dodał:

– Nie martw się. Temat będzie miał szeroki oddźwięk. Wentworth ma na oku coś takiego, co podchwyci parę innych gazet.

Te słowa stanowiły pewną pociechę. Wiadomości lokalne niespecjalnie mieściły się w kręgu jego zainteresowań, ale jeśli te mają się odbić szerokim echem, to może nie będzie tak źle.

– Wentworth proponuje jeden artykuł dziennie przez mniej więcej tydzień – ciągnął Jim. – Uważa, że to podniesie sprzedaż i przyciągnie nowych reklamodawców. W każdym razie zostaliśmy przydzieleni do gazety „Kurier Górniczy” w Victoria Falls.

W pierwszej chwili Mike uznał, że się przesłyszał. Wkrótce jednak uśmiechnął się radośnie i powiedział z entuzjazmem:

– To cudownie, Jim. Uwielbiam Afrykę.

– Do diabła, nie mówię o Victoria Falls w Afryce. Mówię o miasteczku w Ontario. W Kanadzie.

Mike czuł, jak mina mu rzednie. Kanada kojarzyła mu się z zimmem, śniegiem i niedźwiedziami polarnymi – a za żadną z tych rzeczy zbytnio nie przepadał.

– Gdzie to dokładnie jest? – spytał.

– W północnym Ontario. Na terenie kopalń złota, niklu i miedzi. – Jim otworzył atlas na biurku i wskazał palcem miejsce leżące gdzieś w okolicach bieguna północnego. – To mała miejscowość – perorował. – Ma jakieś trzy, cztery tysiące mieszkańców. Ale „Kurier” spełnia rolę lokalnej gazety dla wszystkich okolicznych miasteczek.

Mike przez chwilę wpatrywał się bez słowa w atlas, po czym wbił ponury wzrok w Wielkiego Jima.

– Daj spokój, moja wpadka nie kosztowała nas aż tyle pieniędzy. Nie mógłbyś mnie skazać na jakieś inne karne zesłanie?

– Karne zesłanie? – Szef spojrział na niego z miną niewiniątka. – O’Brian, forsa, którą straciłeś, nie ma z tym nic wspólnego. Wysyłam cię tam, ponieważ jesteś człowiekiem samotnym. Nie masz na głowie tych wszystkich przedsięwziętych rodzinnych przygotowań, którymi są obarczeni moi inni reporterzy.

– Zaraz, zaraz... – zaprotestował Mike. – Mam siostrzenice i siostrzeńców. Jestem ich ulubionym wujkiem.

– Sam przynasz, że to nie to samo: To znaczy, jeśli przypadkiem

utkniesz tam na Boże Narodzenie, to...

– Co takiego?!

– Uspokój się. Zostało jeszcze prawie dwa tygodnie do świąt, więc masz mnóstwo czasu. Mówię tylko, że gdybyś jakimś cudem został tam zatrzymany przez zasy py śnieżne lub coś takiego, to nie byłby to taki problem jak dla kogoś z dziećmi.

– Co to, to nie. Nie ma mowy. Wprawdzie jestem bezdzietny, ale nie cierpię zimnego klimatu. Musimy znaleźć kogoś innego. Bywają nawet tacy, co lubią zimę.

– Może kogoś zaproponujesz? Nie zapominając, że to musi być znane nazwisko?

Mike rozpaczliwie próbował w myślach podsunąć naczelnemu któregoś z kolegów, ale wiedział, że podobnie jak on, żaden nie będzie uszczęśliwiony podobnym zadaniem. A więc był ugotowany.

– No trudno – powiedział, uznając, że lepiej poddać się z godnością. – Skoro tak, to wcielę się na tydzień w zdobywcę północy.

– Wyruszasz jutro rano – powiedział Jim, podając mu przez biurko bilet lotniczy. – Lecisz American Airlines do Toronto, a potem Air Ontario do miejscowości zwanej Sudbury.

– Jutro jest piątek trzynastego.

– Nie wiedziałem, że jesteś przesądny. Ostatecznie możesz wylecieć w sobotę, ale wtedy będziesz musiał zostać tam dzień dłużej.

– Zaryzykuję wyjazd jutro. A jak się mam dostać z tego Sudbury do Victoria Falls?

Jim wzruszył ramionami.

– Możesz wypożyczyć samochód i próbować tam dojechać, ale Iggy, to naczelny „Kuriera”, mówi, że tego nie poleca. Drogi są tak oblodzone, że łatwo o wypadek. Radził wynająć pilota awionetki albo coś takiego.

Cudownie, mruknął Mike pod nosem. Jeśli nie znajdzie pilota z awionetką, to „coś takiego” będzie zapewne oznaczać zaprzęg psów eskimoskich.

– A o czym mam tam pisać? – zapytał. – Jaki temat lokalny został mi przydzielony?

Na twarzy szefa pojawił się znowu uśmiech.

– No cóż, O'Brian, czeka cię napisanie poważnego reportażu, do którego będziesz musiał zebrać informacje. Nie marnowałbym twojego talentu na nic innego. Ale już sam Iggy Brooks opowie ci o wszystkim na miejscu. Aha, i weź koniecznie swoje zdjęcie – dodał, kiedy Mike zbierał się do wyjścia. – Iggy chce je zamieścić. Powiedział też, żebyś wziął najcieplejsze ubrania i wysokie, zimowe buty. Mają tam tony śniegu.

– Do diabła, Jim, jedyne wysokie buty, jakie mam, to kowbojki.

Naczelny pożegnał go kolejnym szerokim uśmiechem.

– Cóż, lepsze to niż nic.

Claudia jęknęła, kiedy zbudziły ją dźwięki porannej muzyki, i ze złością zgasiła radio. Potem przypomniała sobie, że jest piątek i może wyspać się jutro. Dziś jednak czuła się bardzo wyczerpana wczorajszą całodzienną pracą i zamartwianiem się przez pół nocy sprawą Świętego Mikołaja. A do Bożego Narodzenia pozostało tylko półtora tygodnia.

Zanim zdążyła jeszcze na chwilę przyłożyć głowę do poduszki, przy łóżku pojawił się Morgan i trącił ją nosem. Znow jęknęła. Jediną pociechą jest to, pomyślała, że jeśli zimny nos jest u psa oznaką zdrowia, to przynajmniej powinna w najbliższym czasie zaoszczędzić na weterynarzu.

Otworzyła jedno oko, na co pies zaczął radośnie machać ogonem, co widząc leżący w nogach łóżka kot imieniem Duch, syknął ostrzegawczo. Wiedząc, że jeszcze chwila, a pacnie go łapą, Claudia wstała niechętnie i wypuściła Morgana na dwór. Potem wzięła szybko prysznic, zjadła małe śniadanie i kiedy szykowała się do wyjścia, Morgan stał już na frontowych schodach, czekając, aby go wpuścić do środka.

– Przynosisz wstyd swojej rasie – powiedziała, otwierając mu drzwi.

Zrobił obrażoną minę, ale to była prawda. Jego przodkowie biegali w zaprzęgu w największe nawet mrozy, lecz Morgan zdecydowanie wolał ciepłe zacisze domu od śniegu i lodu.

Claudia włożyła płaszcz i sięgnęła po buty. A właściwie tylko po jeden but, bo drugiego nie mogła znaleźć, mimo że przeszukała w holu wszystkie kąty.

– Morgan – powiedziała, machając mu botkiem przed nosem – znow to zrobiłeś, tak?

Pies podniósł górną wargę, obdarzając ją jednym ze swych najczarowniejszych uśmiechów.

– Morgan, to wcale nie jest śmieszne – napomniała psa surowo. – Co z nim tym razem zrobiłeś?

Rozciągnął się na podłodze, patrząc na nią z oddaniem – istne wcielenie psiej niewinności.

– Przecież wiesz, że nie mogę siedzieć z tobą codziennie od rana do nocy w domu. Ile razy mam ci tłumaczyć, że jeśli chcesz jeść, to muszę pracować? Rusz się i przynieś mój drugi but.

Pies ani drgnął.

– A niech cię! – mruknęła. – Morgan, mam przed sobą ciężki dzień. Muszę załatwić dwie sprawy, jeszcze zanim pójdę do redakcji.

Ponieważ nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia, udała się na

poszukiwania w głąb domu, biorąc z sobą na wszelki wypadek ten jeden but, żeby Morgan nie schował go, kiedy będzie szukać drugiego.

Chodził za nią z pokoju do pokoju, dopóki nie odkryła jego najnowszej kryjówki i nie wyciągnęła zguby zza kanapy. Wkładając botki, ostrzegła go, co grozi psom, które gustują w tego typu zabawie. Potem wybiegła na dwór, wciągnęła w płuca mroźne powietrze, wsiadła do samochodu i pojechała do pobliskiego miasteczka Kenabeek, by przeprowadzić wywiad z Frankiem Willoughby, który organizował coroczne wyścigi psich zaprzęgów, odbywające się zawsze na tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Kiedy skończyła rozmawiać z Frankiem, udała się do Matachewan zrobić parę zdjęć aniołów ze śniegu, które miejscowe dzieci ulepiły na dziedzińcu kościoła. Potem zawróciła do Victoria Falls, zatrzymując się po drodze na lunch. Kiedy w końcu zaparkowała jeepa przed „Kurierem”, dochodziła druga po południu.

Z początku myślała, że w redakcji nikogo nie ma. Panowała cisza, a Pete Doleman, ich drugi reporter, był nieobecny. Ale gdy tylko zaczęła strząsać śnieg z butów, z gabinetu naczelnego wynurzył się Iggy, promieniejąc tak szerokim uśmiechem, że zamarło w niej serce.

Tylko jedna rzecz mogła wprawić szefa w tak dobry humor, a to oznacza, że nie ma co liczyć na zwłokę w rozszyfrowaniu zagadki Świętego Mikołaja, której tak pragnęła. „Los Angeles Gazette” zdecydowała się jednak przysłać im jakiegoś rzutkiego, dociekliwego reportera.

– Gdzie jest Pete? – spytała, mając nadzieję, że odsunie w niebyt niepomysłną wiadomość.

– Wysłałem go w teren. Ale posłuchaj tylko. „Gazette” postanowiła udzielić nam wsparcia. Zadzwonili do mnie wczoraj, już po twoim wyjściu. Nie zgadniesz, kogo nam dają.

No i tyle mi przyszło z odsuwania tego tematu, pomyślała z goryczą.

– Cóż to, nawet nie zapytasz? – zdumiał się Iggy.

Uśmiechnęła się z przekąsem i spytała:

– No, kogo?

– Mike’a O’ Briana!

Usłyszawszy tę wieść, struchlała jeszcze bardziej. Czytała jego artykuły. Mike O’Brien należy do najlepszych dziennikarzy w Ameryce.

– Omal nie zadzwoniłem do ciebie z tą wiadomością wczoraj wieczorem, ale chciałem zobaczyć twoją minę.

Znów zmusiła się do uśmiechu, pełna obaw, co też jej mina może w tej chwili wyrażać.

– To świetnie – wykrztusiła. – Kiedy on przyjeżdża?

– Jeśli nie będzie jakiegoś opóźnienia w Sudbury, powinien tu być około czwartej. Chciałbym, żebyśmy razem pojechali go powitać.

Kiwnęła głową i odwróciła się, żeby powiesić płaszcz.

– A tymczasem możemy skończyć wydanie niedzielne – ciągnął Iggy. – Napisałem już artykuł wstępny, cały poświęcony sławnemu Mike’owi O’Brianowi i jego misji w naszych stronach. Więc jeśli tylko nie zapomni przywieźć swojej fotografii, pierwszą stronę mamy gotową.

– To dobrze – mruknęła.

Iggy przyglądał jej się uważnie przez chwilę i rzekł:

– Claudia, zdajesz sobie sprawę, że to zmienia nasze podejście do historii ze Świętym Mikołajem. Muszę przydzielić ten temat O’Brianowi i dać mu wolną rękę.

Chociaż była przygotowana na te słowa, poczuła suchość w gardle.

– Myślałam, że nie chcesz, aby zidentyfikowano go zbyt szybko – powiedziała, starając się zachować lekki ton. – Wydawało mi się, że postanowiliśmy dać mu czas na dostarczenie wszystkich prezentów. Mówiłeś, żebym...

– Wiem. Wiem, co ci mówiłem. Ale to było, zanim Wentworth wystąpił ze swoją propozycją. A ta budząca szerokie zainteresowanie, zagadkowa historia wprost idealnie nadaje się, żeby ją przy tej okazji wykorzystać.

– Ale co z ludźmi, którzy jeszcze nie dostali...

– Posłuchaj – przerwał, przeczesując palcami siwiejące włosy. – Chętnie dałbym naszemu Mikołajowi, kimkolwiek on jest, tyle czasu, ile tylko mu trzeba, ale muszę myśleć o naszej gazecie. A ten temat może nas uratować.

Znów kiwnęła głową, cóż bowiem miała powiedzieć? Co innego mógłby Iggy zlecić O’Brianowi? Sprawozdanie z koncertu świątecznego w lokalnej szkole lub z regionalnej wystawy wypieków? Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że przyznanie mu tematu Świętego Mikołaja było jedynym logicznym wyjściem. Ale myśl, do czego to może doprowadzić, przepelniała ją strachem.

– Wiesz co? – powiedział Iggy. – Może my się po prostu niepotrzebnie martwimy. Może wcale nie przestanie doręczać prezentów, kiedy ludzie dowiedzą się, kim jest.

Ale ludzie po prostu nie mogą się tego dowiedzieć!

– Claudia? Wiesz przecież, że robimy to dla dobra gazety, prawda?

– Wiem. Nie mam ci tego za złe. Ale właśnie sobie przypomniałam, że muszę zaraz zadzwonić. W sprawie osobistej. Czy mogę skorzystać z twojego gabinetu?

Przekazała złą nowinę, czekając ze słuchawką przy uchu na jego reakcję i modląc się, żeby oznajmił, że rezygnuje z dalszych dostaw.

– No cóż – powiedział w końcu – wobec tego będę musiał działać trochę

ostrożniej.

Zamknęła oczy, starając się znaleźć odpowiednie słowa, aby go przekonać, że zabawa stała się zbyt niebezpieczna.

– Posłuchaj, to nie jest kwestia zachowania mniejszej czy większej ostrożności. Sytuacja diametralnie się zmieniła. Kiedy w czołówce pojawi się nazwisko Mike’a O’Briana, jego artykuły zostaną przedrukowane przez masę innych gazet należących do Wentwortha. A to znaczy, że jeśli zostaniesz zidentyfikowany, twoje zdjęcie obiegnie całą Amerykę. Rozumiesz?

Znów odczekała, mając nadzieję, że cisza po drugiej stronie oznacza, że się poważnie zastanawia. Bała się tej zabawy w Świętego Mikołaja od początku, bała się, że ktoś odkryje, kim on jest. Jednakże dotąd byłaby to tylko sensacja lokalna i ryzyko nie wydawało się zbyt groźne. Ale teraz, gdyby go zidentyfikowano, znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Myślę, że trochę przesadzasz – odezwał się w końcu.

– Wcale nie przesadzam. Czy ty nie widzisz, że...

– Claudia, naprawdę doceniam twoją troskę, ale ten O’Brian mnie nie złapie. A nawet gdyby, to natychmiast wyjadę.

– Ale jeśli...

– Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. Jak mógłbym przerwać teraz całą akcję, kiedy dałem prezenty tylko połowie dzieci z mojej listy? Pomyśl, jak czułyby się te, które nic nie dostały?

– Do diabła, nie obchodzą mnie w tej chwili uczucia dzieci, tylko ty. Jeśli O’Brian cię nakryje, jeśli cię zidentyfikuje...

Nie chciała kończyć, ale oboje znali groźące konsekwencje.

– Posłuchaj – powiedział. – Kiedy tylko skończę z tymi, co mam na liście, chowam się do mysiej dziury, dobrze? Ty dopilnuj za to, żeby ten O’Brian zbyt szybko nie wpadł na mój trop.

Westchnęła z rezygnacją, wiedząc, że może przekonywać go godzinami. On zresztą i tak nie zmieni zdania. Zawsze był okropnie uparty.

– Mam tego dopilnować? Tylko tyle? – spytała w końcu. – Mówisz, jakby to była bułka z masłem.

Roześmiał się.

– Dasz sobie radę.

– Miejmy nadzieję. Zadzwoń do ciebie później, kiedy już poznam naszego gościa.

Pożegnała się z nim i odbyła jeszcze jedną rozmowę, tym razem krótką. Wychodząc z gabinetu Iggy’ego mówiła sobie, że wszystko będzie dobrze. W końcu i tak nie spodziewała się, że on zechce posłuchać głosu rozsądku. No i nie spadło to na nich bez ostrzeżenia, znienacka, kiedy człowiek nie ma możliwości obrony. Wiedziała, co ma robić. Albo pozbedzie się tego dziennikarza – i to jak najszybciej – albo będzie musiała wprowadzać go w

ślepe uliczki, żeby utrudnić mu dojście do prawdy.

– Claudia? – odezwał się Iggy, kiedy usiadła przy biurku.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Pogodziłaś się już z myślą o przyjeździe tego O'Briana?

– Oczywiście. W pewnym sensie nawet się cieszę. Pewno dużo się nauczę, pracując z nim.

– Pracując z nim? Hmm... Szczerze mówiąc, nie przewidywałem tego. Masz teraz mnóstwo własnej roboty, zwłaszcza tuż przed świętami.

– Znajdę czas na wszystko. I nie chciałabym tak całkiem zrezygnować z tej historii.

– No, nie wiem... Obawiam się, że musimy decyzję zostawić O'Brianowi. Nie mogę narzucać mu współpracownika, jeśli się na to skrzywi.

Starła się zachować spokój, ale wiedziała, że musi pracować z O'Brianem, jeśli ma trzymać rękę na pulsie.

– Iggy, nie rozumiesz, ile to dla mnie znaczy – tłumaczyła szefowi. – Naprawdę zależy mi na tej historii.

– No, cóż... – Zawahał się, w końcu wzruszył ramionami. – Dobrze, wobec tego zrobię, co będę mógł.

– Dzięki – powiedziała, starając się nie okazywać ulgi.

– Trzeba to będzie sprytnie rozegrać – ciągnął. – Nie zaszkodzi, jeśli wtrącis, że mogłabyś wiele się od niego dowiedzieć. Zapewne mu się to spodoba.

– Zapamiętam to sobie.

Między Bogiem a prawdą nie zależało jej, aby czegokolwiek się od niego dowiadywać. Ważne było jedynie to, żeby on nie dowiedział się zbyt wiele.

Na szczęście na lotnisku w Sudbury wskazano Mike'owi Drewa Pattersona, pilota awionetki, który natychmiast zgodził się na krótki lot.

– Jestem do usług – oznajmił Mike'owi. – Zawsze chętnie podrzucam klientów przy forsie tam, gdzie mają fantazję.

Trudno powiedzieć, aby Mike „miał fantazję” lecieć do Victoria Falls, ale to było nieistotne. Drew zaprosił go na siedzenie obok siebie, mówiąc, że będzie miał lepszy widok. Dobrze sobie, lepszy widok na co? Jedyne, co było widać, to nie kończące się szare niebo i białe połacie śniegu poprzecinane lasami i plamami zamrzniętych jezior.

Jedyne warte wzmianki wydarzenie, jakie mogło tu mieć miejsce, to chyba wyścigi skuterów śnieżnych. I zapewne to właśnie przyjdzie mu relacjonować. No i może jeszcze dojdzie sprawozdanie z obiadu świątecznego w kościele lub czegoś podobnego. Ten reportaż kryminalny, który Jim mu obiecał, ograniczy się zapewne do wykrycia, komu dostał się

najlepszy kąsek.

– Przed nami Victoria Falls. – Drew zaczął zniżać się do lądowania. – Lądowisko jest na północ od miasta.

Mike patrzył ponuro przez okno, zastanawiając się, czy „na północ od miasta” oznacza już obszar wewnątrz koła polarnego. Jeśli nie dopisze mu szczęście, to gotów zamarznąć tu na śmierć. Miał na sobie skórzaną kurtkę wojskową – najcieplejsze okrycie, jakie posiadał. Ale już w drodze z budynku lotniska do awionetki zeszywniał z zimna, podobnie jak i kurtka. Najwyraźniej żadne z nich nie było przystosowane do znoszenia temperatury poniżej dwudziestu stopni Celsjusza. Zamiast stóp miał dwie bryły lodu – płytę lotniska w Sudbury pokrywała gruba warstwa śniegu, która nie posłużyła jego butom kowbojskim.

Obserwował zbliżające się miasto, myśląc, że gdyby nie biała pokrywa, Victoria Falls wyglądałoby dokładnie jak tysiące innych miasteczek rozsypanych po całym świecie. Widział regularną sieć uliczek z rzędem sklepów przy głównym trakcie i niskie, niepozorne domki w bocznych alejkach. Nad tym wszystkim górowała wieża kościelna.

Kiedy przelecieli nad budynkami, dostrzegł lądowisko. Wyglądało jak długa ślizgawka, co nie dodało mu otuchy. Drew jednak zgrabnie posadził samolot i nie bacząc na jeden czy drugi lekki poślizg, zaczął kołować w stronę hangaru.

Obok budynku stał samotnie stary, niebieski chevrolet, z którego na ich widok wysiadły dwie osoby: niski, przysadzisty mężczyzna około sześćdziesiątki i o połowę młodsza kobieta, której wygląd wydał się Mike’owi interesujący.

– To pański komitet powitalny – oznajmił Drew. – Iggy Brooks jest naczelnym „Kuriera”. Od pierwszego numeru. A ta pani to jego dziennikarka, Claudia Paquette.

Mike kiwnął głową, nie odrywając wzroku od Claudii.

– Czy ona... jest z kimś związana?

Drew roześmiał się.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Naprawdę? Kobieta o takiej aparycji?

– Kiedyś kogoś miała, ale zniknął z horyzontu jakiś rok temu. Nie sędzę, żeby było tu wielu mężczyzn, którzy mogliby ją zainteresować. Z takich dziur większość młodych ludzi jak najszybciej ucieka na południe. Jest oczywiście Pete Doleman, siostrzeniec Iggy’ego. Słyszałem, że czuje do niej miętę, ale to podobno jednostronne uczucie.

Kiedy awionetka stanęła, Mike przyjrzał się bliżej swojemu komitetowi powitalnemu. A ściślej biorąc, przyjrzał się bliżej Claudii.

Mimo że skrywał ją gruby płaszcz, uznał jej sylwetkę i twarz za bardzo

pociągające. Była średniego wzrostu, a jej długie, kasztanowe włosy wity się w niesfornych kosmykach. Najbardziej jednak zachwycił go jej uśmiech – uśmiech, który rozjaśniał całą twarz, jeszcze bardziej dodając jej uroku. Wyglądała tak ładnie, że Mike odrobinę przychylniej pomyślał o wyznaczonym mu zadaniu.

– Ja nie wysiadam – oznajmił Drew. – Wracam od razu do Sudbury.

– Mam zapisany pański telefon, więc pewno zobaczymy się w przyszłym tygodniu, kiedy będę wyjeżdżał.

Mike podniósł z podłogi zza fotela swój bagaż i otworzył drzwi awionetki.

Choć trudno powiedzieć, by w samolocie było ciepło, mroźne powietrze, które teraz uderzyło Mike' a w twarz, ścięło go prawdziwym lodem. W Victoria Falls było jeszcze zimniej niż w Sudbury i Mike zeskakując na ziemię, poczuł się, jakby dawał nura do ogromnej zamrażarki.

Stawiając ostrożnie stopy – już zdążył się przekonać, że gładkie podeszwy kowbojek nie najlepiej sprawdzają się na tutejszym gruncie – pomachał na pożegnanie pilotowi i skierował się ku czekającym gospodarzom. Przy każdym kroku zamrożony śnieg skrzypiał mu pod nogami.

– Ignatious Brooks... Iggy – przedstawił się naczelny, wyciągając rękę. – A to moja wiodąca reporterka, Claudia Paquette.

Kiedy Mike odwrócił się do Claudii, ta znów się uśmiechnęła – tym razem prosto do niego. I z bliska ten uśmiech był absolutnie zniewalający. Miała piękne usta, pełne i zmysłowe. A jej oczy były koloru mlecznej czekolady.

– Wsiądźmy do samochodu, będzie nam cieplej – zaproponowała.

– Świetny pomysł – zgodził się natychmiast, czując do niej coraz większą sympatię.

Zawsze miał słabość do kobiet, które dbały o to, żeby nie zamarzł na śmierć.

Usiadła z tyłu, używając odwiecznego argumentu, że z przodu jest więcej miejsca na nogi. W gruncie rzeczy jednak miała w nosie jego wygodę, chodziło jej tylko o to, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Ze wstępniaka Iggy'ego dowiedziała się, że Mike O'Brian jest kawalerem, ma trzydzieści dwa lata i zjeździł jako dziennikarz niemal cały świat.

Ale chciała zdobyć o nim jakieś bardziej wyczerpujące informacje. I to szybko.

Jeśli jest coś, co mogłoby odwieść go od współpracy z „Kurierem” i skłonić do powrotu do Los Angeles, musi to odkryć.

Obserwowała go, kiedy wrzucał do bagażnika swoją torbę podróżną i siadał na przednim siedzeniu, nie rozstając się z aparatem fotograficznym i

przenośnym komputerem. Wyglądał inaczej, niż się spodziewała. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała go sobie jako niskiego szatyna. Tymczasem był wysoki, miał ciemnoblonde włosy o jasnych, spalonych słońcem pasemkach i niebieskie, ciepłe oczy. Myślała też, że będzie bardziej suchy i kościsty, nie tak dobrze zbudowany. A na dodatek miał wydatną, mocno zarysowaną szczękę z rodzaju tych, jakie zawsze jej się podobały.

Karcąc się w duchu, że to ostatni mężczyzna na świecie, o jakim powinna w ten sposób myśleć, wtuliła się w oparcie siedzenia.

– Może powiem ci na wstępie kilka słów o naszym „Kurierze” – zaproponował gościowi Iggy, zapalając silnik i kierując samochód ku miastu. – Zatrudnieni na stałe jesteśmy tylko ja, Claudia i mój siostrzeniec, Pete Doleman, drugi reporter. Ale nie ma u nas żadnego nepotyzmu, prawda, Claudio?

– Nic takiego nie zauważyłam.

– Jest też jeszcze oczywiście stary Walter Warnick – ciągnął Iggy. – Pracuje wieczorami, przygotowując kolejne numery. Robi wszystko od makiety przez skład aż po druk. Oprócz tego mamy korespondentów w innych miastach, a w razie potrzeby korzystamy z wiadomości z serwisów agencyjnych. Ogólnie rzecz biorąc, gospodarujemy szczupłymi środkami jak na gazetę codzienną. No, niemal codzienną. Wychodzimy od wtorku do soboty, więc właśnie wtedy pójdzie twoich pierwszych pięć kawałków.

– Pierwszych pięć? Ależ...

– Możesz dostarczyć mi artykuł wstępny dopiero w poniedziałek – przerwał mu Iggy. – To ci da trochę czasu, żeby zapoznać się z tematem.

– Ale jaki jest właściwie mój temat? Jim Souto nie podał mi żadnych szczegółów.

– Mamy dla ciebie prawdziwie tłusty kąsek. Claudia próbuje rozwikłać tę sprawę od zeszłego tygodnia, ale nie ma twojego doświadczenia ani sprytu.

Chociaż uwaga ta była niewątpliwie słuszna, Claudia poczuła się urażona. Wbiła rozwścieczony wzrok w potylicę Iggy'ego, co wyraźnie rozbawiło O'Briana, który zerknął na nią przez ramię. Teraz przeniosła z kolei złość na niego, mierząc go z tyłu jadowym spojrzeniem.

Jeśli jest taki doświadczony i sprytny, to dlaczego ma na sobie tę idiotyczną skórzaną kurtkę zamiast puchowej? A te jego kowbojskie buty wyglądają, jakby już były przemoczone na wylot. Mogłaby się też założyć, że nie wciągnął nawet kałesonów pod dżinsy. Toteż niewykluczone, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, ich drogi gość rozłoży się na zapalenie płuc, co samo przez się rozwiąże jej problemy.

– Nasza historia wygląda następująco – zaczął Iggy, burząc w jej oczach miły sercu obraz Mike'a O'Briana wydającego ostatnie tchnienie. – Gospodarka w tym regionie znajduje się ostatnio w recesji. Trudno znaleźć

pracę, oprócz roboty w kopalni. A kilka miesięcy temu jedna z głównych spółek kopalnianych, Hillstead, zaprzestała wydobywania i zwolniła większość górników. Mówią, że te zwolnienia są tylko czasowe, ale na bezrobotnych padł błąd strach. Wszyscy musieli mocno zacisnąć pasa i tegoroczne Boże Narodzenie zapowiadało się raczej niewesoło, dopóki nie pojawił się nasz Święty Mikołaj.

– Święty Mikołaj?

– Tak go nazwaliśmy, bo rozdaje prezenty rodzinom, które straciły zarobki. Przyjeżdża zawsze w środku nocy, nigdy o innej porze...

– Czy ktoś go widział?

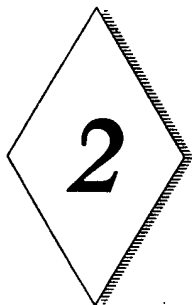
– Wypatrzył go raz pewien facet cierpiący na bezsenność – wtrąciła Claudia.

– Tak – potwierdził Iggy. – A jego skuter śnieżny obudził już kilka osób. Te maszyny w ogóle nie są zbyt ciche, a on swoją jeszcze na dokładkę wyposażył w dzwoneczki. W każdym razie tak oto się prezentuje: biała broda, czerwony kostium i worek prezentów dla dzieci. Wszystkie są pięknie opakowane i dołączona jest do nich karteczka, żeby nie otwierać przed Bożym Narodzeniem. A oprócz tego ma też kosze mrożonych indyków, wędlin, słodczy, wszystkiego co potrzebne na święta.

– Kim on jest? – spytał O'Brian, kiedy stawali przed „Kurierem”. – I dlaczego to robi?

Claudia uśmiechnęła się. Wiedziała, jak Iggy zareaguje, jeśli całkiem nie zaślepiło go nazwisko gościa. I rzeczywiście odwrócił się na fotelu i spojrzał z politowaniem na rozmówcę, jakby miał na końcu języka pytanie, czy jest kompletnym idiotą.

– Kim on jest? – powtórzył. – Dlaczego to robi? Myślałem, że wyrażam się jasno, O'Brian. To właśnie ty masz odpowiedzieć na te pytania. Po to tu przyjechałeś.



Mike położył swój aparat i torbę z komputerem na stole, zerkając kątem oka na Claudię. Zdjęła płaszcz, ukazując zgrabną figurę pod brązowym sweterkiem koloru jej oczu i obcisłymi dzinsami, podkreślającymi szczupłe biodra.

Odwrócił wzrok, zanim zdążyła go przyłapać i rozejrzał się po redakcji. Z przodu stał długi, drewniany blat, przy którym obsługiwano interesantów, na bocznej ścianie widniały drzwi do gabinetu z wytartą mosiężną tabliczką: „Redaktor naczelny”. Na środku pokoju stały dwa wiekowe, dębowe biurka, na których pyszniły się komputery. Gdyby nie to, miejsce wyglądałoby jak scenografia do filmu z lat czterdziestych.

Poczuł zapach farby drukarskiej i przez otwarte drzwi na tyłach dojrzał prasę drukarską – starego dinozaura na ołowiane matryce. Najwyraźniej Ferris Wentworth nie zamierzał tracić pieniędzy na modernizację niedochodowych gazet.

– Nie zapomniałeś przywieźć fotografii? – spytał Iggy, zdejmując jeden z rozciągniętych swetrów, które miał pod kurtką.

– Nie zapomniałem. Jest w samochodzie, w mojej torbie.

– To dobrze, wezmę ją jeszcze dzisiaj. Będzie mi potrzebna do jutrzejszego wydania.

Kiedy podciągał rękawy drugiego bezkształtnego swetra, Mike zagadnął:

– Wracając do naszego Mikołaja...

– Tak?

– Zastanawiam się, dlaczego nie odkryliście jeszcze, kim on jest. To znaczy, jeśli ktoś na taką skalę kupuje tu prezenty i produkty żywnościowe...

– Nie kupuje ich u nas – wyjaśniła Claudia.

– A więc gdzie?

Wzruszyła ramionami.

– Może w Sudbury. Albo w którymś z innych większych miast, nie tak znów odległych.

– Ale wkłada też do koszy z żywnością trochę gotówki z prośbą, aby ludzie zaopatrzyli się za nią w lokalnych sklepach – dorzucił Iggy. – Nie chce, żeby nasi kupcy ponieśli straty. Wygląda na to, że pomyślał o wszystkim. Ale wracajmy do twojej serii. Chciałbym ci powiedzieć, jak ją sobie wyobrażam.

Mike kiwnął głową, chociaż wołałby, żeby Iggy powiedział mu, co miał na myśli, wspominając w samochodzie o pierwszych pięciu artykułach. Nie wyobraża sobie chyba, że może ich być więcej, bo nawet pięć to już o cztery za dużo. Zaś sentymentalny Święty Mikołaj nie mieścił się po prostu w sferze zainteresowań Mike'a O'Briana.

Iggy podsunął mu stosik cienkich pisemek.

– To parę naszych ostatnich numerów. Przeczytaj, co Claudia już napisała na ten temat, ale wołałbym, żebyś przyjął inne podejście.

– To znaczy?

– Widzę każdy z twoich artykułów jako kolejny rozdział zagadki. Codziennie opiszesz, jak jeden za drugim odrzucasz poszczególne tropy, co pozwoli ci zaprezentować czytelnikom, w jaki sposób wykorzystujesz swoje zdolności śledcze, żeby osaczyć Mikołaja. Ale każdy z artykułów będzie się kończyć znakiem zapytania, bo on wciąż będzie nieuchwytny.

Mike bez słowa znów skinął głową, powstrzymując się przed zadaniem Iggy'emu pytania, jak dalece – jego zdaniem – trzeba mieć rozwinięte zdolności śledcze, żeby znaleźć jakiegoś faceta, który biega po mieście w jaskrawoczerwonym przebraniu.

– Końcowy rozdział nastąpi naturalnie, kiedy już go zidentyfikujesz. Wtedy powiesz czytelnikom, kim on jest i czym się kierował.

– No dobrze – powiedział Mike wolno. Zidentyfikuje tego osobnika zapewne już jutro, ale jakoś uda mu się rozwodnić tę historię na tygodniowy cykl.

– Musimy też wiedzieć, skąd miał forszę na to wszystko – ciągnął Iggy. – To jedna z rzeczy, która mnie naprawdę zdumiewa. Nigdy nie myślałem, że ktoś ma tutaj większe pieniądze.

– Oprócz Nilssonów – wtrąciła Claudia.

– Tak, ale wiemy, że to żaden z nich.

Mike nastawił uszu.

– Kto to są Nilssonowie?

– Nasi miejscowi milionerzy. Dwaj bracia, którzy dorobili się majątku na komputerach. Potem wycofali się z interesów, zbudowali sobie dom nad jeziorem pięćdziesiąt kilometrów od najbliższego miasta i przenieśli się w pustelników.

– Iggy, nie opowiadaj. Sam wiesz, że nie są żadnymi pustelnikami – zaprotestowała Claudia. – To prawda, że rzadko pokazują się w mieście – zwróciła się do Mike’a – ale są całkiem towarzyscy. Mój ojciec często jeździ do nich na pokera.

– A skąd wiecie, że to nie oni bawią się w Świętego Mikołaja?

– Bo to para skąpych sukinsynów – warknął Iggy, zanim Claudia zdążyła odpowiedzieć. – Nawet na te swoje partie pokera każą gościom przynieść piwo.

– Wcale nie każą – sprzeciwiła się Claudia. – Goście przynoszą, bo chcą.

– Tak czy owak, w ich głowach nie zaległa się nigdy najłżejsza altruistyczna myśl.

– Ale jeśli nikt inny w okolicy nie ma pieniędzy – powiedział Mike – to...

– Możesz mi wierzyć – przerwał mu Iggy – że to nie Nilssonowie. A teraz, wracając do twoich artykułów, chciałbym, żeby były ciepłe i pełne humoru. Idące w parze z atmosferą Bożego Narodzenia.

Mike odwrócił głowę, żeby Iggy nie widział, jak zaciska zęby. Jego specjalnością były reportaże wojenne, krwawe zamachy stanu i tajemnice seryjnych morderstw. Jeśli tutejszy redaktor naczelny chciał kogoś piszącego ciepło i z humorem, to powinien był poprosić o przysłanie mu Dave’a Barry’ego. Spojrzał na niego ze złością właśnie w chwili, gdy Claudia dźgała swojego szefa w plecy.

– Hmm... jeszcze jedno – wykrztusił Iggy. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żeby Claudia pracowała z tobą.

To najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić, pomyślał Mike. Ale wiedział, że lepiej nie okazywać żadnej kobiecie zbyt wielkiego entuzjazmu, więc odparł z ociąganiem:

– Bo ja wiem... Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł. Zawsze sam wykonuję swoje zadania.

Claudia kiwnęła głową.

– Tak właśnie myśleliśmy. Ale ja tu wszystkich znam i mogłabym pomóc ci rozwiązać języki. Poza tym będziesz potrzebował kogoś, kto ci obwiezie po okolicy.

– Nie czuj się zobligowany – wtrącił Iggy. – Sądziliśmy tylko, że może przyda ci się pomocna dłoń, gdyby nasz Mikołaj sprawił ci tyle kłopotu co Claudii.

– Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że szybko poradzę sobie z tą sprawą.

Właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać. Zakładając, że od razu zidentyfikuję tego człowieka, nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym dał ci cykl artykułów i zmył się stąd?

– Masz na myśli powrót do Los Angeles? Zanim ukaże się twój ostatni artykuł?

– No właśnie.

– Co to, to nie – powiedział Iggy, potrząsając głową. – Nie ma mowy. Jeśli wyjedziesz, wszyscy będą od razu wiedzieć, że rozwikłałeś naszą małą zagadkę w mgnieniu oka. Nie możesz ruszyć się stąd wcześniej niż w przyszłą sobotę.

– Ale...

– Nie chodzi mi tylko o tutejszych mieszkańców – przerwał Iggy. – Takie wieści w mass mediach rozchodzą się szybko. Twój wyjazd oznaczałby, że cały cykl jest jednym wielkim oszustwem i wystawiłby nas na pośmiewisko.

– Ale...

– Musisz zostać tu przynajmniej przez tydzień, O'Brian. Pięć artykułów, od wtorku do soboty. To jest minimum, na które zgodziliśmy się z Jimem Souto.

– Minimum? – spytał Mike z niechęcią, słysząc, że O'Brian położył nacisk na tym słowie. Iggy potwierdził.

– Souto chyba wspominał ci, że zostaniesz tu, dopóki nie wywiązesz się z zadania? Nawet gdyby to miało potrwać do Wielkanocy! Ostatni artykuł musi przynieść odpowiedź na wszystkie pytania, inaczej cały cykl zawiśnie w powietrzu.

– To prawda – przyznał Mike, marząc w duchu o zamordowaniu Wielkiego Jima.

Oczywiście nie ma mowy, żeby odnalezienie tego ich Mikołaja zajęło mu więcej niż tydzień, ale gdyby jakimś cudem tak się stało? Mimo niewiary w taką możliwość postanowił czym prędzej skorzystać z oferty Claudii, zanim ta się rozmyśli.

– Dobrze, Claudio – powiedział. – Nic mi nie będzie, jak raz skorzystam z czyjejś współpracy. Zwłaszcza że już pracowałaś nad tą sprawą i nie byłoby w porządku tak całkiem ci ją zabierać.

– No cóż... bo ja wiem... Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu, Mike?

– Jakoś to przeżyję. Ale tak czy owak chciałbym mieć własny samochód. Dużo pracuję w nocy i trudno oczekiwać, żebyś służyła mi za szofera przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Własny samochód, pomyślała Claudia ze zgrozą. Będzie mógł jeździć bez niej w nocy – czyli wtedy, gdy Mikołaj rozwozi prezenty. Nic z tego: Nie może mu pozwolić myszkować Bóg wie gdzie. Musi mieć go na oku cały

czas. Ale jak to zrobić?

Kiedy wróciła myślami do pokoju redakcyjnego, Iggy właśnie mówił:

– Zarezerwowałem ci pokój w hotelu „Silver Dollar”, O’Brian. Zaprosiłbym cię do siebie, gdyby nie to, że moja żona niedawno przeszła operację. Już wraca do zdrowia, ale nie jest jeszcze na tyle silna, żeby móc kogoś gościć.

– Nie ma problemu, w hotelu będzie mi doskonale.

– Cóż, „doskonale” to może za dużo powiedziane, ale nic lepszego w tym mieście nie mamy.

– Sypiałem już na tyłach ciężarówek i w glinianych chatach. Nic mi nie będzie.

Claudia patrzyła na niego ponuro, widząc tylko jeden sposób, żeby nie spuszczać go z oka. Ale ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to ten przemądrzały typ pod jej dachem.

Nie, poprawiła się w duchu. To była przedostatnia rzecz. Ostatnią rzeczą było odnalezienie przez niego Świętego Mikołaja. Więc chociaż mogłaby przysiąc, że będzie tego żałowała, postanowiła zaryzykować.

– „Silver Dollar” to naprawdę podłe miejsce. Mam w domu pokój gościnny i drukarkę, której możesz używać. W hotelu nie znajdziesz żadnych udogodnień technicznych.

Na twarzy Iggy’ego odmalowało się zdumienie, zaś mina O’Briana nasunęła jej na myśl oblizującego się kota i Claudia natychmiast zapragnęła zapaść się pod ziemię.

– To bardzo miło z twojej strony, naprawdę bardzo miło. To właśnie najbardziej lubię w małych miasteczkach. Ludzie są tacy przyjacielscy.

Niech to diabli! Łypał na nią pożądliwie, nawet się nie krępując. Nie spodziewała się, że pożałuje swojej oferty już po pięciu sekundach, ale ten facet najwyraźniej zbyt wiele sobie wyobraża.

Musi się jakoś z tego wyplątać. Nawet gdyby pozostawało jej trzymać wartość przed hotelem. Tak czy owak, to będzie mniejsze zło.

– Powinnam była zapytać wcześniej, ale czy nie jesteś przypadkiem uczulony na psią sierść?

Pokręcił przecząco głową.

– A na koty? – spróbowała jeszcze.

– Nie. Jestem uczulony jedynie na puch. Kiedyś w Kostaryce utknąłem w ptaszarni i dostałem takiego napadu kaszlu, że omal nie umarłem.

Iggy się roześmiał, a Claudia zaczęła przemyślać nad pożyczaniem od Pete’a jego papużek. Ale to nie był dobry pomysł. Jej kot, Duch, w ciągu dwóch minut rzuciłby się na klatkę i wystraszył je na śmierć.

– Mogę spać bez poduszki – zaznaczył Mike. – Więc jeżeli nie masz wkładu z gąbki, to nic nie szkodzi.

– Chyba mam – przyznała niechętnie.

– Tym lepiej. A więc załatwione. Jeśli nie jestem ci już potrzebny – zwrócił się do Iggy’ego – to reszty szczegółów dowiem się od Claudii.

– W porządku. W piątek zawsze zostaję w redakcji trochę dłużej, w razie gdyby napłynęły jakieś wiadomości z ostatniej chwili do sobotniego wydania. Odprowadzę was tylko do samochodu i wezmę to zdjęcie. A wy jedźcie już do domu i bawcie się dobrze.

Akurat, pomyślała Claudia.

Było dopiero parę minut po piątej, ale nad Victoria Falls zaczął już zapadać zmrok. Main Street była skapana w jasnej poświacie latarni, ustrojonych świątecznie zielonymi girlandami, a w witrynach sklepowych mrugały wesoło kolorowe lampki.

Ten niezmacony spokój małego miasteczka, pomyślał Mike, zmierzając w stronę samochodu Iggy’ego, tak różni się od zgiełku i hałasu Los Angeles, że równie dobrze mógłbym się znajdować na innej planecie. Jakiejś bardzo zimnej planecie.

Wygrzebał z torby swoje zdjęcie i podał je Iggy’emu, który nagle zamarł z wyciągniętą ręką.

– Słyszeliście?

– Co takiego?

– Wydawało mi się, że dobiegł mnie skądś dźwięk dzwoneczków.

Cała trójka zastygła bez ruchu, w końcu Claudia przerwała ciszę:

– Iggy, nic nie sły...

– Ciii! – syknął, pokazując palcem na ulicę. Mike patrzył, nie wierząc własnym oczom. Pół przecznicy od nich z bocznej uliczki wyjechał ktoś na skuterze śnieżnym. Ktoś z długą białą brodą, ubrany w kostium Świętego Mikołaja. Zatrzymał się pod latarnią i spojrzał prosto na nich.

– To on – szepnęła Iggy. – To nasz Mikołaj. O’Brian, możesz zrobić mu zdjęcie?

Mike zaczął się zмагаć z futerałem, lecz palce miał tak zmarznięte, że z trudem nimi poruszał. Będzie potrzebował trochę czasu, żeby nastawić ostrość, ale jeśli ten ktoś jeszcze chwilę poczeka...

Ten ktoś jednak nie poczekał. W powietrzu rozległ się dźwięk dzwoneczków i Święty Mikołaj, pomachawszy im wesoło ręką, zniknął w ciemnościach.

– Nie pojedziemy za nim? – gorączkował się Mike.

– Jasne! – przytaknął Iggy. – Ale weźmiemy samochód Claudii. Ma napęd na cztery koła. Chodźcie za mną – dodał, ruszając przed siebie ze zdumiewającą prędkością.

Mike pobiegł za nim, zupełnie zapominając o swoich śliskich podszwach i ani się obejrzał, jak wylądował z całym impetem na oblodzonym chodniku.

– Nic ci się nie stało? – spytała Claudia, zatrzymując się nad nim.

– Tylko się potłukłem.

– Szybciej! – ponaglał ich Iggy.

Postępując z bólu, Mike z trudem stanął na nogi i pokuśtykał do stojącego nieopodal odrapanego, starego jeepa, w którym Iggy zajął już tylne miejsce.

– Siadaj z przodu, O’Brian – zarządził. – Daj mi twoją torbę.

Claudia zapaliła silnik i szerokim łukiem zawróciła, ruszając w pogoń i omal nie rozbijając po drodze stojącego przy chodniku auta.

Pamiętając, że jest piątek, trzynastego, Mike szybko zapiął pasy.

– Pospiesz się! – wrzeszczał Iggy z tylnego siedzenia. – Ma nad nami przewagę.

Claudia nacisnęła pedał gazu i wystrzeliła jak rakieta tylko po to, aby już po chwili zahamować gwałtownie przed psem, który wybiegł na ulicę. Mike pomyślał, że gdyby nie zapiął pasa, byłaby z niego mokra plama.

Uchwycił się kurczowo podłokietnika, rozumiejąc już, czemu samochód jest taki zdezelowany. I czemu Iggy kazał mu usiąść z przodu. Sam nie miał ochoty ryzykować życia.

Przemknęli przez miasto i wjechali na drogę prowadzącą na autostradę. Nagle Claudia znów ostro zahamowała, odbijając się od wysokiej śnieżnej bandy. Kiedy rzuciło nim o drzwi, Mike, dostatecznie już obolały, syknął:

– Do stu diabłów, Paquette, czy ktoś ci już mówił, że jeździsz jak wariatka?

Posłała mu lodowate spojrzenie i zwróciła się do Iggy’ego:

– Co dalej? Widziałeś, w którą stronę skręcił?

Mike rozejrzał się na prawo i na lewo, ale daleko na autostradzie widać było tylko światła jakiegoś samochodu. To wszystko.

– Zgubiliśmy go – powiedział Iggy. – Musiał pojechać jakąś boczną drogą.

– Ale o co mu, do cholery, chodziło? – spytał Mike. – Nie widziałem żadnych prezentów. I mówiłeś, że pokazuje się tylko w nocy.

– Bo tak było. Aż do dzisiaj.

– Pomachał nam – przypomniała im Claudia. – Jakby chciał nas przywabić.

– No właśnie.

– Co „no właśnie”? – zdenerwował się Mike. Nie lubił, kiedy ludzie rozmawiali skrótami, których nie rozumiał.

– Myślę, że usłyszał o twoim przyjeździe wyjaśnił Iggy – i chciał ci rzucić wyzwanie.

– Wyzwanie? To znaczy, chciał mi powiedzieć, że go nie wytropię?

– Tak mi się wydaje – potwierdził Iggy.

W drodze powrotnej Mike nie odezwał się już ani słowem. Był

najwyraźniej tak rozszoszczony, że Claudia z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Nie zasługiwał może na miano typowego aroganta, ale wiedziała, że spodziewał się rozwiązać ich śmieszłą lokalną zagadkę jednym pstryknięciem palców. Oczywiście, już ona się postara, aby spotkała go mała niespodzianka.

Tymczasem czerpała satysfakcję z tego, jak przytarto mu nosa. Wolałaby jednak wiedzieć, co się właściwie dzieje. Wbrew temu bowiem, co sądził Iggy, mężczyzna na skuterze śnieżnym nie był ich Mikołajem. Czyżby to znaczyło, że teraz już dwóch Świętych Mikołajów buszuje po miasteczku?

Potrząsnęła głową. Miała dość zmartwień bez dodatkowych komplikacji.

Kiedy stanęła przed „Kurierem”, Iggy szybko wysiadł z samochodu, mówiąc, że musi przerobić artykuł wstępny.

– Całe szczęście, że to się wydarzyło, zanim go wysłałem – powiedział. – Bo właśnie z niego nasze siostrzane gazety dowiedzą się, O’Brien, że twój cykl zaczyna się we wtorek. Przedrukują mój artykuł w swoich niedzielnych albo poniedziałkowych wydaniach, tak na zachętę. Więc to wyzwanie spadło nam jak z nieba, dodając całej sprawie dodatkowej pikanterii.

Mike mruknął coś pod nosem.

– Do zobaczenia w poniedziałek – dorzucił Iggy. – Masz tu moją wizytówkę, O’Brien, gdybyś chciał się ze mną skontaktować.

Z tymi słowami zatrzasnął drzwi samochodu i pospieszył do budynku.

– Czy sądzisz, że uda nam się dojechać do twojego domu bez żadnych dalszych sensacji? – spytał Mike, wkładając wizytówkę do portfela.

Do jej domu. To przypomniało Claudii, że muszą sobie coś wyjaśnić. Zapaliła światło w samochodzie i spojrzała na swojego gościa. Miał na twarzy pożądlivy uśmiech, który ściał ją lodem. Wiedziała dokładnie, o czym myśli i wcale nie była tym zachwycona.

– Posłuchaj – zaczęła. – Zanim ruszymy, chcę postawić sprawę jasno. Zaoferowałam ci pokój gościnny tylko dlatego, że „Silver Dollar” to speluna. Koniec, kropka, na nic więcej nie licz.

Zdumiona mina, jaką przybrał Mike, warta była Oscara.

– Paquette, nie myślisz chyba, że wyobrażałem sobie... Do diabła, potrafię rozróżnić zaproszenie do łóżka od uprzejmości. I zapewniam cię, że z mojej strony nic ci nie grozi.

– To dobrze. Żeby nie było żadnych niedomówień.

Poczuła, że się czerwieni, więc zgasiła szybko światło i wyjechała na ulicę.

Chcąc zmienić temat, powiedziała:

– Idę dziś wieczorem na kolację do mojego ojca i jego drugiej żony. Jeśli nie chcesz ryzykować zdrowia w restauracji hotelowej, co stanowczo

odradzam, to chodź ze mną.

– Masz macochę, tak? Dobrą czy złą?

– Lucille jest w porządku.

– Masz szczęście. Moi rodzice są rozwiedzeni i dostała mi się macocha z piekła rodem. Moje dwie siostry zaczęły snuć mordercze plany już po spędzeniu z nią pierwszego wieczoru.

– Ale ciebie się nie czepia?

– Owszem, czepia. Czasem jednak udaje mi się uniknąć spotkań rodzinnych, kiedy wyjeżdżam w teren, więc nie jestem tak narażony na jej humory jak siostry.

– Natomiast Lucille jest wspianała. Zawsze była dla mnie kimś bliskim. Przyjaźniła się z moją matką przed jej śmiercią.

– Dawno umarła twoja matka? – spytał Mike łagodnie.

– Dziesięć lat temu. – Skręciła w swoją uliczkę. – Ojciec poślubił Lucille jakieś pięć lat temu i dobrze im razem. Sam zobaczysz.

– Nie sprawisz im kłopotu, przyprawdzając gości?

– Nie. Zadzwoń i powiem, że zatrzymałeś się u mnie. Ale nawet gdybyś mieszkał gdzie indziej, i tak chcieliby cię poznać.

Wjeżdżając na podjazd przed domem, zastanawiała się, co by O'Brian zrobił, gdyby wiedział, że już jest oczekiwany na kolacji, a ojciec przygotowuje się do realizacji ich wspólnego planu.

Kiedy zaparkowała za skrytym pod brezentową płachtą skuterem śnieżnym, Mike siedział jeszcze przez chwilę bez ruchu, patrząc przez okno. W księżycowej poświacie mały, biały domek Claudii wyglądał jak ze świątecznej pocztówki. Na drzwiach wisiał wielki, zielony wieniec, a stojąca przed domem jodła migotała tysiącem białych lampek choinkowych.

– To wygląda naprawdę pięknie – powiedział. Uśmiechnęła się.

– Lubię Boże Narodzenie.

Patrząc na dom, zaczął sobie wyobrażać, jak będzie wyglądało ich wspólne mieszkanie. Na samą myśl o tym poczuł podniecenie. Może rzeczywiście zaprosiła go tylko z uprzejmości. Ale nawet jeśli to prawda, tydzień tu sam na sam...

W tym momencie usłyszał z domu szczekanie psa – co mu przypomniało, że nie będą jednak tak całkiem sami.

– To Morgan – wyjaśniła Claudia, wysiadając. – Jest trochę nadopiekuńczy, ale nie masz się czego bać. Pilnuj tylko aparatu fotograficznego.

Stęskając z bólu, Mike wygramolił się z samochodu, wpakował futerał z aparatem pod pachę, wziął z tylnego siedzenia torbę i pokonał sztywno dwa stopnie dzielące go od drzwi wejściowych. Wszedł do środka i nagle zatrzymał się w pół kroku. Serce waliło mu jak młot.

– Czy... Morgan jest wilkiem? – zapytał najspokojniej, jak umiał.

Trudno było jednak zachować spokój, patrząc na odsłonięte kły dzikiego zwierzęcia i słysząc jego gardłowe warczenie.

– Nie bądź niemądry – powiedziała Claudia, zapalając światło. – To pies eskimoski. One tylko wyglądają jak wilki. Uspokój się, Morgan – zwróciła się do zwierzęcia. – To przyjaciel.

Morgan zaczął pełznąć do przodu, nie przestając warczeć.

Mike od niechcenia postawił na podłodze między nimi torbę.

Zwierzę staranowało ją i dopadło Claudii, zamieniając się natychmiast w jeden wielki, pokryty szarą sierścią kłęb czułości.

– Widzisz? – powiedziała, przyklękając, żeby go pogłaskać. – To groźne powitanie to tylko taka zabawa.

– Rozumiem.

Doskonale odegrana zabawa. Gdyby ten pies mieszkał w Hollywood, mógłby zarobić fortunę, występując w filmach.

Claudia wypuściła Morgana na dwór ku pełnej aprobachie Mike'a, ściągnęła botki i postawiła je na wycieraczkę. Chciał zrobić to samo, ale kiedy się pochylił, aż syknął z bólu.

– Masz tak mokre buty, że trudno ci je będzie zdjąć – powiedziała, wieszając płaszcz. – Lepiej usiądź.

Usiądź, dobre sobie. Na jego obolałym siedzeniu. Ale nie miał wielkiego wyboru, opuścił się więc ostrożnie na podłogę... i jęknął:

– Ten upadek trochę ci dał w kość, co?

– Trochę – przytaknęła, starając się wyciągnąć nogawki dzinsów z butów. Kiedy zeszywniałe z mrozu ani drgnęły, spróbował zrzucić but z nogi, lecz odniósł wrażenie, że jest przycementowany do stopy.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała w końcu Claudia.

– Obawiam się, że tak.

Przyklękła przed nim i zaczęła ściągać mu buty.

– Są przemoczone na wylot. Masz jakieś inne, żeby wyjść z domu?

– Mam jeszcze trapey, ale niezbyt wysokie.

– Wszystko będzie lepsze niż to. Boże drogi, twoje dzinsy są mokre aż do kolan. A skarpetki całkiem zlodowaciały. Czy ty w ogóle czujesz stopy?

Nie był pewien, ale zanim mógł się przekonać, zdjęła mu skarpetki i zaczęła obmacywać palce.

– No jak?

– Coś niecoś czuję. Jakby przesywało je tysiące igiełek.

– Odmroziłeś nogi.

– To chyba nie jest śmiertelne? – zażartował. Nie uśmiechnęła się. Potrząsnęła tylko głową i powiedziała:

– Śmiertelne nie, ale muszę cię wziąć do lekarza. Może trzeba będzie

dokonać amputacji, zanim wda się gangrena.

Poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Żartowałam, O'Brian.

– Bardzo śmieszne – mruknął, myśląc, że chętnie poszedłby z nią popływać u wybrzeży Santa Monica i kilkaset metrów od brzegu powiedział, że morze jest tu pełne rekinów.

– Nie wyglądają nawet najgorzej – oznajmiła – ale lepiej weź od razu gorącą kąpiel.

Wstała i ruszyła w głąb domu.

Podniósł się ostrożnie, wziął torbę i pokuśtykał za nią, z każdym krokiem czując narastające mrowienie. Starając się to ignorować, zajrzał po drodze do saloniku, który wyglądał bardzo przytulnie, pełen miękkich mebli i kolorowych obrazów.

– Szkoda, że nie ma w nim jeszcze choinki – powiedziała Claudia, zerkając na niego przez ramię. – Byłam bardzo zajęta, ale już wkrótce ją wstawię.

Kiwnął głową. Kto jak kto, ale Claudia na pewno jest osobą, która nie może się obyć bez choinki.

Łazienka była na końcu korytarza. Po obu jej stronach, naprzeciwko siebie, usytuowano dwie sypialnie. Claudia puściła wodę do wanny i wróciła na korytarz.

– To mój pokój – wskazała na prawo.

– Na automatycznej sekretarce są jakieś wiadomości – zwrócił jej uwagę, w razie gdyby nie zauważyła czerwonego światełka migającego w ciemnościach.

– Uhm... Zawsze są. Jeśli jakieś dziecko zbudowało bałwana, zaraz ktoś dzwoni, że nasza gazeta powinna zamieścić zdjęcie. W każdym razie – dodała, odwracając się – tu po lewej jest pokój gościnny.

Zapaliła światło, ukazując białego kota leżącego na łóżku. Spojrzał na nich, zamrugał, zeskoczył na podłogę i oddalił się z godnością.

– To był Duch – przedstawiła go. – Nie jest zbyt towarzyski, więc pewno będzie trzymał się od ciebie z daleka.

– Koty mi nie przeszkadzają.

– Rozbieraj się i wskakuj do wanny. Poleż przynajmniej pół godziny. Ojciec i Lucille jadają późno, więc nie musimy się spieszyć. Mam zamiar przed wyjściem napić się jeszcze kawy. Zrobić ci też?

– Jeśli jesteś taka miła.

Odchodząc, dorzuciła jeszcze:

– Nie dolewaj sobie gorącej wody, bo może popękać ci skóra.

– Czyżbyś w wolnych chwilach praktykowała medycynę?

– Nie wymądrzaj się, tylko rób, co mówię. Odmrożenia nie są tu czymś

niezwykłym. Każdy dzieciak wie, jak należy postępować.

Wszedł do łazienki, zamknął drzwi i rozebrał się, dopiero wtedy zdając sobie sprawę, że nie wziął z sobą ubrania na zmianę. Ręczniki na półce były wszystkie różowe i niezbyt duże, ale w końcu ma do pokoju tylko dwa kroki. A Claudia zapewne i tak parzy teraz w kuchni kawę.

Owinął się w pasie jednym z ręczników i uchylił lekko drzwi. W jej pokoju było ciemno. Droga wolna. Wyszedł na korytarz i dopiero wtedy usłyszał jej głos z ciemnej sypialni. Stała tyłem do niego i rozmawiała ściszym głosem przez telefon. Chciał się niepostrzeżenie przemknąć do swojego pokoju, kiedy nagle dobiegły go słowa:

– Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego zaprosiłam go do siebie. Jest tu teraz.

Napięcie, z jakim to mówiła, sprawiło, że przystanął w pół kroku. Wyglądało na to, że wołałaby, aby raczej był na końcu świata niż w jej domu. Ale jeśli tak, to dlaczego zaoferowała mu gościnę?

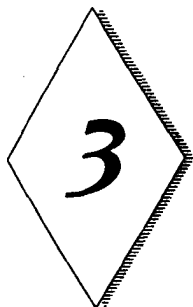
– Owszem – dodała. – Uważam, że to dobry pomysł. Inaczej nie zaprosiłabym go.

To go skłoniło do zastanowienia, z kim ona rozmawia: kto uważa, że to nie najlepszy pomysł, aby Mike się u niej zatrzymał?

To musiał być jej ojciec, zdecydował. Zadzwoiła, żeby wytłumaczyć mu sytuację i spytać, czy może przyprowadzić go na kolację. I jak każdemu normalnemu ojcu nie spodobało mu się to, że ktoś obcy ma zamieszkać u jego córki.

Mike uznał to za nieco krepujące, zważywszy na fakt, że wkrótce miał jeść u tego człowieka kolację. Właśnie kiedy zastanawiał się, czy pan Paquette i Lucille trzymają gdzieś w domu pod ręką truciznę na szczury, Claudia odwróciła się i złapała go na podsłuchiwanie.

I w tym samym momencie ręcznik zaczął mu się zsuwać z bioder.



Zaskoczona Claudia stała bez ruchu, patrząc na półnagięgo Mike'a O'Briana wysokiego i opalonego kalifornijskim słońcem. Miał na twarzy wyraz komicznego przerażenia, a na biodrach różowy ręcznik, który właśnie zaczął mu opadać.

Chwycił go rękami, mruknął: „Przepraszam” i umknął do swojego pokoju.

Niechętnie odwracając wzrok od jego szerokich pleców, powróciła do rozmowy telefonicznej.

– Muszę już kończyć – szepnęła. – Zadzwoń później. I w żadnym razie nie zostawiaj teraz wiadomości na sekretarce.

Odłożyła słuchawkę, starając się jak najdokładniej odtworzyć w myślach przebieg rozmowy. Nie ma powodów do zmartwień, powiedziała sobie. Nawet jeśli O'Brian słyszał, co mówiła, z jej ust nie padło nic, co by mogło naprowadzić go na jakiś trop.

Myślała, że leży już w wannie, ale jak się okazało, Mike O'Brian jest nieprzewidywalny i nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. Wobec czego ona sama musi być znacznie bardziej ostrożna.

Właśnie kiedy gratulowała sobie, że ma tylko jeden telefon, bo zapewne podsłuchiwałby z drugiego aparatu, Mike pojawił się z powrotem w drzwiach, mając na sobie szafirowy szlafrok z monogramem.

– Zapomniałem go wziąć do łazienki – wytłumaczył się. – Nie mam zamiaru na co dzień chodzić po domu w samym ręczniku.

Kiwnęła głową, mając nadzieję, że dotrzyma słowa. Ponieważ i tak musi

się na każdym kroku pilnować, wolałaby obejść się bez niepotrzebnego rozpraszenia myśli. A O'Brian w samym ręczniku zdecydowanie ją rozpraszał.

Co nie znaczy, żeby była nim w najmniejszym stopniu zainteresowana, aczkolwiek musiała przyznać, że jest atrakcyjny nawet w ubraniu. A bez ubrania stanowił idealny materiał do najbardziej nieposkromionych erotycznych fantazji.

– I spróbuję więcej nie podsłuchiwać – obiecał. – To po prostu taki nawyk, wykształcony po latach pracy.

– Rozumiem. – Zdobyła się na uśmiech. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może wpaść ci w ucho jakiś sensacyjny temat.

Roześmiał się.

– Podoba mi się twój sposób myślenia, Paquette. Jesteś moją bratnią duszą.

Znów się uśmiechnęła, ale bycie jego bratnią duszą to ostatnia rzecz, na jakiej jej zależało.

– Czy zawsze bierzesz z sobą na wizyty Morgana? – spytał, gdy wyjechali na drogę.

– Tylko tam, gdzie jest mile widziany – odpowiedziała, zerkając na tylne siedzenie i zdejmując pysk psa z ramienia gościa. – Pamiętaj, że jeśli ci przeszkadza, zawsze możesz stanowczo się od niego opędzić.

– Byłbym bardziej stanowczy, gdyby miał mniejsze kły. Ale wróćmy do naszego Mikołaja. Chciałbym poznać jak najwięcej szczegółów. Może twój ojciec będzie chciał rozmawiać na ten temat.

Kiwnęła głową. Mike O'Brian może bez żadnego ryzyka postawić ostatniego dolara na to, że jej ojciec będzie chciał rozmawiać na ten temat. I Lucille też.

– Cóż, przejrzałeś już moje artykuły – odezwała się. – Mikołaj dostarcza swoje prezenty noc w noc już od przeszło tygodnia. Wygląda na to, że chce obdarować wszystkie rodziny dotknięte ostatnio bezrobociem.

– No tak, ale...

Spojrzała na niego z ukosa i czekała, nie mogąc w ciemności odczytać wyrazu jego twarzy.

– Ale co? – spytała w końcu.

– Nie zrozum mnie źle. Twoje artykuły czyta się bardzo dobrze. Zamieściłaś sporo różnych wypowiedzi ludzi, u których był. Ale brak mi w nich faktów.

– To dlatego, że nie dotarłam do żadnych faktów.

– Ale pracujesz nad tą sprawą od samego początku, prawda?

– To jest jedyna rzecz, jaką się zajmuję – wyjaśniła zaczepnie.

Ten facet najwyraźniej uważa, że miała trzy razy więcej czasu niż trzeba, żeby rozgryźć tę historię!

– Naturalnie, naturalnie. Miałaś też inną robotę, ale musiałaś opracować do tej pory jakiś plan. Wpaść na jakiś pomysł, jak go zidentyfikować.

W milczeniu skrzyła na Main Street, zastanawiając się, co mu powiedzieć.

– Prawdę mówiąc – przyznała w końcu – nie miałam zamiaru go zidentyfikować.

– Jasne, że nie. A jeśli to kupię, to sprzedasz mi tysiąc hektarów tundry, tak?

Wyznała mu właśnie jedną z niewielu prawdziwych rzeczy, a on, jak na ironię, nie chce w to uwierzyć.

– Potrafisz utrzymać sekret? – spytała.

– Spędziłem kiedyś dwie doby w areszcie za odmowę ujawnienia informatora.

– No dobrze. Nie pisnij o tym nikomu ani słowa, nawet Iggy’emu, bo będzie zły, że ci powiedziałam. Kiedy Święty Mikołaj się tu pojawił, postanowiliśmy, że nie będziemy go demaskować.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Wiem, że moje artykuły sprawiały wrażenie, jakbym prowadziła swoje intensywne śledztwo, ale tak nie było.

– Dlaczego?

– Bo baliśmy się, że jeśli go zdemaskujemy, przestanie roznosić prezenty. Nie chcieliśmy ryzykować. Jeśli ktoś lubi bawić się w dobrego samarytanina, to po co mu w tym przeszkadzać? Więc nawet gdybym zdobyła niezbity dowód na to, kim on jest, nie ujawnilibyśmy tego. W każdym razie do końca akcji.

– Ale mnie Iggy wyraźnie kazał go zidentyfikować.

– Ponieważ zmienił zdanie. Twój naczelny dopiero wczoraj wieczorem potwierdził, że przysyła nam znanego reportera. I wtedy Iggy zaczął zastanawiać się nad tym, że twoje artykuły zaczną być przedrukowywane w innych dużych gazetach i tak dalej...

– Tak?

– Co innego było, kiedy to ja miałam udawać, że Mikołaj wodzi mnie za nos. Ciebie nie mógł prosić, żebyś robił z siebie głupka. Poza tym stępiłoby to ostrze całego cyklu, a na to nie może sobie pozwolić, mając nadzieję, że uratuje tym gazetę.

Mike potrząsnął głową.

– Nadzieja, że jeden krótki cykl artykułów uratuje pismo od bankructwa, wydaje się nieco przedczesna.

– Wiem. Ale „Kurier” to dla Iggy’ego całe życie, więc jeśli jest choć mała szansa... W każdym razie, jak mówiłam, zmienił zdanie.

– A ty nie masz nic przeciwko temu?

– To Iggy jest szefem.

Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Jeśli zaczyna coś podejrzewać, nie wróży to nic dobrego.

– Paquette, nie pytałem, kto jest szefem. Pytałem, czy nie martwisz się, jak Mikołaj zareaguje, kiedy zdejmie mu maskę.

– Myślę, że raczej brodę.

Sądziła, że zdoła wykręcić się tym żartem, ale O’Brian był uparty.

Uśmiechnął się wprawdzie, lecz nie dał za wygraną.

– Dobrze, brodę. Chodzi o to, czy nie obawiasz się, że przestanie rozdawać prezenty.

– No cóż, obawiam się, ale Iggy twierdzi, że może nie.

– Iggy chodzi z głową w chmurach. Wasz dobroczyńca najwyraźniej czerpie wielką przyjemność ze swojej anonimowości. Inaczej nie przemykałby się cichcem po nocy. I ten dreszczyk emocji zostanie mu odebrany, kiedy wszyscy będą wiedzieć, kim jest.

Po chwili milczenia dodał:

– I to ja mam się do tego przyczynić? Mam być kimś w rodzaju złego czarownika, który walczy z dobrym czarodziejem, tak?

Wstrzymała oddech, mając nadzieję, że ich reporterski gwiazdor ma miększe serce, niż się spodziewała. Szybko jednak rozwiął jej złudzenia, mówiąc:

– W gruncie rzeczy nie wiadomo, co on robi. A ja i tak nie mam wyjścia. Słyszałaś, co Iggy powiedział. Mam tu siedzieć, dopóki nie napiszę ostatniego rozdziału, choćby do Wielkanocy. Więc naradzmy się, jak przyszpilić tego gościa. Powiedz mi o wszystkim, co wiesz.

Wzięła głęboki oddech, wiedząc, że musi być ostrożna. Niezbyt dobrze umiała kłamać i zawsze mogło jej się coś wymknąć.

– Jak już pisałam w moich artykułach, nawet dostarczając paczki za miasto, gdzie można było wysledzić ślady skutera na śniegu, zawsze wracał na dobrze ubite drogi.

– A tam ślady znikają, tak?

– Otóż to. Dlatego sobie na to pozwalał, chociaż właściwie skuterom śnieżnym nie wolno jeździć po drogach publicznych.

– Naprawdę?

– Tak. Podobnie jak nie wolno mu było jeździć po mieście. I chociaż ludzie nie przestrzegają tego zbyt rygorystycznie, jednak mało kto odważyłby się wjechać na Main Street.

– Ach tak, więc mamy już jakiś punkt zaczepienia. Możemy wykluczyć

wszystkich ściśle przestrzegających prawo obywateli, podobnie jak tych, którzy nie jeżdżą na skuterach śnieżnych.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie obrzucić go pełnym wyższości spojrzaniem.

– W tych okolicach? Zostają ci dzieci w pieluszkach i kilku wiekowych starszusków.

– Hmm... Wobec tego spróbujmy z innej strony. Masz listę wszystkich obdarowanych? I tych, którzy mogą liczyć na jego wizytę?

Kiwnęła głową, wjeżdżając w ulicę, na której mieszkał ojciec.

– Zebrałam wszystkie nazwiska. Jak mówiłam, chciałam, żeby ludzie myśleli, że mamy zamiar go wysledzić. Ale on nie składa wizyt według jakiegoś określonego planu, więc niełatwo będzie się domyślić, do kogo pojedzie następnym razem.

Zaparkowała samochód za furgonetką ojca.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła.

Kiedy Mike z niejakim mozolem gramolił się z jeepa, przypomniała sobie, że potłukł się przy upadku na chodnik. Z pewnością przez jakiś czas nie będzie mógł poruszać się lotem błyskawicy.

To nieco ją pocieszyło. Z tego, co wiedziała, ich Święty Mikołaj jest znakomitym biegaczem.

Już po paru minutach pobytu w domu Raymonda i Lucille Paquette Mike uznał, że nie musi obawiać się trucizny w jedzeniu. Gospodarze byli bardzo miłą parą. Natychmiast oferowali Morganowi kości, a swemu gościowi drinka, sadzając go na kanapie obok Claudii. Kiedy relacjonowała im ostatnie wydarzenia, rozglądał się po salonie.

Większość ozdób na choince była własnoręcznej roboty, co pasowało do tej rodziny, uderzył go jednak brak fotografii. Wyglądali na ludzi, którzy otaczają się zdjęciami rodzinnymi. Przepijając do Raymonda, który hojną ręką dolewał mu whisky, Mike dosłyszał nagle jakąś dziwną nutę w głosie Claudii:

– Nie, nie mam pojęcia, kto to...

Właśnie opowiadała o ich spotkaniu ze Świętym Mikołajem na Main Street. Nic dziwnego, że nie wiedziała, kim był, i Mike nie mógł zrozumieć, czemu Raymond i Lucille wymienili zdumione spojrzenia.

– Jak sądzisz, Mike – zwrócił się do niego gospodarz, wymachując szklanką – będziesz miał problemy z udowodnieniem, kto to jest?

– Cóż, najpierw muszę się tego dowiedzieć, a dopiero potem udowodnić.

– Dowiedzieć? – Raymond spojrział z niedowierzaniem na córkę. – Nie powiedziałaś mu?

Mike wbił zdumiony wzrok w Claudię. Dotąd miał wrażenie, że nikt nie ma najmniejszego pojęcia, kto jest Świętym Mikołajem. Patrząc w bok, powoli wyjaśniła:

– Tato, nie wszyscy są tego tacy pewni jak ty. Nie zdążyliśmy jeszcze omówić osób podejrzanych.

– Może zrobimy to teraz – zaproponował szybko Mike, wykorzystując okazję. – Jak ty myślisz, Raymond?

– No cóż, są tylko dwie osoby, które wchodzi w rachubę. Moi partnerzy od pokera, Gord i Norm, bracia Nilssonowie.

– To ci, o których mówił Iggy?

– Uhm... – potwierdziła Claudia.

– Są milionerami – zaznaczył Raymond.

– A może nawet multimilionerami – dorzuciła Lucille.

– Tak czy owak, mają mnóstwo pieniędzy. Dorobili się na komputerach.

– Iggy mówił mi o tym – przyznał Mike – ale utrzymywał też, że to nie mogą być oni – dorzucił, starając się przypomnieć sobie dokładnie ich rozmowę.

– Iggy... – mruknął Raymond lekceważąco. Czasem doprawdy trudno go zrozumieć.

– To nie może być nikt inny, tylko jeden z Nilssonów – oświadczyła Lucille stanowczo. Albo nawet obaj. To ich robota.

– Ja też tak sądzę – poparł ją Raymond. – Mogę się założyć, że uknuli to razem. To para niezłych dziwaków.

– Jesteście pewni, że nikt inny nie wchodzi w rachubę?

– Nikt inny nie ma takiej forsy.

Mike zerknął znów na Claudię, tym razem chwytając jej wzrok. Wzruszyła ramionami.

– Rozmawiałam z nimi. Wyparli się.

– I tak to zostawiłaś?

– Pamiętaj, co ci mówiłam. – Zniżyła głos, najwyraźniej zwracając się tylko do niego. – Zdemaskowanie Świętego Mikołaja nie leżało w naszych początkowych planach.

– Claudia, masz coś z gardłem? – spytała Lucille. – Mówisz tak cicho, że nie słyszę ani słowa.

– Przepraszam. Zwróciłam uwagę O'Brianowi, że możecie mieć rację. Nilssonowie to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie.

– Wobec tego dłaczego Iggy odrzucił je z taką stanowczością?

– Przez swoją niechęć – oświadczyła Lucille.

– Do braci Nilssonów – uściśliła Claudia. Od razu powiedział O'Brianowi, że Gord i Norm to skąpcy. I egoiści.

– Czy on nigdy nie zjeździe z tego konia? – mruknął Raymond.

– A więc to nieprawda?

– Cóż, nie widziałem, żeby rozrzucali pieniądze po ulicach, co jeszcze nie znaczy, że są skąpi. Ale kiedy Iggy wbije sobie coś do głowy, trudno mu to wyperswadować.

Mike zaczął się już zastanawiać, czy dowie się wreszcie, o co tu chodzi, kiedy ku jego uldze Claudia wreszcie zabrała głos:

– Poszło o „Kuriera”. Od dawna przynosił straty i Iggy się zamartwia, że Wentworth wreszcie zamknie gazetę. Więc dwa lata temu próbował namówić Nilssonów, żeby ją odkupili. Ale nie chcieli na to pójść.

– Trudno im się dziwić – wtrącił Raymond. – To inteligentni ludzie, więc dlaczego mieliby kupować upadającą gazetę? Postąpili zupełnie rozsądnie.

– Iggy patrzy na to inaczej. Uważa, że gdyby mieli choć trochę poczucia solidarności społecznej, skorzystaliby z szansy uratowania naszego „Kuriera”.

Mike pokiwał głową, ale różnica zdań między naczelnym gazety a Nilssonami mniej go w tej chwili obchodziła. Zganił się w duchu, że zamiast od początku zainteresować się bliżej jedynymi bogatymi tu ludźmi, dał się tak łatwo zwieść szefowi „Kuriera” i jego uprzedzeniom.

Spojrzał z pretensją na Claudię, zły, że od razu nie przedstawiła mu całej sytuacji we właściwym świetle. Jak może być reporterką, jeśli nie odróżnia ważnych faktów od drugorzędnych detali?

Kiedy poprosił ją o bliższe szczegóły, powinna była w pierwszym rzędzie powiedzieć mu o najważniejszych, a właściwie jedynych podejrzanych, zamiast rozwodzić się nad znikającymi śladami skutera. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak całe miasto wie, gdzie mieszka ich darczyńca czy też darczyńcy.

– Pewno uważasz, że powinnam była od razu ci wyjaśnić, co się kryje za opinią Iggy’ego? – odezwała się Claudia.

Miał wielką ochotę powiedzieć jej, co uważa, ale powstrzymał go zatroskany wyraz jej oczu. Nic nie zyska, wytykając jej brak pomyślunku.

– Może to ja powinienem był zadawać więcej pytań – powiedział polubownie. – W każdym razie tę sprawę mamy już załatwioną.

Uśmiech, jakim go obdarzyła, wynagrodził mu jego własną powściągliwość. Poza tym może oczekiwał od niej zbyt wiele? W końcu jest wielka różnica między dziennikarką lokalnego dziennika a reporterem wielkomiejskiej gazety.

– Czy jest w mieście ktoś, kto myśli, że to nie Nilssonowie? – spytał. – Oprócz Iggy’ego, naturalnie.

– Owszem – odparła Claudia. – Niektórzy ludzie uważają, że to byłoby zbyt proste. Prawda, Lucille?

– Co? Taak... Oczywiście. – Lucille spojrzała na męża. – Może doszliśmy

do tego wniosku zbyt pochopnie, nie sądzisz, kochanie? Claudia ma rację. Nie wszyscy są tacy pewni, że to Gord i Norm.

– Więc kto poza nimi przychodzi ludziom do głowy?

– Krążą różne hipotezy i przypuszczenia na ten temat – powiedziała Claudia.

– Na przykład jakie?

– Na przykład takie, że ktoś potajemnie się wzbogacił, przez lata wypychał pieniądze do materaca i teraz... – Widząc sceptyczne spojrzenie Mike'a, szybko dodała: – Wiem, że to mało prawdopodobne, ale dowodzi, że to nie muszą być Nilssonowie. W końcu nie przyznają się do tego. Może warto sprawdzić najpierw inne tropy? Tym bardziej, że musisz napisać cały cykl artykułów.

Patrzył na nią bez słowa, całkowicie już przekonany, że żaden z niej materiał na reporterkę. Było całkiem jasne, że to Nilssonowie bawią się w Świętego Mikołaja. Więc jeśli sądzi, że warto tracić czas na bieganie po mieście w poszukiwaniu nie istniejącego materaca nadzianego banknotami, to doprawdy ma źle w głowie.

Nagle przypomniał sobie ich rozmowę w samochodzie i pomyślał, że może ona wcale nie jest taka głupia, tylko chce zyskać na czasie. Po to, żeby Nilssonowie zdążyli jeszcze dostarczyć trochę prezentów, zanim zdejmie się im brody, jak to określiła.

Jeśli tak, to trudno ją winić. Zresztą sam rozumiał, że dla dobra sprawy należy nieco przeciągnąć to śledztwo, zwłaszcza jeśli materiału ma starczyć aż na tydzień. Ale nie ma zamiaru robić z siebie durnia i udawać, że nie wie, kim jest Święty Mikołaj. Przeciwnie, postawi sprawę jasno, że w pierwszym rzędzie podejrzewa Nilssonów.

W końcu cieszy się sławą jednego z najbardziej dociekliwych reporterów, który potrafi wydobyć prawdę nawet spod ziemi.

Tylko że tu nie było co wydobywać. Z nieszczęśliwą miną pociągnął kolejny łyk whisky, myśląc, że jego głupie artykuły będą farsą od samego początku.

Morgan ziewnął i spojrzął na drzwi, dając do zrozumienia, że czas już iść. Lucille jednak nie chciała ich puścić.

– Czekajcie, pomyślmy, czy nie moglibyśmy jeszcze ci w czymś pomóc, żebyś przetrwał tu jakoś ten tydzień? – spytała.

– Nnie... Chyba nie... – odparł, wymawiając wolno i wyraźnie każde słowo.

Zauważył ze zdumieniem, że język mu się dziwnie płacze i nie był pewien, czy to sprawka whisky czy wina, które wypił do kolacji, czy też

domowej nalewki, którą Raymond poczęstował go na koniec.

Zerknął na Claudię. Niewiele piła i wyglądała na całkiem trzeźwą, co go pocieszyło, zważywszy na sposób, w jaki prowadziła auto. To mu przypomniało, że chciał wypożyczyć sobie jakiś pojazd.

– Nie zapomnisz o samochodzie? – zwrócił się do gospodarza.

Victoria Falls, jak się okazało, nie mogło się poszczycić wypożyczalnią samochodów, ale Raymond zaoferował się mu pomóc.

– Rozpytam się jutro z samego rana – obiecał. – I coś ci załatwię:

– Dzięki. Naprawdę będę wdzięczny.

Lucille i Raymond to najsympatyczniejsi ludzie, jakich w życiu spotkał. A Claudia... Wlepił w nią wzrok jeszcze raz, chociaż wiedział, że robi to o wiele za często. Ale jest taka ładna. I do tego taka miła...

Te jej zalety odsunęły na dalszy plan mierne zadatki na reporterkę. A zresztą, czy to aż takie ważne?

Lubił też jej poczucie humoru. I miała takie dobre serce. Uratowała go od samotnego pobytu w podłym hotelu, zatroszczyła się o jego odmrożone nogi i przejrzała dzisiaj z Lucille szafę ojca, żeby pożyczyć mu jakieś ciepłe ubranie.

Przyłapała go na tym, że znów się jej przygląda, więc szybko odwrócił wzrok i dojrzał swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Wyglądał, jakby ważył sto pięćdziesiąt kilo. Długa do kolan, puchowa kurtka Raymonda była bardzo pękata i bardzo ciepła. Podobnie jak to dziwne obuwie, które kazali mu włożyć.

– Jak to się nazywa? – spytał jeszcze raz.

– Mukłuki – powiedziała Claudia.

– Muuu...kluuuki – powtórzył.

Zrobione z foczej skóry, noszone przez Eskimosów od zarania dziejów. A pod nimi miał jeszcze ze trzy pary ciepłych skarpet, które mu wepchnęli.

– A jednak zapomnieliśmy o czymś – powiedziała Lucille, wybiegając z przedpokoju.

Mike spojrział tęsknie na drzwi wyjściowe. Nigdy by nie uwierzył, że przyjdzie chwila, w której zechce wyjść z powrotem na ten okropny mróz. Ale puchata kurtka, wełniany szalik i te dziwaczne boty rozgrzały go już niemal do czerwoności.

– Masz, weź to – rzekła Lucille, pojawiając się z pudełkiem w ręce. – Miał to być jeden z prezentów pod choinkę dla Raymonda, ale mogę mu kupić drugi komplet.

Mike uchylił wieko i spojrzął na jaskrawoczerwony materiał.

– Hmm... – mruknął Raymond. – Czy kiedy będziesz mi kupować drugi komplet, mogłabyś wybrać inny kolor?

– Ale czerwony jest takim świątecznym kolorem, kochanie.

– Czy to koszulka z długimi rękawami? – spytał Mike.

– Ciepła bielizna – wyjaśniła Claudia. – Góra i dół – dodała Lucille. Rzeczywiście, w środku były dwie sztuki. – Ach tak, ciepła bielizna. Wspaniale.

Uśmiechnął się promiennie do Lucille, wdzięczny, że nie kazała mu wcześniej tego przymierzyć, bo pewno by się ugotował.

– Lepiej już chodźmy, O'Brian – powiedziała Claudia. – Mówiłeś, że chcesz z samego rana odwiedzić Nilssonów.

– Nie zapomnij o rękawiczkach. I czapce – przypomniała mu Lucille.

Idąc z Claudią do jeepa, dostrzegł stojący na podjeździe skuter śnieżny z napisem „Raymond”.

– Dość banalny gadżet, prawda? – roześmiała się Claudia. – Tato chciał skuter Lucille też ozdobić jej imieniem, ale się nie zgodziła.

– Skuter Lucille? Nie widzę go.

– Co? Aaa... Może oddali go do naprawy lub coś takiego.

– Rozumiem. Sam też umiem je prowadzić.

– Naprawdę?

– Owszem. Nauczyłem się tego parę lat temu w Lake Placid, kiedy pisałem reportaż o sporcie narciarskim.

Potężne kichnięcie przerwało mu dalsze wywody.

– Na zdrowie – powiedziała.

– Dziękuję.

Ledwo wsiedli do samochodu, Mike kichnął ponownie.

– Oj, niedobrze – mruknęła, wyjeżdżając na ulicę. – To te buty kowbojskie dają o sobie znać. Nabawiłeś się kataru.

Pociągnął nosem. Rzeczywiście zaczynał się czuć przeziębiony.

– Będziemy musieli się tobą zająć. Przeskok ze słońca Los Angeles w tutejsze mrozy może spowodować zapalenie płuc.

– Nic mi nie będzie.

Usadowił się wygodnie w fotelu, delektując się ciepłem, jakie zapewniało mu pożyczone ubranie. No i miło było wiedzieć, że ktoś się o niego troszczy. Rozczuliła go myśl, że Claudia dba o jego zdrowie. Ale szybko przywołał się do porządku, mówiąc sobie, że to ta domowa nalewka tak go rozebrała. Nie potrzebuje nikogo do opieki. Doskonale daje sobie radę sam. A zważywszy na to, że jego praca wymaga częstych i nie zapowiedzianych wyjazdów na drugi koniec świata, ostatnia rzecz, jakiej mu trzeba, to ktoś, kto się będzie o niego martwił.

Żadnych więzi, żadnych zobowiązań. To jedyny sposób na życie dla takiego człowieka jak on. Zbyt wiele się napatrzył na rozpadające się związki przyjaciół, żeby mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Mówiąc to sobie, starał się zignorować kręcenie w nosie i drapanie w gardle.

Kiedy kichnął po raz trzeci, Claudia obrzuciła go najtroskliwszym spojrzeniem, jakie zdołała wykrzesać, i znów wróciła myślami do błędu, jaki popełniła, wspominając o skuterze Lucille. Pocieszając się, że O'Brian i tak rano będzie niewiele pamiętał, zaczęła z kolei się martwić, czy ojciec i Lucille słusznie zrobili, wmawiając swemu gościowi, że tylko Nilssonowie mogą być Świętym Mikołajem.

Obawiała się trochę, że zamiast zaszczyć mu nutkę podejrzeń, przekonali go, że to nie może być nikt inny.

Patrząc na niego z ukosa, zastanawiała się, jak też będzie się czuł nazajutrz rano. Każdy, kto po raz pierwszy skosztował nalewki ojca, budził się z głową jak bania. A i puch, jakim wypchana była kurtka ojca, bardzo dobrze sprawdzał się w roli alergenu.

Oczywiście, prędzej czy później Mike zorientuje się, w czym rzecz, ale na razie może udałoby się go przekonać, żeby spał pod tą kurtką...

Jedyny pomysł, jaki jej przychodził do głowy, to wyłączenie ogrzewania i udawanie, że piec się zepsuł. Ale nie mogła tego zrobić, bo w całym domu popękałyby rury.

Jednak jeśli jest naprawdę bardzo uczulony, to i tak będzie rano nie do użytku. A i nalewka powinna zrobić swoje, przysparzając mu nielekiego bólu głowy...

Wszystko razem wzięwszy, przy odrobinie szczęścia może zdoła go jakoś przekonać, że powinien udać się na badania do szpitala w ciepłym, słonecznym Los Angeles.



O'Brian okazał się bardziej wytrzymały, niż myślała: Sądziła, że zostanie w łóżku przynajmniej do południa, tymczasem kiedy rano weszła do kuchni, siedział już w szlafroku przy stole, bawiąc się w najlepsze z Morganem. Kawa była zaparzona, a radio grało głośniejsze niż zwykle.

– Twój pies chyba mnie polubił – oznajmił radośnie.

– Wobec tego musisz jeszcze zdobyć uczucie kota. – Przyjrzała mu się uważnie, z satysfakcją dostrzegając, że przynajmniej jego twarz ma nieco zielonkawą barwę: – Chcesz jajka na bekonie? – zapytała w nadziei, że sama myśl o jedzeniu przyprawi go o mdłości.

Nie podobnego się jednak nie stało. Nawet zaferował się z pomocą!

Obserwowała go podejrzliwie, kiedy robił grzanki.

– Nie czujesz się potłuczony po tym upadku? – spytała kwaśno.

– Mniej niżbym się tego spodziewał. Dziwne, prawda?

– Uhm... Zdumiewające.

Nie wróży to nic dobrego. Znaczy, że jest twardy jak skała. Sama po czymś takim dochodziłaby do siebie przez dobre parę dni. A ta nalewka, która większość osób zwałała z nóg, wyraźnie nie wyrządziła mu większej krzywdy. Inaczej nie włączałby radia na cały regulator.

A na dodatek już nie kichał. Dobrze przespana noc i pozostawienie puchowej kurtki w holu wyleczyły go ze wszystkich alergicznych problemów.

No i tyle jej pozostało z pomysłu, by odesłać go gdzieś na leczenie. Wygląda na to, że musi zapomnieć o pozbyciu się go i skoncentrować na

sposobach zyskania na czasie. Oby tylko udało jej się zyskać tego czasu dostatecznie dużo. Niebezpieczeństwo grożące Mikołajowi stawało się coraz realniejsze.

Kiedy O'Brian poszedł zeszłej nocy spać, rozmawiała z nim znowu i kazała mu przyrzec, że skończy swe dostawy jak najszybciej. Ale i tak potrzebował co najmniej kilku dni, więc musiała wytrząsnąć z rękawa jeszcze parę sztuczek.

– Święty Mikołaj znów zrobił dzisiaj w nocy rundkę po domach – powiadomiła Mike'a. Przestał smarować grzanekę i spytał:

– Tak? Skąd wiesz?

– Zadzzwoniło do mnie parę osób i powiedziało, że zostawił im prezenty.

– Nie wiedziałem, że masz gorącą linię na temat Mikołaja.

Jest mnóstwo rzeczy, o których nie wiesz, pomyślała, a głośno oznajmiła:

– Skoro opisywałam tę historię w gazecie, to ludzie naturalnie chcą mi dostarczyć najnowszych szczegółów. Pomyślałam, że może wpadlibyśmy do paru nowo obdarowanych osób. Zobaczyłbyś te kosze z żywnością i...

– Och nie, nie ma potrzeby zwracać nikomu głowy. Całkiem wyczerpująco opisałeś już i kosze, i prezenty.

Cholera, zakłęła Claudia pod nosem. Oglądanie najnowszych darów Mikołaja i rozmowy z ludźmi mogłyby im zająć całe godziny.

– Poza tym – dodał Mike – mieliśmy dziś jechać do Nilssonów.

Zdławiła następne ciche przekleństwo cisnące jej się na usta i postawiła przed nim talerz z jajkami na bekonie.

– Pyszne – pochwalił.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, żeby teraz tam jechać? – spytała z powątpiewaniem, siadając po drugiej stronie stołu. – Mieszkają daleko, a zanoszą się na śnieg.

– No to co? Czy tu nie pada codziennie?

– Prawie – przyznała. – Ale nie chcesz rozejrzeć się najpierw po okolicy? Zobaczyć, czy ojciec nie załatwił ci samochodu?

– Nie, jedźmy prosto do Nilssonów zdobyć dowód, że to oni. Wtedy zostanie mi tylko sfabrykowanie kilku artykułów, żeby starczyło na tydzień.

Cudownie. Jej obawy się sprawdziły – ojciec i Lucille przedobrzyli robotę zeszłej nocy. Jak ma teraz przekonać O'Briana, żeby nie zaczynał od Nilssonów? Trudno mu będzie wytłumaczyć, że chciała zostawić ich na koniec.

– Dolać ci kawy? – spytał Mike, wstając i idąc po dzbanek.

Patrzyła, jak ze swobodą porusza się po kuchni. Czuł się u niej jak u siebie w domu, podczas gdy ona była coraz bardziej skrupowana. Zwłaszcza kiedy chodził w szlafroku.

Nie było to co prawda tak spektakularne jak wczorajszy ręcznik, ale

wolałaby, żeby się ubrał. Czują się nieco dziwnie, patrząc na jego gołe nogi. Nie mówiąc już o porannym zaroście. Z przykrością musiała przyznać, że jego obecność budzi w niej miły dreszczyk podniecenia.

Niechętnie odwróciła wzrok, mówiąc sobie, że to po prostu hormony dają o sobie znać. Od roku z nikim się nie kochała, dokładnie od czasu, kiedy policja rejonowa przeniosła Cheta Summerly'ego do Red Lake, dobre półtora tysiąca kilometrów stąd. Cóż więc dziwnego, że mając w domu atrakcyjnego mężczyznę...

Atrakcyjnego mężczyznę, który stanowi niebezpieczeństwo dla Mikołaja, napomniała się surowo. A więc jest wrogiem. Przyglądanie mu się z zachwytem świadczy tylko o głupocie. Powinna się skoncentrować na tym, jak go wykiwać.

– Jak myślisz – odezwał się, dolewając jej świeżej kawy – czy możemy ot tak pojechać do Nilssonów? Byłby to element zaskoczenia.

– Nie, nie, to niezbyt dobry pomysł. Norm i Gord nie lubią niezapowiedzianych wizyt. Lepiej najpierw zadzwońmy.

Co, oczywiście, da im szansę, żeby odmówić. A jej, żeby przekonać go, że są jeszcze inne tropy, które należy sprawdzić.

– Zadzwońisz od razu?

– Naturalnie.

Ale zanim wymyśliła, co z tym fantem zrobić, rozległ się dzwonek u drzwi. Morgan wybiegł z kuchni, ujadając srogo, lecz kiedy Claudia wyszła do holu, tańczył już w radosnych podskokach.

Jak się okazało, za drzwiami stała jej najlepsza przyjaciółka, Annie – z egzemplarzem sobotniego „Kuriera” w ręku.

– Co robisz tak wcześnie na nogach? – zdziwiła się Claudia. – Czyżbym się myliła, że wczoraj był ostatni dzień szkoły?

– Nie, nie mylisz się. Dzięki Bogu, wyścigi psich zaprzęgów zaczynają się w ten poniedziałek.

Claudia uśmiechnęła się. Szkoły w ich rejonie miały wcześniej ferie świąteczne właśnie z powodu wyścigów. A Annie zawsze powtarzała, że to daje nauczycielom szansę na odzyskanie równowagi psychicznej przed Bożym Narodzeniem.

– Wiem, że powinnam teraz celebrować śniadanie w łóżku i cieszyć się chwilowym odpoczynkiem od gromady małych potworów, ale jak wieść niesie... – Pomachała Claudii przed nosem zdjęciem O'Briana na pierwszej stronie gazety i zniżyła głos do szeptu. – Podobno ten przystojniak zamieszkał tu z tobą. Jak widzę, to prawda.

Spojrzała wymownie na wieszak, na którym wisiała skórzana kurtka wojskowa O'Briana i pożyczona kurtka puchowa.

– Boże drogi, czy w tym mieście nie da się zachować nic w tajemnicy? –

westchnęła Claudia.

– Sama wiesz, że nie. Tajemnicą pozostaje jedynie tożsamość Świętego Mikołaja. O ile to w ogóle można nazwać tajemnicą.

– Nie musisz szeptać. W razie, gdybyś nie zauważyła, ten przystojniak puścił radio na cały regulator.

Annie kiwnęła głową i otworzyła gazetę.

– Skoro wszyscy i tak wiedzą, kim jest Święty Mikołaj, to dlaczego Iggy twierdzi, że twój lokator będzie miał ciężki orzech do zgryzienia?

Claudia z niejakim zdziwieniem zobaczyła, że Iggy zmienił tytuł swojego artykułu przed oddaniem go do druku. Teraz brzmiał: „Święty Mikołaj gra na nosie słynnemu reporterowi”. Marszcząc brwi, przebiegła wzrokiem kilka pierwszych zdań. Zgodnie z zapowiedzią, Iggy dorzucił do swojego wstępniaka opowieść o tym, jak Mikołaj powitał ich gościa z Los Angeles – nie omieszkał przy tym mocno ubarwić całej historyjki. Tylko tego jej było trzeba.

O’Brian już i tak chciał jak najszybciej go znaleźć, a rzucanie mu publicznie dodatkowego wyzwania jeszcze bardziej go podjudzi.

Rzuciła pod nosem kilka epitetów pod adresem swojego szefa, lecz szybko skarciła się w myślach, że nie może go winić. Iggy na pewno nie zrobiłby na złość Mikołajowi, nie mówiąc już o niej, gdyby wiedział, kim jest i dlaczego musi pozostać w ukryciu.

– Co się stało? – spytała Annie.

– Nic, nic – odparła szybko Claudia. Przyjaciółka przyjaciółką, ale i jej nie może nic zdradzić. Zwłaszcza że przysięgła dochować sekretu.

– No więc? Nie powiesz mi, co jest grane? W jaki sposób ten dziennikarz wylądował pod twoim dachem?

– Cóż... Miał zarezerwowany pokój w hotelu „Silver Dollar” i zrobiło mi się go żal.

Annie rzuciła jej spojrzenie, mające oznaczać „Akurat!”

– Naprawdę. Sama zobaczysz. Jest w nim coś takiego, co daje ci do zrozumienia, że byłby tam absolutnie nieszczęśliwy. Ale dlaczego tu stoimy, kiedy wiem, że umierasz z niecierpliwości, żeby go poznać?

– Ja? Miałabym chcieć poznawać jakiegoś obsypanego nagrodami reportera, który wygląda jak Alec Baldwin? Co cię skłoniło do tak niefortunnego przypuszczenia?

Claudia zachichotała.

– Ślady śliny na gazecie. A propos, zrobisz coś dla mnie?

– Na przykład?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nie pokazuj mu teraz tego artykułu, dobrze?

– Jasne. Są na nim ślady śliny.

Claudia rozejrzała się szybko po korytarzu i wsadziła zwiniętą gazetę do

jednego ze swych wysokich butów ukrytych za płaszczem.

– No, no – powiedziała Annie. – Ty chyba naprawdę nie chcesz, żeby to zobaczył.

– Uhm... A po drugie, chodzi o to, że próbuję go przekonać, że Świętym Mikołajem wcale nie musi być któryś z Nilssonów, więc...

– Ale po co?

– Wytlumaczę ci później, dobrze? Teraz nie ma czasu. Posłuchaj, zrobisz tak...

Annie Robidoux, jak się Mike po chwili dowiedział, była od zawsze najlepszą przyjaciółką Claudii, nauczycielką francuskiego w tutejszej szkole i osobą niezamężną. Ten ostatni szczegół kazał mu zwątpić w tutejszych mężczyzn. Jakim cudem takie kobiety jak Claudia i Annie pozostają wolne?

Annie, długowłosa blondynka z zielonymi oczami, była naprawdę bardzo ładna. Może nie aż tak ładna jak Claudia, ale z drugiej strony Claudia biła na głowę większość kobiet, jakie do tej pory widział. Ilekroć patrzył na jej pełne, ponętne usta...

Przywołał się do porządku, kiedy usłyszał, jak Annie mówi:

– Claudia wspominała coś, że macie jechać do Nilssonów.

– Jak tylko się ogolę i ubiorę.

– Chyba ci mówiła, że już z nimi rozmawiała? Mówili, że nie wiedzą o niczym.

– Tak, wiem. Ale sądzę, że warto im zadać kilka pytań.

Annie wzruszyła ramionami.

– Rozumiem twój punkt widzenia, ale to nie oni.

– Jak to? Wobec tego kto? – Pochylił się ku niej, wyraźnie zainteresowany.

– Nie powiedziałaś mu o Wayne Greenawayu?

Claudia pokręciła głową.

– Kto to jest Wayne Greenaway? – chciał wiedzieć Mike.

– To dyrektor „Hillstead Mines”. Tej spółki, która zamknęła kopalnię i zwolniła ludzi – wyjaśniła Claudia.

– Ja uważam, że to on jest Świętym Mikołajem – oświadczyła Annie.

Mike zerknął na nią podejrzliwie, pewien, że z niego kpi. Annie miała jednak całkiem poważną minę.

– Chcesz mi powiedzieć, że twoim zdaniem facet, który pozwalniał ludzi z pracy, szwenda się teraz po nocy, zabawiając się w Świętego Mikołaja, bo ma wyrzuty sumienia? Czy to nie trochę naciągane?

– Niekoniecznie – wtrąciła Claudia. – Właściwie to nie on ich zwolnił. To znaczy, wykonał brudną robotę, ale decyzja nie była jego.

– Wobec tego czyja?

– Przyszła z góry. Wayne jest dyrektorem administracyjnym i podlega szefom w Toronto. A to oni zdecydowali o zwolnieniach.

– Skąd wiesz?

– Sam mi powiedział – oświadczyła Annie. – Trójka jego dzieci chodzi do mojej szkoły – dodała, widząc sceptyczne spojrzenie Mike'a. – Rozmawiałam z nim i jego żoną na ostatniej wywiadówce, tydzień temu. I Wayne... Nie, to chyba była Maureen... W każdym razie któreś z nich mówiło, jakie to dla niego okropne, że wszyscy go winią za zamknięcie kopalni.

– Dostatecznie okropne, żeby biegać po nocy w przebraniu Świętego Mikołaja?

– Ja tam uważam, że to on.

Mike wyciągnął się na całą swą długość na krześle, zastanawiając się nad tą ostatnią rewelacją i tym, czy kiedykolwiek dowiedziałyby się o istnieniu Greenawaya, gdyby nie Annie. Liczba informacji, których Claudia dotąd nie uznała za stosowne mu przekazać, rosła w takim tempie, że zaczynała podejrzewać, czy ta cudowna kobieta nie chce przypadkiem czegoś przed nim ukryć.

– Rozmawiałas z tym Greenawayem? – zapytał ją w końcu.

– Jeszcze nie: – Spojrzała na niego porozumiewawczo. – Jak ci mówiłam, Iggy i ja nie chcieliśmy... No, wiesz.

– Ale mówiłaś mi też, że Iggy przemyślał wszystko i zmienił zdanie – przypomniał jej, usiłując zapanować nad irytacją. – Z czego wynika, że powinniśmy sprawdzić wszystkie możliwości. Więc dlaczego nie wspomniałaś mi o tym facecie, zamiast pleść jakieś bzdury o wypchanym materacu?

– Wcale nie upierałam się przy materacu. Mówiłam ci, że są różne hipotezy.

– Ale ich nie rozwinęłaś?

– To dlatego, że ojciec i Lucille są święcie przekonani, że to Nilssonowie. Pomyślałam, że powiem ci o Wayne później.

– A potem po prostu o tym zapomniałaś?

– Nie zapomniałam. Może nie pamiętasz, ale kiedy wróciliśmy do domu, nie byłeś w najlepszej formie. Mój ojciec poczęstował go swoją nalewką – wyjaśniła przyjaciółce.

– Ach, tak...

– No dobrze, ale skąd się biorą pieniądze? – Mike zmienił temat. Nie miał ochoty dyskutować o swojej formie ani o nalewce. Do tej pory kręciło mu się lekko w głowie. – Czy ten Greenaway jest tak bogaty, że może sobie pozwolić na takie gesty?

– Dyrektorzy spółek kopalnianych są bardzo dobrze opłacani – oznajmiła

Annie.

Mike spojrział pytająco na Claudię.

– Wayne na pewno nie jest biedny – przyznała z ociąganiem. – I ma dostęp do wszystkich tajnych funduszy.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że wydaje pieniądze spółki na prezenty dla zwolnionych górników?

– Mówię tylko, że ma różne możliwości.

Mike siedział, pocierając z irytacją podbródek i mówiąc sobie, że ta cała historia zakrawa na kompletną głupotę. Z doświadczenia wiedział jednak, że nie należy zaniedbywać żadnego tropu, choćby się wydawał nie wiadomo jak nieprawdopodobny.

Gdyby Świętym Mikołajem okazał się facet, który pozwalniał tych ludzi, cała historia dopiero nabrałaby sensacyjnego smaku! Im więcej o tym myślał, tym większą miał nadzieję, że to Greenaway.

– Czy któraś z was wie, co on robi w soboty?

– Chyba siedzi w domu – odparła Annie. – Spędza dużo czasu ze swoimi dziećmi.

– A gdzie mieszka?

– W Elk Lake. To niewielkie miasteczko jakieś trzydzieści kilometrów stąd.

– To może powinniśmy najpierw pojechać do niego? Nilssonów odwiedzimy w drugiej kolejności.

– Jak chcesz – zgodziła się potulnie Claudia.

– Myślę, że tak będzie lepiej – oświadczył. Claudia kiwnęła głową, ale Mike'a zastanowił błakający się w kącikach jej ust uśmiezek. Czyżby dawał się wodzić komuś za nos? Niemożliwe. Przecież sam zaproponował zmianę planów.

Stojąc w drzwiach wyjściowych, Claudia obejrzała się na niego wyczekująco. Zamiast się ubrać, Mike przyglądał się pożyczonej kurtce, a na jego twarzy malował się ten sam wyraz podejrzliwości, jaki pojawił się już wcześniej, jeszcze przed wyjściem Annie.

– O co chodzi? – spytała.

– Nie zauważyłem tego wczoraj, ale tu na metce napisano, że ta kurtka jest zrobiona w stu procentach z naturalnego puchu.

– No więc?

– Puch. Pióra. Ptaki.

– Pióra? – powtórzyła, starając się wyglądać na wcielenie niewinności. – Ptaki? O Boże, mówiłeś coś, że jesteś na to uczulony, ale na śmierć zapomniałam. Nic dziwnego, że kichałeś całą drogę do domu.

– Właśnie: Nic dziwnego.

Odwiślał dar ojca Claudii i sięgnął po swoją skórzaną kurtkę.

Zawahała się, lecz mimo wszystko postanowiła interweniować. Wywieść go w pole to jedno, a pozwolić zamarznąć na śmierć to całkiem co innego.

– Włożyłeś tę ciepłą bieliznę, którą dostałeś od Lucille? – spytała, kiedy zarzucał sobie na ramię aparat fotograficzny.

– Nie, jakoś nie przyszło mi to do głowy.

– Może lepiej to zrób. Przy trzydziestu stopniach poniżej zera taka kurteczka i džinsy nie wystarczą.

– Nic mi nie będzie.

– I owszem. Będzie ci zimno.

Kiedy to zignorował, postanowiła więcej nie nalegać. Nie mogła przecież zawlec go do pokoju i przebrać na siłę.

– Weź chociaż czapkę. Przez czubek głowy traci się dużo ciepła.

– Jedziemy samochodem, prawda?

– Tak, ale...

– Więc niepotrzebna mi czapka.

Już miała mu poradzić, żeby włożył przynajmniej ciepłe rękawiczki, które ma w kieszeni puchowej kurtki, ale ugryzła się w język. O'Brian był uparty jak osioł. Jeśli chce ubierać się wiosennie, to jego sprawa. Z drugiej jednak strony nie miała nic przeciwko temu, żeby się trochę pomęczył i na przyszłość zmądrzał.

Kiedy wsiedli do jeepa, włączyła ogrzewanie, ale ostrzegła, że to trochę potrwa, zanim zacznie działać. Na razie osaczyło ich ostre, mroźne powietrze i Mike niemal od razu zaczął pocierać dla rozgrzewki ręce o opięte džinsami uda. Na ten widok ogarnęło ją błogie uczucie satysfakcji. Może następnym razem jej posłucha.

Ledwo wyjechali z Victoria Falls, zaczął padać spodziewany od rana śnieg. Wielkimi, pierzastymi płatkami osiadał na masce jeepa i kręcił się przed przednią szybą.

– Wiesz – odezwał się Mike, przerywając ciszę – moje siostry mają po dwojce dzieci i żadne z nich nigdy nie widziało prawdziwego śniegu. Ten widok by je zachwyił.

Claudia zerknęła na niego kątem oka. Jego twarz rozjaśniał uśmiech, a podejrzliwy wyraz znikł. Sama się zdumiała, że tak bardzo ją to ucieszyło, choć wiedziała, że znów się pojawi. I to zapewne niedługo.

– Z drugiej strony tutejsze dzieci na pewno z chęcią znalazłyby się o tej porze roku w ciepłej Kalifornii – zauważyła. – Zawsze się pragnie tego, czego się nie ma.

Kiedy zamilkła, nie mówiąc już nic więcej i skupiając uwagę na drodze przed sobą, Mike uznał, że wcale mu się nie przywidziało. Jest na niego

obrażona. Na dodatek znał tego przyczynę.

To przez ten zjadliwy komentarz na temat braku jej pamięci o istnieniu Wayne'a Greenaway'a. Patrzył na padający śnieg i robił sobie wyrzuty, że nie zatrzymał swych sarkastycznych uwag dla siebie. W końcu, nawet jeśli Claudia go trochę zwodzi, to co z tego? Rozumiał jej motywy.

Boi się, że Mikołaj przestanie dostarczać prezenty, kiedy zostanie zidentyfikowany, chciała więc, żeby to się stało jak najpóźniej.

A ponadto – to był od początku jej temat. I choćby nie wiadomo jak się starała, trudno jej było nie czuć niechęci do kogoś, kto jej go zabrał.

Spojrzał na nią znów, myśląc, że nie chce, żeby czuła do niego niechęć. Ani żal. Wolałby, żeby stali się przyjaciółmi. A jeszcze lepiej więcej niż przyjaciółmi, ale wątpił, aby taka myśl choćby na chwilę zaświtała jej w głowie. W każdym razie nie w obecnej sytuacji.

– A jak tam w twojej rodzinie? – odważył się przerwać ciszę. – Masz jakis siostrzeńców czy bratanków?

– Nie, ani jednego.

– To znaczy, że jesteś jedynaczką?

Kiedy nie odpowiedziała, omal nie spytał, czy to nie za trudne pytanie. Ale w porę się powstrzymał z obawy, aby ten niewinny żarcik znów nie wypadł w jego ustach jak sarkastyczna złośliwość.

– Samo miano jedynaka ma jakieś pejoratywne znaczenie – odparła w końcu. – Wszyscy myślą, że jedynacy muszą być okropnie rozpieszczeni.

– A ty jesteś rozpieszczona? – spytał z uśmiechem, żeby dać Claudii do zrozumienia, że tylko się z nią droczy.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi – na tyle ciepło, że puls zaczął mu mocniej bić.

– Nie sądzę – powiedziała. – Ale spójrz, przed nami już Elk Lake. Jesteśmy prawie na miejscu.

Tymczasem niebo ściemniało i sypnęło jeszcze gęstszym śniegiem. To wygląda bardzo obiecująco, pomyślała, skręcając w boczną drogę wiodącą do Greenawayów. Jeśli tak dalej pójdzie, po wizycie u Wayne'a może zdoła przekonać O'Briana, żeby wracać prosto do domu i zostawić sobie Nilssonów na jutro.

Drzwi otworzyła im Maureen. Słyszając, co ich sprowadza, z zatroskaną miną potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że przyjechaliście na próżno. Wayne poszedł z chłopcami na ryby.

– Powiedział, na którym jeziorze będzie łowić?

– Tak. Kenogami.

– Doskonale. Wiem, gdzie są najlepsze łowiska. Bez trudu go znajdziemy.

– Ale czy warto, żebyście tam teraz jechali? Znosi się na śnieżyce.

Claudia zerknęła na swego towarzysza. Nie wyglądało na to, żeby się tym przejął. Na pewno nie na tyle, aby dał się skłonić do szybkiego powrotu do domu.

– Damy sobie radę. Chodź, O'Brian.

Pożegnawszy się z Maurem, sfrunęła lekko po schodach, czując się jak uskrzydłona. Mike jakoś przyjął. wymijające odpowiedzi, jakich udzielała na temat swojej rodziny, a teraz będzie mogła wozić go wokół jeziora aż do zmierzchu, dziwiąc się, że nie może znaleźć Wayne'a Greenawaya.

Mnóstwo ludzi chodzi łowić ryby w przeręblach, więc nawet jeśli go wypatrzy, to skąd Mike O'Brian będzie o tym wiedział?



Kiedy Claudia zapaliła silnik i ruszyła po ośnieżonej ulicy, Mike spojrzął z nieszczęśliwą miną przez okno. Ktokolwiek wymyślił slogan „spowita czarem zimowa kraina”, musiał to zrobić na podstawie obrazka. Na miejscu można to jedynie określić mianem „zakutej lodem zimowej krainy”.

Już przez te parę minut na stopniach przed drzwiami Maureen niemal zsiniał z zimna. I ostatnia rzecz, o jakiej teraz marzył, to wycieczka nad jakieś zamrożone jezioro, gdzie na dodatek trzeba będzie szukać Wayne’a.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – wyraził nieśmiałą wątpliwość. – Może powinniśmy powrócić do naszego pierwotnego planu i odwiedzić teraz Nilssonów, a później spotkać się z Greenawayem. – Najlepiej w jego domu, przed rozpalonym kominkiem, dodał w myślach.

– Jezioro Kenogami nie jest tak daleko – powiedziała Claudia, wycierając szybę rękawiczką. Silnik nie pracował najwyżej pięć minut, lecz powietrze wewnątrz jeepa już zrobiło się tak zimne, że ich oddechy zamglily okna.

– Daleko czy nie, ma ze sobą synów i... – próbował oponować Mike.

– Och, oni będą z tego dumni, że dziennikarz z Los Angeles zadał sobie tyle trudu, żeby wytropić ich ojca.

Los Angeles, pomyślał z nostalgią. Tam jest teraz ciepło i słonecznie. Niby od niechcienia podłożył ręce pod słaby strumień ciepłego powietrza płynącego z wylotów na desce rozdzielczej.

– A poza tym – ciągnęła Claudia – wywiad z kimś podczas łowienia ryb w przerębli doda twojemu artykułowi lokalnego kolorytu. Możemy zamieścić

obok zdjęcie. Ty i Wayne przykucnięci nad przerebłą.

– Bo ja wiem...

– O'Brian, Iggy mówi, że sam Święty Mikołaj. to jedno, ale szczególnego smaczku dodaje mu fakt, że pojawił się tu, na północy. Dlatego właśnie sporo gazet z południa rzuci się na twój cykl. Ich czytelnicy będą przekonani, że jego stała siedziba mieści się tuż za rogiem Victoria Falls.

– A tak nie jest? Mam wrażenie, że znajdujemy się na biegunie północnym.

Rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

– Wybacz, ale do bieguna jest jeszcze parę kilometrów. Chodzi mi jednak o to, że cała ta arktyczna otoczka powinna przypaść czytelnikom do gustu. Więc chyba należałoby to wykorzystać, nie sądzisz?

– Uhm... Pewno masz rację. Zdjęcie w środku wielkiej, białej pustyni będzie miało oczywiście swoją wymowę.

Znów wyjrzał przez okno na śnieg, próbując sobie wmówić, że może na tym jeziorze nie będzie aż tak zimno. Ale w głębi duszy wiedział, że nie ma na co liczyć.

– A jeśli będziemy mieć szczęście – dodała Claudia – Wayne złowi przy nas jakąś dużą sztukę. Wtedy zrobię ci zdjęcie, jak gołymi rękami wyciągasz rybę z przerebli.

– Cudownie. Moczenie różnych części ciała w lodowatej wodzie to moja ulubiona rozrywka.

Roześmiała się, a on umilkł, niezbyt pewien, czy mówiła serio. Czasem trudno mu było się zorientować, kiedy Claudia żartuje, a kiedy mówi poważnie. Jeśli rzeczywiście w ten sposób wyciąga się ryby spod lodu...

Ujrzał w myślach minę swojego szefa na widok zdjęcia Mike'a O'Briana z rękami po łokcie w jeziorze Kenogami. To na pewno wywoła na twarzy Wielkiego Jima uśmiech. Do diabła, to wywoła w nim wybuch szalonej radości! W końcu ileż to razy udało mu się za pomocą karnego zesłania zamienić reportera w bryłę lodu?

– W tym domu są biura spółki Hillstead – przerwała mu Claudia ponure rozmyślenia.

Ujrzał przed sobą długi budynek z lat dwudziestych albo trzydziestych.

– Dlaczego postawiono go na takim odludziu? – spytał.

– To nie było odludzie, kiedy go budowano. Pierwsza kopalnia spółki Hillstead znajdowała się właśnie na tym terenie, więc siłą rzeczy stanęły tu także biura. Ale złoża się wyczerpały i kolejne kopalnie są już rozrzucone po całej okolicy.

– Więc budynek administracyjny jest teraz jakby dogodnie położony pośrodku? – zauważył z sarkazmem.

– Można to tak nazwać – uśmiechnęła się Claudia.

Dojechali do brzegu jeziora, skąd było widać szereg stojących na lodzie pojazdów, a dalej za nimi grupki rybaków.

– Czy jest tu samochód Wayne’a? – spytał.

– Nie, ale dowiem się, czy ktoś go nie widział.

Z tymi słowami Claudia nacisnęła pedał gazu i o wiele szybciej, niżby sobie życzył, wjechała na płytę jeziora.

Kiedy już wyobrażał sobie, co będzie, gdy nastąpi awaria hamulców i jeep siłą poślizgu wjedzie na cienki lód, zatrzymała się raptownie za ciężarówką.

– Poczekaj tu w cieple – poradziła mu. – Zaraz wracam.

Wygramolił się z samochodu i ruszył za nią. Wiedział, że gdyby został, ci ludzie uznaliby go za mięczaka, ale po przejściu paru kroków zaczął się zastanawiać, co go to właściwie obchodzi. Zgięty w pół, starał się stawić czoło lodowatym podmuchom wiatru, ale jedynie jego nogi w muklukach i grubych wełnianych skarpetach Raymonda nie były jeszcze przemarznięte do kości.

– Cześć, Fred – pozdrowiła Claudia pierwszego mężczyznę z brzegu. – Widziałeś może Greenaway’a?

Mike spojrzął na przerebel pod stopami, ze zdziwieniem stwierdzając, że jest o wiele mniejszy, niżby przypuszczał, ma chyba nie więcej niż dwadzieścia centymetrów średnicy. Co by znaczyło, że Claudia jednak z niego nie kpiła – ktoś musi sięgnąć ręką do wody, żeby wyciągnąć szczęśliwie złowioną, dużą rybę. Bardzo obiecująca perspektywa.

– To jest ten facet, którego zdjęcie jest w dzisiejszym „Kurierze”? – Fred zmierzył go badawczym wzrokiem. – Ten, który ma złapać naszego Mikołaja? Iggy napisał o panu długi artykuł.

Claudia szybko przedstawiła ich sobie i wróciła do Greenaway’a.

– Po co wam on? – mruknął Fred. – I tak nikt nie zechce przeczytać niczego, co powie. Ale spróbujcie w Zatoce Polarnych Niedźwiedzi. Podobno łowi tam sobie w samotności. Wie, że wśród nas nie byłby zbyt mile widziany.

– Dzięki, Fred. – Claudia pomachała ręką do reszty rybaków, którzy się im przyglądali, i ruszyła z powrotem do samochodu.

– Wygląda na to, że Annie miała rację – powiedział Mike, starając się dotrzymać jej kroku. – Ten facet nie jest tu zbyt popularny.

– Nie, i nie będzie, póki Hillstead nie wznowi wydobycia. Ludzie obawiają się, że te niby chwilowe zwolnienia okażą się trwałe.

Resztę drogi do jeepa przebyli w milczeniu, Mike zacisnął zęby, żeby nie dzwoniły z zimna. Wolał sobie oszczędzić uwagi Claudii, że radziła mu włożyć tę ciepłą bieliznę.

– Zatoka Polarnych Niedźwiedzi... – powiedział, kiedy zjeżdżali z jeziora.

– To tylko taka nazwa, prawda? To znaczy, w rzeczywistości nie można ich tam spotkać?

– O'Brian, przypomnij mi, żebyś pokazała ci mapę, kiedy wrócimy do domu. Victoria Falls nie leży aż tak daleko na północy. Niedźwiedzie polarne widuje się dopiero w Zatoce Hudsona. U nas są głównie niedźwiedzie brunatne.

– Uhu... Dużo ich tu macie?

– Sporo. Ale śpią całą zimę, chyba że bardzo, ale to bardzo zgłodnieją.

Zerknął na nią spod oka, starając się zgadnąć, czy tym razem znowu żartuje. O ile wiedział, grizzly śpią całą zimę bez względu na to, jak bardzo są głodne. Ale może ona lepiej się zna na tych sprawach? W każdym razie poprzysiągł sobie, że bez względu na koloryt lokalny nie pozwoli jej dla dobra cyklu sfotografować się w trakcie ucieczki przed szarżującym niedźwiedziem.

Kiedy dojechali do celu, Claudia zakłęła pod nosem. Samochód Wayne'a stał przed nimi w całej okazałości i trudno to było ukryć. Niemniej ani jego, ani jego synów nie było nigdzie widać, więc może da się jeszcze coś zrobić.

– Nie mamy szczęścia – oświadczyła. – Musieli chyba pójść gdzie indziej. Ale znam tu parę miejsc...

– Claudia, co ty opowiadasz? Nie widzisz tego namiotu?

Nie pozostawało jej nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

– Wayne! – zawołała, wysiadając niechętnie z jeeпа.

Kłapa namiotu się uchylila i ze środka wynurzył się Greenaway, a za nim dwóch kilkunastoletnich chłopców.

Przedstawiła im Mike'a O'Briana i zaczęła wyjaśniać, po co tu przyjechali. Może jej się wydawało, lecz odniosła wrażenie, że Wayne zbłądł, kiedy powiedziała: Reporter do specjalnych poruczeń z „Los Angeles Gazette”.

– Przyjechał pan aż z Los Angeles? To musi pan tu strasznie marznąć. Proszę wejść do środka. – Zaprosił ich gestem dłoni do namiotu. – Chłopcy, spakujcie tymczasem nasze rzeczy. Złapaliście mnie w ostatniej chwili – poinformował gości. – Nałowiliśmy już dość ryb i właśnie zbieraliśmy się do domu.

W namiocie było bardzo ciasno i Claudia chcąc nie chcąc musiała stanąć blisko Mike'a. Czula zapach jego wody kolońskiej i twarde mięśnie pod skórzaną kurtką, co wprawiało ją w dziwny popłoch.

Im więcej czasu z nim spędzała, tym bardziej ją pociągał. Co nie znaczy, że miała zamiar dać to po sobie poznać. Zwłaszcza że najdalej za tydzień ta sława zniknie z jej życia. Ale nie ulec pokusie, a udawać, że nie istnieje, to dwie różne sprawy. Tak czy owak, dla własnego dobra musi trzymać się od niego z daleka.

– No więc – odezwał się Wayne – czym mogę służyć?

– Chcieliśmy zadać panu parę pytań na temat zwolnień wśród górników – powiedział Mike.

Mówił tuż przy jej uchu, czuła na policzku ciepły powiew jego oddechu i z trudem mogła się skupić na reakcji Wayne'a. Ale tak, chyba się nie myliła: pan dyrektor był wyraźnie zdenerwowany.

Ale czemu, na miły Bóg? Przecież piastował swoje stanowisko od lat i na pewno odpowiadał przez ten czas na setki pytań.

– Ach tak? – powiedział wolno. – Nigdy bym nie przypuszczał, że takie sprawy mogą zainteresować kogoś w Los Angeles.

– Jak najbardziej – zapewnił go Mike. – Co spowodowało ten kryzys?

– No cóż, jak już mówiłem kilka miesięcy temu, między innymi dziennikarzom „Kuriera”, nasze obroty zaczęły spadać i...

– Co było przyczyną? – przerwał Mike. Wayne wzruszył ramionami.

– Fluktuacja cen rynkowych. Wyczerpanie niektórych złóż. Wyższe koszty dostawcze. Różne rzeczy. Chwilowe zamknięcie kopalni leżało w interesie firmy.

– Ale nie w interesie górników. Jak rozumiem, panuje wśród nich duże rozgoryczenie.

– Nie musi mi pan tego mówić. Sam nad tym bardzo ubolewam. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić ich, że to tylko chwilowe.

– A jest chwilowe?

– Oczywiście. Kiedy zostaną podjęte nowe decyzje strategiczne, wszystko znów ruszy pełną parą.

– A na razie mamy Świętego Mikołaja.

Spojrzenie Wayne'a wyrażało doskonałą pustkę.

– Chodzi mi o to – ciągnął O'Brian – że ktoś stara się dać tym ludziom tymczasem choć trochę radości.

– No tak. Rzeczywiście.

– Ma pan jakieś przypuszczenia, kto to jest?

– Kto jest Świętym Mikołajem?

Wyraz pustki w oczach Wayne'a przeszedł w niekłamane zdumienie.

– No właśnie.

– Cóż... Ludzie zdają się uważać, że to jeden z Nilssonów.

– Nie wszyscy. Niektórzy uważają, że to pan.

Przez chwilę Wayne patrzył na niego z konsternacją, a potem przemknęło mu przez twarz coś w rodzaju ulgi. Zanim jednak Claudia zdążyła się nad tym zastanowić, uśmiechnął się i spytał:

– Zaraz, zaraz... To o tę sprawę przyjechał pan mnie wypytać?

– Głównie – przyznał Mike. – Zostałem tu wysłany, żeby napisać cykl artykułów o Świętym Mikołaju. I mogę od razu pana uprzedzić, że będzie pan

bohaterem jednego z nich.

– Przyjechał pan z Kalifornii, żeby pisać o naszym Mikołaju?

– Wiem, że to brzmi nieco dziwnie, ale nie ma się co nad tym teraz rozwodzić. Iggy miał wyjaśnić wszystko w dzisiejszym „Kurierze”. W każdym razie chodzi o to, że jestem tu po to, żeby zidentyfikować Świętego Mikołaja i jednym z moich podejrzanych jest pan.

– Nigdy, ani przez moment bym nie przypuszczał, że ktokolwiek może myśleć, że to ja – roześmiał się Wayne cicho. – Zwłaszcza w kontekście opinii, które tu o mnie krążą.

– Ale jednak to pan.

Claudia spojrzała na O'Briana z podziwem. Oświadczył to z taką pewnością, że każdy prawdziwy sprawca uznałby się za zdemaskowanego.

Wayne jednak nie był sprawcą. I dlatego zdziwiła się, że nie zaprzecza.

– Kimkolwiek on jest – powiedział w końcu – nie chce, żeby go poznano.

– Jest pan pewien?

– To chyba jasne, prawda?

– Zapewne. Ale moim celem jest go zidentyfikować.

– Wobec tego wasze cele pozostają w sprzeczności. To wszystko, co mam do powiedzenia, oprócz tego, że nie jestem osobą, której pan poszukuje.

A więc padło w końcu zaprzeczenie, na które czekała. Jednak gdyby nie to, że wiedziała swoje, ten dziwny uśmiezek na twarzy Wayne'a mógłby świadczyć, że kłamie. Co on, u diabła, knuje?

– Ale nawet gdyby był pan tym Świętym Mikołajem – powiedział Mike – to i tak by się pan nie przyznał.

Uśmiezek przerodził się w szeroki uśmiech.

– Oczywiście, że nie. Zwłaszcza gdybym nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Mike nigdy w życiu nie był tak zmarznięty i czuł, że jeśli ta wielka ryba nie złapie się szybko, zamarznie mu krew w żyłach.

Chociaż chłopcy spakowali już cały sprzęt, Wayne posłusznie wyciągnął z auta jedną z wędek, żeby Claudia mogła zrobić wymarzone zdjęcie. Ale odkąd stali na jeziorze, nie traciło im się nic oprócz małych płotek, które wrzucili z powrotem do wody.

– O'Brian?

Spojrzał na nią nad przerebłą.

– Naprawdę myślę, że powinniśmy już wracać – powtórzyła po raz trzeci.

– Musisz umierać z zimna.

– Nic mi nie jest – skłamał, zachwycony, że może jeszcze poruszać ustami.

Tak czy owak, zimniej mu już nie będzie, toteż wcale nie miał zamiaru teraz rejterować. W końcu Greenaway mówił, że ryby dzisiaj dobrze biorą, więc jak długo może to jeszcze potrwać?

– Nawet jeśli tobie nie jest zimno, to mój aparat zaraz zamarznie. Dajmy sobie spokój z tym zdjęciem i chodźmy – nalegała Claudia.

Był już gotów ustąpić, kiedy linka wędkę się napięła.

– Niezła sztuka, tato! – zawołał z entuzjazmem jeden z chłopców.

– A jakże! – potwierdził Wayne. Pomachał chwilę wędką, wodząc rybę tam i z powrotem, a potem podkręcił wolno krótką już i tak linkę. – W porządku – zawyrokował w końcu. – Właśnie to, o co nam chodziło. Może ją pan wyciągać.

Mike zrzucił na lód skórzaną kurtkę i mówiąc sobie, że nikt jeszcze nie umarł od włożenia rąk do zimnej wody, podciągnął rękawy i ukląkł obok przerebli. Kiedy pytał Claudię, czy jest gotowa, zęby mu szczękały.

– Jak najbardziej – zapewniła go. – Wayne, uklęknij obok O'Briana. A chłopcy niech staną za wami. To będzie fantastyczne zdjęcie. Dajcie mi tylko nastawić ostrość.

– Czy ukaże się na pierwszej stronie? – dopytywał się jeden z chłopców.

– Ukaże się na stronie z nekrologami, jeśli to dłużej potrwa – mruknął Mike.

– Gotowe! – oznajmiła Claudia. – Przygotujcie się.

Wbrew podstawowej zasadzie instynktu samozachowawczego, Mike zanurzył ręce w wodzie i omal nie wrzasnął z bólu. Miał wrażenie, że przeszywa go tysiące igieł. Przekonanie, że nie może mu być jeszcze zimniej, okazało się błędne.

– Niech pan ją chwyci z całej siły – instruował go Greenaway. – Ryby są śliskie i łatwo potrafią się wymknąć.

Mike nie miał pojęcia, jak w ogóle zdoła zacisnąć zdrtwiałe palce wokół tej cholernej ryby, a co dopiero z całej siły. Ale mówiąc sobie, że jeśli nie zrobi tego jak trzeba za pierwszym razem, to tylko przedłuży swe męczarnie, pochwyił rybę z całą determinacją i szybko wyciągnął ją na powierzchnię. Była duża, zielonkawobrazowa i ociekająca wodą.

– Trzymaj ją! – krzyknęła Claudia.

Pomyślał, że jeśli każe mu się uśmiechnąć, to ją zamorduje. Nie była jednak na tyle nierozsądna i szybko zrobiła kilka zdjęć.

– Co za okaz! – zachwycali się chłopcy. – Musi ważyć ze cztery albo pięć kilo, prawda, tato?

– To szczupak – oznajmił Greenaway, patrząc na miotającą się w rękach Mike'a rybę. – Jest dobry w smaku, więc jeśli chcecie go wziąć na kolację, to dam wam coś do zapakowania.

– Nie, wpuście go z powrotem do wody – poprosiła Claudia. –

Chcieliśmy tylko mieć zdjęcie.

Mike spojrział na nią z dziwnym uczuciem czułości. Dziennikarze, których znał, byli na ogół twardzi jak skała. A ona wyglądała, jakby się miała rozpłakać, gdyby nie darowali rybie życia.

Sztynnymi palcami, najostrożniej jak umiał, zdjął haczyk i wpuścił szczupaka do wody.

– Chodźmy – powiedziała, obdarzając go tak ciepłym uśmiechem, że Mike niemal zapomniał o mrozie.

Zapaliła silnik, zloszcząc się w duchu, że trzeba tak długo czekać, zanim zacznie działać ogrzewanie. Wyciągnęła z bagażnika koc i owinęła nim Mike'a, który cały się trząsał.

Miała straszne poczucie winy i robiła sobie wyrzuty, że pozwoliła mu tak długo stać na lodzie. Choć nie był typem mężczyzny, który pozwala sobą komenderować, na pewno istniał jakiś sposób, żeby go wcześniej stamtąd wyciągnąć.

– Pokaż mi ręce – zarządziła.

– Są odmrożone?

– Nie, tylko przemarznięte.

Zaczęła je energicznie rozcierać, żeby trochę go rozgrzać przed jazdą powrotną.

– Przynajmniej mam materiał na pierwszy artykuł – powiedział. – I może nawet uda mi się ubarwić go szczyptą humoru, jak chciał Iggy. Co powiesz na tytuł: „Tropiciel Świętego Mikołaja niemal traci życie, łowiąc szczupaka”?

Uśmiechnęła się.

– Trochę przydługi, ale od czegoś trzeba zacząć. Może jednak wrócimy teraz do domu, dobrze? – spytała, ruszając. – Skoro masz już pierwszy materiał, to nie musimy jechać jeszcze dzisiaj do Nilssonów, prawda?

– Nie, chyba nie.

– Świetnie. Wpadnę tylko na moment do redakcji i dam Iggy'emu mój film. Zwykle sam wywołuje nasze zdjęcia. A potem pojedziemy prosto do domu się rozgrzać.

– Nie pamiętam już, jakie to uczucie, kiedy człowiekowi jest ciepło. Ale może jeśli włożę na siebie całą moją garderobę, a ty nastawisz ogrzewanie na dziewięćdziesiąt stopni...

– I zjemy coś ciepłego na obiad... A najpierw napijemy się gorącej czekolady?

– Z pianką?

– Oczywiście. Cóż jest warta gorąca czekolada bez pianki?

Kiedy się do niej uśmiechnął, poczuła mocniejsze bicie serca. Niechętnie

oderwała od niego wzrok, koncentrując się na zaśnieżonej drodze. Coraz trudniej jej było myśleć o nim jak o nieprzyjacielu.

Ale on nie jest właściwie nieprzyjacielem, mówiło jej coś w duszy. Jest niebezpieczny tylko do czasu, aż Mikołaj rozwiezie swoje prezenty i schowa się na amen.

Ale wtedy O'Brian będzie już musiał wracać do domu. A Los Angeles leży kawał drogi od Victoria Falls.

– Myślisz, że to Greenaway? – przerwał ciszę Mike.

Dopiero po chwili dotarły do niej te słowa i omal nie krzyknęła: „Nie!”, w ostatniej chwili gryząc się w język. Musi być bardziej ostrożna. Im dłużej O'Brian będzie błądził w ciemnościach, tym lepiej.

– Chyba nie powinniśmy go tak całkiem wykluczać, co? – powiedziała w końcu.

– Absolutnie nie. Ma skuter śnieżny?

– Każdy ma tutaj skuter śnieżny.

– Szkoda, że nie pomyśleliśmy, żeby zajrzeć do jego garażu, kiedy tam byliśmy. Zobaczyć, czy na skuterze są dzwoneczki. A ponieważ on ma garaż na trzy samochody, ma też mnóstwo miejsca na przechowywanie koszy z żywnością i prezentów. Chociaż z drugiej strony pewno i tak by ich tam nie trzymał. Jego dzieci od razu by to wypatrzyły. Więc skoro chce pozostać anonimowy...

Zamilkł na chwilę i potrząsnął głową.

– To właśnie pinie dziwi. Jeśli jest tu tak powszechnie znieawidzony, dlaczego nie chce przyznać, że jest Świętym Mikołajem? Nie sądzisz, że powinien marzyć, żeby to odkryto? Żeby wszyscy dowiedzieli się, jaki fajny z niego gość?

– Może on chce tylko przeciągnąć sprawę w czasie.

– Po co?

– Nie wiem. Może się boi, że jeśli skorzysta z pierwszej okazji, żeby się przyznać, to ludzie uznają, że zależało mu jedynie na podziwieniu i podziękowaniach.

– Naprawdę uważasz, że istnieje w tym jakaś logika?

– Może to i nie brzmi zbyt logicznie, ale w końcu mógł uznać, że będzie dla niego lepiej, jeśli się okaże, że nie zdołał go skłonić do przyznania się, jaki to z niego bohater.

– Hmm... Może coś w tym jest.

– Jesteś pewien, że to on?

– Nie jestem pewien. Już lata temu nauczyłem się niczego nie być pewnym, dopóki nie mam dowodu. Ale moim zdaniem on skrywa jakiś sekret. Dostrzegłem to w momencie, kiedy powiedziałas, że jestem „reporterem do specjalnych poruczeń”.

– Wiem. Ja też to zauważyłam.

Wayne Greenaway coś ukrywa. Ale co? I dlaczego stara się podszywać pod osobę, którą nie jest?

– Myślisz, że ojciec już zdobył dla mnie jakiś samochód? – spytał Mike.

– Nie wiem. A po co ci dzisiaj samochód?

– Muszę trzymać dziś w nocy wartę przed domem Greenaway, a nie ma sensu, żebyśmy oboje nie spali.

– Wartę? To znaczy, że chcesz przez całą noc siedzieć w zimnym samochodzie?

– A co mi pozostaje, jeśli mam zdobyć dowód?

– No tak...

– Więc gdyby twój ojciec nic jeszcze nie załatwił, to mogę liczyć, że pożyczysz mi jeepa?

– Oczywiście.

Znów zaczęło padać, więc włączyła wycieraczki, zastanawiając się, jak by O'Brian zareagował, gdyby wiedział, że jej ojciec nie ma zamiaru wypożyczać mu samochodu. Obecna sytuacja jest idealna. Dopóki ona służy mu za szofera, jej gość nie może się nigdzie ruszyć bez jej wiedzy.

– A może pojedę z tobą? – zaproponowała. Do Greenaway – dodała, widząc jego zdumione spojrzenie. – Nie mam żadnych planów, a sobotni wieczór przed telewizorem nie jest moją ulubioną rozrywką.

Kiedy bez słowa kiwnął głową, wróciła do swoich rozmyślań. W żaden sposób nie może pozwolić mu na samodzielność. Co będzie, jeśli coś wypatrzy? Na przykład prawdziwego Świętego Mikołaja rozwożącego prezenty?

– Jednak najpierw powinienem kupić sobie parę rzeczy – oświadczył Mike. – Na przykład grubą kurtkę nie wypchaną puchem.

– Powinieneś mieć też ciepły kombinezon.

– Co?

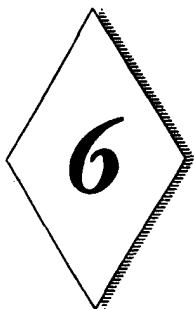
– Byłby doskonały na nocną wartę. A gdyby nam przyszło użyć mojego skutera, też by się przydał. Ale nie warto kupować ubrań, których pewno nigdy więcej nie włożysz. Lepiej pożyczyć je od ojca.

– Wolałbym nie. Już i tak mam połowę jego. szafy. Nie chcę, żeby myślał, że jestem największym naciągaczem pod słońcem.

– Na pewno tak nie pomyśli. Mam świetny pomysł. Wpadniemy do niego zaraz po podrzuceniu filmu do redakcji. Wiem, że ma kilka kombinezonów. I chyba inną ciepłą kurtkę, której chętnie ci użyczysz.

– Tak sądzisz?

Kiwnęła tylko głową. Nie byłoby najmądrzejszą rzeczą pod słońcem przyznać, że nie tylko sądzi, ale wie. Ani że zeszłego wieczoru ona i Lucille specjalnie dały mu tę puchową.



Mike położył grzanki z serem na grillu i wrócił spojrzeniem do Claudii, mieszającej na kuchni gorącą czekoladę. Miała najpiękniejszy i najzgrabniejszy tyłeczek na świecie.

– Wiesz – odezwał się w końcu – od lat nie piłem już czekolady. Zapomniałem, jak smakuje.

Gdy spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się słodko, poczuł dreszcz podniecenia. Starał się to zignorować, pamiętając o lekcji, jakiej mu udzieliła. Zaprosiła go do siebie, ponieważ tutejszy hotel to speluna. Koniec, kropka.

I proszę sobie nic nie wyobrażać, mój panie. Ale to było wczoraj i od tej pory dużo razem przeszli. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby spróbował ją pocałować? Mimo mrozu na zewnątrz zapach jej perfum nasunął mu na myśl gorący, letni wieczór – i poczuł lekki zawrót głowy...

W tym momencie coś uderzyło go w łydkę. To Morgan radośnie wymachiwał trzymanym w pysku botkiem.

– Ty wstrętny psie! – zawołała Claudia. – Przepraszam, O’Brian. Zawsze rozwleka moje buty po całym domu.

– I chowa w nie gazety?

Mike wyjął ze środka „Kurier”, rozwinął go i wlepił wzrok w swoje zdjęcie. I w nagłówek.

– „Święty Mikołaj gra na nosie słynnemu reporterowi z Los Angeles” – mruknął. – Miły tytuł. Robi ze mnie idiotę.

- Wiedziałałam, że ci się nie spodoba.
- A więc to nie pies ją schował.
- Claudia potrząsnęła głową i szybko spojrzała na grzanki.
- Są już gotowe.
- Aha...

Rzucił gazetę na stół, myśląc, że może się obejść bez czytania artykułu Iggy’ego, po czym spojrział groźnie na Morgana. To przez niego stracił szansę na pocałunek z Claudią. No, ale mają jeszcze przed sobą całe popołudnie i może nawet noc. W końcu zaoferowała się towarzyszyć mu w czuwaniu przed domem Greenaway’a...

Zwykle nie cierpiał tych długich, nudnych obserwacji, lecz perspektywa spędzenia paru godzin w ciemnym samochodzie z Claudią była zdecydowanie kusząca. Trzeba będzie się przytulić w obronie przed zimnem i kto wie, co może z tego wyniknąć?

Wyłożył grzanki na talerze, a ona podała czekoladę. I właśnie w chwili, kiedy siadali do stołu, zadzwonił dzwonek do drzwi, przypominając Morganowi, że jest psem obronnym i wprawiając go w zwykły szal ujadania.

– Sekundeczkę – powiedziała Claudia, wychodząc z kuchni i każąc Morganowi przestać szczekać. Mike usłyszał, jak otwiera drzwi wejściowe i mówi: – O, to ty, Pete... Morgan, idź na dwór.

Imię Pete coś mu mówiło. To drugi współpracownik Iggy’ego, który – jak wyznał pilot awionetki – „czuł miętę do Claudii”.

Nie mylił się. Kiedy przybysz wszedł za nią do kuchni, przedstawiła go jako Pete’a Dolemana z „Kuriera”. Nie wyglądał na groźnego rywala. Był po trzydziestce, niskawy i łysiejący.

– Przykro mi, że nie zdołałem przywitać pana wczoraj – powiedział na wstępie. – Och, nie chciałem przeszkadzać wam w lunchu. Chciałem tylko poznać naszego sławnego gościa.

– Siądź i napij się z nami gorącej czekolady. I mów mi po imieniu.

Doleman skwapliwie skorzystał z oferty i przysunął sobie krzesło.

– No więc co sądzisz o artykule Iggy’ego? Zgadzasz się z nim? Myślisz, że złapanie Mikołaja zajmie ci trochę czasu?

– Mam nadzieję, że nie. Pojechałem dziś z Paquette przesłuchać jednego z podejrzanych i omal nie zamarłem na śmierć.

– Ach tak? Z kim rozmawialiście?

– Z Wayne’em Greenawayem.

– Z Greenawayem? – powtórzył Pete, rzucając Claudii dziwne spojrzenie.

– Uważasz, że to nie on?

– Bo ja wiem... Może.

– A kogo ty typujesz?

– Wolę zatrzymać swoje domysły dla siebie. W końcu to był temat

Claudii.

Jego mina wyraźnie świadczyła, co sądzi o tym, że Iggy oddał ten temat komuś obcemu. I że ten ktoś go wziął.

Mike omal się nie roześmiał, czując ironię sytuacji. Gdyby mógł, z największą radością rzuciłby to w diabły, wrócił do ciepłego Los Angeles i nigdy więcej nie poświęcił miasteczku Victoria Falls najkrótszej myśli. Choć z drugiej strony, trudno mu będzie zapomnieć Claudię.

Spojrzał na nią, zaskoczony tą refleksją. Najwyraźniej przywiązał się do niej bardziej, niż mógłby przypuszczać.

– Pete – mówiła do swojego współpracownika – sam fakt, że to nie był twój temat, nie znaczy, że nie możesz mieć swojej opinii.

Doleman posłał Claudii porozumiewawczy uśmiech.

– No – zachęcała go – powiedz, kogo podejrzewasz.

– Naprawdę chcesz?

– Oczywiście. Nie bądź śmieszny. Zarówno Mike, jak i ja chcielibyśmy poznać twoje zdanie.

– No więc dobrze. – Pete zerknął spod oka na Mike'a. – Osobiście uważam, że to Claudia.

– Co?! – Jej mina wyrażała najwyższe zdumienie.

Dopiero po paru sekundach Mike zorientował się, że to niemożliwe.

– Wykluczone – oświadczył. – Była ze mną i z Iggyem, kiedy widzieliśmy wczoraj Mikołaja.

– Och, to nie był właściwy Święty Mikołaj. To byłem ja. Wymyśliliśmy z Iggyem ten mały żarcik powitalny, żeby nadać twojej wizycie odpowiednią oprawę.

Claudia siedziała gotując się ze złości, podczas gdy Pete popijał w nieskończoność swoją czekoladę i zabawiał Mike'a rozmową.

Z pewną dozą szczęścia mogłaby może posterować odpowiednio swoim gościem przez cały czas jego pobytu. Ale to się nie uda, jeśli on przestanie jej ufać. Więc tylko tego jej brakowało, żeby Pete zaczął rzucać teraz na nią jakieś absurdalne oskarżenia.

– Pyszna czekolada – powiedział teraz, odstawiając pusty kubek i spoglądając znacząco na garnek stojący na kuchence.

– Dzięki – odparła.

Zamiast jednak zaproponować następną porcję, dała mu do zrozumienia, że uważa wizytę za skończoną i odprowadziła go do drzwi. Narzuciła na siebie płaszcz i wyszła z nim na zewnątrz, nie ryzykując rozmowy w korytarzu. Radio w tej chwili nie grało, a Mike O'Brian nie taił przecież, że podsłuchiwanie niemal weszło mu w krew.

– Co cię, do cholery, napadło? – spytała, zamykając za sobą drzwi i schodząc za Pete’em po schodach.

– Hm? O co ci chodzi?

– Nie udawaj niewiniątka. Co to za bzdury, że podejrzewasz akurat mnie? Pete wzruszył ramionami.

– Uznałem za dyskryminację kobiet to, że wszyscy zawsze wskazują na mężczyznę.

– Odkąd się tak przejmujesz dyskryminacją kobiet?

– Hej, rozchmurz się. Wiem, że nie chcesz, żeby O’Brian zbyt szybko doszedł prawdy. To by mogło sugerować twoją niekompetencję. Więc pomyślałem, że ci pomogę, dając mu coś nowego do przemyślenia.

– Jeśli przyjdą ci do głowy jeszcze jakieś pomocne pomysły, to zatrzymaj je dla siebie.

– Claudio, o co się złościś? Przecież nie jest dla nikogo żadną tajemnicą, kim jest Mikołaj. Nawet dla Iggy’ego, który jest po prostu zbyt uparty, żeby to przyznać. Więc prawdę mówiąc, dziwię się, czemu O’Brian nie pojechał z miejsca do Nilssonów.

– Pete, nie mógłbyś zmusić swojej mózgowicy do pracy? Iggy chce mieć cały cykl artykułów. I ma nadzieję, że będą przedrukowane przez sporą liczbę gazet w całej Ameryce. Nie ma żadnego powodu, żeby czytelnicy tych gazet nie wierzyli, że mamy tu do czynienia z prawdziwą zagadką. Ale jak ich o tym przekonać, jeśli od razu wejdą na tapetę Gord i Norm?

– Hmm, no tak. I sądzisz, że Greenaway może naprawdę uchodzić za kogoś, kto wzbudza choćby cień podejrzeń? Jakim cudem w ogóle skłoniłaś O’Briana, żeby się do niego fatygował?

– Pete, wyświadcz mi przysługę. Pozwól, że sama się zatroszczę o O’Briana, dobrze?

Doleman wepchnął ręce do kieszeni i spojrzał na dom.

– Może ktoś się powinien zatroszczyć o ciebie – mruknął.

– Co to niby ma znaczyć?

– To ma znaczyć, że kiedy Iggy powiedział mi, że zaprosiłaś go do siebie, nie wierzyłem własnym uszom. A teraz, kiedy go poznałem, jestem jeszcze bardziej zdumiony. To zupełnie jakby Czerwony Kapturek zaprosił do siebie wilka.

– Dajże spokój! Nie jestem postacią z bajki dla dzieci, a O’Brian nie jest wilkiem. Zachowuje się jak prawdziwy džentelmen.

– Doprawdy? Nie liczyłbym na to na dłuższą metę: Może taki gość jak on potrafi omamić kobietę, ale mnie nie zwiedzie. Założę się, że ma za sobą więcej zdobyczy miłosnych niż Morgan pcheł.

– Mój pies nie ma pcheł.

– Wszystkie psy mają pchły. Mnóstwo pcheł. A tacy faceci jak O’Brian

mają mnóstwo przygód. Możesz mi wierzyć, Claudio. I jeśli do tej pory był dżentelmenem, to tylko część jego gry.

Mike obserwował ich ukradkiem z okna salonu i zastanawiał się, o czym tak rozprawiają. I co właściwie Doleman ma na myśli, sugerując, że to Claudia może się bawić w Świętego Mikołaja. To oczywista bzdura. Więc o co mu chodzi? Jeśli rzeczywiście jest nią zainteresowany, może być zazdrosny, że on tu mieszka. I stara się rzucić na nią podejrzenie, żeby się jego domniemany rywal trzymał z daleka. Ale czy nie mógłby wymyślić czegoś mądrzejszego?

Nawet gdyby Claudia jakimś cudem miała dość pieniędzy – na przykład ze spadku po matce – nie mogła rozdawać ich w formie prezentów, choćby dlatego, że zeszłej nocy, kiedy Mikołaj robił kolejną rundę, była tu z nim w domu.

Ale czy na pewno? Nalewka Raymonda tak skutecznie zwała go z nóg, że spał jak zabity. A więc teoretycznie mogła niepostrzeżenie wyjść na dobrych parę godzin. A może...

Teraz, kiedy jego podejrzliwa natura doszła do głosu, zdał sobie sprawę, że zeszłej nocy mogło nie być żadnych dostaw. Nie słyszał rano żadnych telefonów, które miały o tym zawiadamiać. Wiedział o tym tylko od niej...

Zerkając ponuro przez okno na jej skuter śnieżny, teraz okryty brezentem, pomyślał, że gdzieś w pobliżu mogą być ukryte sanie. No i w takim wypadku musiałaby tylko schować jeszcze dzwoneczki.

Zwariował, powiedział do siebie. Gdyby to była ona, nie zaoferowałaby ci gościny. Chyba że jest wyjątkowo przebiegła... Albo ma pomocnika.

Rozejrzał się po salonie, ale nie znalazł miejsca, gdzie można by bezpiecznie ukryć dzwoneczki. Była zbyt sprytna, żeby chować je w kuchni lub w łazience. Zostawał jej pokój, szafa na bieliznę albo piwnica.

Uznał, że to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne. Biorąc na zdrowy rozum, nie miał żadnego powodu tam schodzić. Upewnił się jeszcze raz, że Claudia i Pete są nadal pogrążeni w dyskusji i skierował się do drzwi piwnicy. Po drodze wymyślił sobie wymówkę, że gdyby Claudia go przyłapała, to powie, że musi uprać parę rzeczy i szuka pralki.

Wysoki śnieg przysypał całkowicie okna piwnicy, pogrążając ją w sinym mroku. Mike zszedł po omacku po schodach, poczekał chwilę, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności i postąpił parę kroków naprzód, szukając kontaktu.

Nagle ogarnęło go dziwne uczucie, że nie jest sam. Zastygł bez ruchu, nastawiając uszu. Przez moment panowała całkowita cisza, a potem dobiegł go odgłos czyjegoś oddechu – tak blisko, że niemal czuł go na szyi.

Odwrócił się szybko i nawet w tym przyćmionym świetle nie mógł mieć wątpliwości, co błysnęło mu przed oczami: czerwony kostium, czarne wysokie buty, długa biała broda i uniesione ramię.

Uniesione ramię? To była ostatnia myśl, jaką zarejestrował, zanim ramię opadło, rozwalając mu głowę i pogrążając w ciemnościach.

Kiedy Claudia wróciła do domu, na jej drodze stanął Święty Mikołaj.

Zatrzymała się w pół kroku, zdjęta paniką. Przyrzekł, że nie będzie więcej przyjeżdżać do miasta w innych celach niż dostarczanie prezentów. A i wtedy tylko głuchą nocą.

– Postradałeś zmysły? – wysyczała, kiedy odzyskała głos.

Do głowy cisnęło się jej tyle pytań, że nie wiedziała, w jakiej kolejności je zadać. Co on tu robi? Dlaczego jest w kostiumie Mikołaja? Dlaczego ma przerzuconą przez ramię czarną pelerynę, a w rękę mosiężny świecznik?

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – wykrztusiła w końcu. – W kuchni jest O'Brian!

– Nie, O'Brian jest... Wpadłem tu tylko po coś.

– W biały dzień?

– Zostawiłem furgonetkę kilka domów dalej i nikt mnie nie zauważył.

– W tym kostiumie?

– Miałem na wierzchu pelerynę z kapturem.

– Cudownie, wyglądałeś więc najwyżej jak Drakula. I nie mogłeś zwrócić niczyjej uwagi.

– A co miałem robić? Nie zdążyłem jeszcze zdjąć kostiumu, bo do świtu jeździłem po domach. Kazałaś mi jak najszybciej skończyć robotę, nie pamiętasz?

– Ile to jeszcze potrwa? Boję się, że stanę się nerwowym wrakiem.

– Już niedługo. Przy odrobinie szczęścia skończę w poniedziałek albo wtorek.

– I wtedy się ukryjesz? Przyrzekasz?

– Cały czas się ukrywam.

– To się nazywa ukrywanie?

– Skąd mogłem wiedzieć, że wróciacie tak szybko?

– Co? Masz do mnie pretensje, że wróciłam do własnego domu?

– Nie, ale z tego co mówiłaś wczoraj przez telefon, zrozumiałem, że spędzicie co najmniej pół dnia u Nilssonów. Zaskoczyłaś mnie.

– Strasznie cię przepraszam, ale jeszcze mi nie powiedziałaś, po co tu przyszedłeś. Po ten świecznik? Wyprawiasz dziś wieczorem uroczystą kolację?

– Nie, nieważne. Chciałem coś wziąć.

– Co?

– Claudia, powiedziałem, że to nieważne. Ale kiedy próbowałem to znaleźć, ty i O'Brian wróciście do domu, więc ukryłem się w piwnicy. A potem on tam zszedł i... Przeszukiwałem różne pudełka, w jednym był ten świecznik, więc kiedy usłyszałem, że schodzi... Nie miałem wyjścia, musiałem go ogłuszyć.

– Co takiego?!

Ruszyła pędem ku schodom do piwnicy, czując, że serce wali jej jak młot.

– Nic mu nie będzie – powiedział, idąc za nią. – Nie uderzyłem go zbyt mocno.

– Jasne. Stuknąłeś go tylko leciutko, żeby stracił przytomność. Jeśli coś mu się stanie, to cię zabiję, przysięgam.

– Claudia, nic mu nie będzie – powtórzył. – A co miałem robić? I w ogóle czego on szukał w piwnicy?

Mike leżał na cementowej podłodze, pojękując z cicha. Przynajmniej żyje, pomyślała z ulgą. I lada chwila odzyska przytomność.

– Wynos się stąd! – zarządziła, pukając przybysza palcem w piersi. – Zadzwonię później. I nie omieszkaj odebrać telefonu, bo mam całą masę pytań. A w międzyczasie przemyśl sobie jedno z nich. Jeśli nie dotrzymujesz umowy, to niby czemu mam ci dalej pomagać?

Uśmiechnął się.

– Bo mnie kochasz?

– Idź już – powiedziała tylko. Ale oczywiście miał rację.

Mike leżał na kanapie, a Claudia sprawdzała mu puls, rozmawiając jednocześnie przez telefon ze swoją lekarką.

– Nie – mówiła. – Nie krwawi, ma tylko siniaka. Puls wydaje mi się regularny.

Otworzył usta, żeby jej powiedzieć, że jedyne, co mu dolega, to łupiący ból głowy, ale znów kazała mu się uciszyć. Nie pozwoliła mu dojść do słowa, odkąd odzyskał przytomność, twierdząc, że musi się najpierw upewnić, czy mówienie mu nie zaszkodzi. A skoro tak bardzo podoba jej się rola pielęgniarki... W gruncie rzeczy nie jest to takie nieprzyjemne.

Miło było widzieć ją obok siebie na kanapie, czuć ciepły dotyk jej ręki, wdychać jej słodkie perfumy, nasuwające erotyczne myśli. Pomagało mu to zapomnieć o pulsującym bólu w czaszce. Cieszyło go też ciepło jej biodra, dotykającego lekko jego uda.

– Nie wiem dokładnie, co się stało – mówiła do telefonu – ale ktoś musiał wejść do domu, nigdy nie zamykam bocznych drzwi. I kiedy O'Brian zszedł do piwnicy, ten ktoś rąbnął go w głowę. Czym? – Zawahała się. – Tego

również nie wiem. Mike, czym cię uderzył?

– Czymś twardym.

– Nie jesteśmy pewni. Nie, nic nie widziałam. Kiedy go znalazłam, tego faceta już nie było.

Mike zamknął oczy, myśląc, jaką ma dla niej niespodziankę. Może ona nie widziała napastnika, ale on owszem.

– Kręciło ci się w głowie? – spytała. – Kiedy szedłeś ze mną po schodach?

– Troszeczkę – przyznał i otworzył oczy. – Troszeczkę – powtórzyła do telefonu.

– Czy mogę już mówić? – dociekał. Claudia przekazała pytanie i kiwnęła głową.

– Tak, będziemy czekać. Wielkie dzięki... Co, zgłosić na policję? Rzeczywiście, chyba powinniśmy to zrobić.

Zgłosić to na policję? Erotyczne myśli natychmiast wywietrzały Mike'owi z głowy. Claudia odłożyła słuchawkę i spojrzała na niego z troską.

– Moja lekarka mówi, że zajrzy tu zaraz, jak skończy przyjmować pacjentów, ale pewno nic ci nie będzie.

– Cały czas usiłuję ci to powiedzieć.

– Chyba – dodała, jakby go nie słysząc – że miałbyś wymioty, podwójne widzenie albo jakieś inne niepokojące symptomy.

– A gdyby tak było, to amputuje mi głowę, zanim wda się gangrena, tak?

– Bardzo śmieszne – mruknęła.

Ale widział, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

– Leż spokojnie – zaordynowała, kiedy zaczął się unosić. – Masz się nie ruszać, dopóki cię nie obejrzy.

– Doskonale, Paquette. – Podciągnął się ostrożnie na rękach i usiadł. – Więc się nie będę ruszał na siedząco. Chcesz wiedzieć, kto mnie uderzył?

– A ty wiesz?

Chciał pokiwać głową, ale to spotęgowało ból, więc powiedział krótko:

– Święty Mikołaj.

– O mój Boże – szepnęła. – Uderzył cię mocniej, niż nam się zdawało. Masz halucynacje.

– Nie mam żadnych halucynacji. Nie widziałem, czym mnie uderzył, ale zdążyłem go zobaczyć. To był Mikołaj.

– Ale... co on by robił w mojej piwnicy? I dlaczego miałby cię ogluszać?

– Skąd mam to wiedzieć? Może przyszedł sprawdzić, co napiszę w artykułach, szukał jakiś notatek czy zapisków.

– I uważał, że znajdzie je w piwnicy? Oraz przyszedł po nie w swoim kostiumie Świętego Mikołaja? Nie wydaje ci się to ciut nielogiczne? Nie sądzisz, że wolałby odrobinę mniej rzucić się w oczy?

– Pod warunkiem, że byłby przy zdrowych zmysłach. Więc może ten nasz bohater ma trochę nierówno pod sufitem. W każdym razie wiem, kogo widziałem. A w ogóle, to żadnej policji.

– Słucham?

– Mówię o tym pomyśle twojej lekarki. Nie będziemy ich o niczym zawiadamiać. Zapomnij o tym.

Claudia poczuła niewysłowioną ulgę. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to interwencją policji.

– I nie kłóć się ze mną, panno Paquette.

Jego mina wskazywała na to, że rzeczywiście sobie tego nie życzy. Ale dlaczego? Przecież to on jest ofiarą. Chcąc poznać odpowiedź, sprzeciwiła się, przybierając stanowczy ton.

– Jednak powinniśmy ich chyba zawiadomić.

– I zrobić z tego powszechną sensację? Cudownie. Iggy będzie zachwycony.

– Co ma do tego Iggy?

– Wyobrazasz sobie, jaki będzie następny nagłówek jego artykułu? „Święty Mikołaj cudem uchodzi z życiem przed snajperami z Los Angeles”. Zostaną wystawiony na pośmiewisko.

– Aaa, rozumiem. – Przygryzła wargi, kryjąc uśmiech. – Ale czy ktoś ci już powiedział, że powinieneś popracować nad swoimi tytułami? Są zbyt rozbudowane, żeby przykuć wzrok.

Przesłał jej ponure spojrzenie.

– Tak, ktoś mi zwrócił na to ostatnio uwagę. Ale wtedy, o ile pamiętam, padło słówko: „przydługie”.

Pomyślała, że jest jeszcze przystojniejszy, kiedy się złości. Jego niebieskie oczy rzucały błyskawice, a zaciśnięte zęby dodawały mu jedynie męskiego uroku.

– Wracając do tego, co się stało – powiedziała, odrywając z trudem wzrok od jego podbródka jeśli nie zwołamy policji, powinniśmy przynajmniej sami spróbować dociec, o co tu chodzi. Bo po prostu nie mogę uwierzyć, że to Święty Mikołaj był w mojej piwnicy. – I nie chcąc tracić czasu na kłótnie, dodała szybko: – To znaczy nie wątpię, że widziałeś kogoś w jego przebraniu, ale to nie mógł być prawdziwy Mikołaj. Przecież jeśli nie chce, żebyś go zidentyfikował, to po co miałby ryzykować spotkanie z tobą twarzą w twarz? Gdybyś na przykład zerwał mu brodę, byłoby po wszystkim.

– Szkoda, że straciłem taką okazję – mruknął Mike. – Ale co mi właściwie chcesz powiedzieć? Że cała gromada Świętych Mikołajów biega u was po mieście? Wczoraj Pete, a dziś ktoś inny?

– Tym razem to nie mógł być Pete. Rozmawiał w tym czasie ze mną przed domem.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panno Paquette. Rąbnięcie w głowę nie pozbawiło mnie pamięci. Pytam jedynie, co się tu właściwie dzieje? Czy każdy mieszkaniec ma w szafie kostium Świętego Mikołaja? I przebiera się, kiedy najdzie go ochota? To jakiś taki osobliwy kanadyjski zwyczaj?

– Oczywiście, że nie.

– Więc może jednak to był prawdziwy Mikołaj, który usiłował mnie unieszkodliwić, żeby mi jasno dać do zrozumienia, że nie życzy sobie być zidentyfikowany.

– Możliwe – przyznała z ociąganiem. – Ale jeśli jest gotowy na wszystko, to lepiej porozmawiajmy z Iggym. Przekonajmy go, że powinieneś zmienić wyźwięk artykułów.

– W jaki sposób?

– Zająć się tylko opowieścią o eskapadach Mikołaja, a nie próbą zidentyfikowania go.

– Co? I pozwolić, żeby jakiś lokalny kmiotek w czerwonym kubraczku mnie wykiwał? Claudio, czyś ty zwariowała? Artykuł Iggy’ego, rzucający mi wyzwanie, poszedł już w świat. Ukaże się w wielu gazetach jako wprowadzenie do moich artykułów. Czy chcesz, żebym teraz napisał, że nie podjąłem tego wyzwania?

– Przecież oboje wiemy, że to była inscenizacja. Mająca dodać kolorytu twojemu przyjazdowi.

– Mająca umożliwić twojemu naczelnemu napisanie barwnego wstępniaka. Tak czy owak, nikt już w tej chwili nie uwierzy, że to był tylko kiepski dowcip. Jeśli się wycofam, wszyscy uznają, że się poddałem.

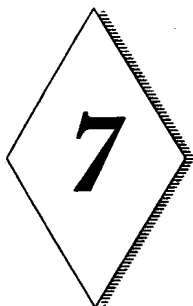
– To chyba nie oznacza jeszcze końca świata. A w przeciwnym wypadku możesz znowu oberwać albo i narazić się na coś gorszego.

Mike posłał jej kolejne druzgocące spojrzenie.

– Czy naprawdę nie rozumiesz, jak bardzo wycofanie się z takiej idiotycznej sprawy zaszkodziłoby mojej opinii? Nie mógłbym się więcej pokazać w redakcji.

– Ale...

– O, nie, Paquette. Nie zadzwonimy na policję i nie powiemy nic Iggy’emu. Po prostu zdemaskujemy tego osobnika.



– Dziwna rzecz, ale jest tu całkiem przytulnie – powiedział Mike, omiatając wzrokiem jeeпа i spoglądając na Claudię.

Miała na sobie futrzaną czapeczkę naciągniętą na uszy, a światło księżyca posrebrzało jej opadające na ramiona włosy. Nie mógł się oprzeć myśli, że wygląda po prostu niezziemsko. Przynajmniej w tej części, która nie była ukryta pod śpiworem.

– Siedzimy tu już dwie godziny – ciągnął – a właściwie prawie nie zmarzłem. W Kalifornii nigdy bym nie pomyślał, żeby wyposażyć się na obserwację w kombinezon, koce i jeszcze na dokładkę śpiwór.

– W Kalifornii temperatura nie spada poniżej trzydziestu stopni.

Uśmiechnęli się do siebie, ale Claudia sprawiała wrażenie mocno zdenerwowanej. A jedyną tego przyczyną mógł być on sam – co skutecznie powstrzymywało jego zapędy.

Przez ponad godzinę rozważał, jak by tu zastosować stary trik i niby to niewinnie objąć ją ramieniem, ale jej spięty uśmiech kazał mu to przemyśleć. Poza tym istniała druga przeszkoda w postaci śpiwora, który skutecznie wzięził ręce.

Patrząc na drogę przed domem Greenawaya, Mike zastanawiał się, jakie też myśli chodzą Claudiі po głowie. Atmosfera między nimi była tak naładowana, że aż sypało iskrami, a Claudia zdawała się robić wszystko, aby tego nie zauważać. On zaś nie potrafił tego zignorować, choćby nie wiem jak chciał.

Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, puls zaczynał mu bić niespokojnie, a serce walić jak oszalałe. W końcu uznał, że lepiej zaryzykować odmowę niż zawał i wyjął ręce ze śpiwora. Lodowate powietrze natychmiast zaczęło go szczypać w skórę.

– Pomyślałeś o kawie? – spytała Claudia. – To świetnie.

Mrucząc coś pod nosem, odkręcił termos, nalał kawy i podał jej kubek.

– A ty nie chcesz?

– Podzielimy się.

Kiedy upiła parę łyków, sięgnął po kubek i nakrył jej palce dłonią.

– Rozgrzeję trochę silnik – powiedziała, usuwając sprytnie rękę. – Inaczej może nam nie zapalić w najmniej odpowiednim momencie.

Upił trochę kawy, zaczynając się martwić, czy nie było z jej strony jakiś negatywnych sygnałów, które przeoczył. Ale potem uśmiechnęła się do niego i fala ciepła, jaka go ogarnęła, uspiła jego obawy.

Claudia włączyła silnik, nie ważąc się więcej na niego spojrzeć. Wbiła wzrok w oświetloną księżycem drogę, myśląc, że siedzenie tu z Mikiem O'Brianem było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich się podjęła. Ponieważ mimo przejmującego zimna za każdym razem, kiedy jej, oczy zatrzymywały się na nim, czuła przenikające ją gorące iskierki.

Od razu wiedziała, że nie powinna była z nim tu przyjeżdżać. Należało po prostu zadzwonić do Mikołaja i ostrzec go, żeby nie pojawiał się w pobliżu domu Greenaway. A potem spokojnie zostać w łóżku i nie przejmować się O'Brianem – co by niechybnie zrobiła, gdyby nie to wydarzenie w piwnicy, kiedy oberwał w głowę.

Doktor Bennet powiedziała co prawda, że nic mu nie jest i on sam też sprawiał takie wrażenie. Napisał nawet swój pierwszy artykuł o Wayne Greenaway i wyprawie na ryby, a potem nalegał, żeby zawieźć to od razu do redakcji i zostawić dla Iggy'ego na poniedziałek rano.

Jednak mimo wszystko uważała, że nie należy go puszczać samego w nocy. A ponieważ się uparł, że pojedzie, nie miała innego wyboru, niż mu towarzyszyć.

Do niej jednak należała decyzja, czy coś między nimi zajdzie. I postanowiła, że nic nie zajdzie. Absolutnie nic. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, powiedziała sobie, to dodatkowe komplikacje.

– Chyba Greenaway nie zamierza się dzisiaj nigdzie wybierać – odezwał się Mike.

Otworzyła usta, żeby przyznać mu rację, jej wzrok napotkał jego spojrzenie i słowa utknęły jej w gardle. Nawet w półmroku samochodu widziała, że niebieskie oczy Mike'a emanują ciepłem zdolnym ogrzać Alaskę. Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej policzku, budząc miły dreszcz emocji.

– O'Brian, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – powiedziała drżącym głosem, czując, jak jej mocne postanowienie, aby nie mieć z nim nic wspólnego, odpływa w siną dal.

– Dlaczego? – szepnął.

– Możemy przeoczyć wyjście Greenaway.

– Nie możemy nie usłyszeć jego skutera.

Jego usta były milimetry od jej ust, a ciepło oddechu rozwiewało mroźne powietrze.

– Może tylko jeden mały pocałunek? – zaproponował. – Jeśli nam się nie spodoba, to się wycofamy.

Ta propozycja brzmiała logicznie – chociaż musiała przyznać, że jego bliskość może nieco zaburzyć jej proces myślenia. Ale to było tylko przypuszczenie, a ponieważ niczego tak nie pragnęła, jak go pocałować, uległa temu pragnieniu.

I kiedy to zrobiła, zaczęła się zastanawiać, co za diabeł kazał się jej opierać, bo całowanie się z Mikiem O'Brianem było najcudowniejszą rzeczą pod słońcem. Z chęcią robiłaby to do końca świata.

Jego usta były miękkie i ciepłe, podbródek pod jej palcami twardy jak skała, a skóra z jednodniowym zarostem kusila męskim urokiem. Kiedy zaczął pieścić jej usta językiem, stopniała jak wosk. Smakował kawę i pachniał cierpką wodą kolońską. Uścisk jego ramion napawał ją rozkoszą.

Przyłgnęła do niego, zarzucając mu ręce na szyję i wsuwając palce pod szalik. Ciepło, które od niego biło, rozlało jej się po całym ciele, każąc zapomnieć o mrozie.

– No i co? – szepnął, odrywając od niej na chwilę usta.

– Co z czym?

– Podoba ci się, czy powinniśmy raczej zrezygnować?

– Bardzo śmieszne, O'Brian.

Uśmiechnął się do niej i znów zaczął ją całować do utraty tchu – aż usłyszeli z daleka trzaśnięcie drzwi i warkot silnika.

– To Wayne! – powiedziała Claudia, wydobywając się z objęć Mike'a i prostując za kierownicą jeepa.

– Ale wziął samochód, nie skuter – zauważył Mike.

– Może ma skuter schowany gdzie indziej, razem z prezentami.

Wiedziała jednak, że to nieprawda, więc dokąd Greenaway właściwie zmierza?

Jak się przekonali, jadąc za nim ze zgaszonymi światłami, zmierzał do budynku administracyjnego spółki.

– Może tu właśnie ma kryjówkę – powiedział Mike, kiedy stanęli ostrożnie na uboczu.

– Może. Poczekamy i zobaczymy, co dalej?

– No myślę.

Greenaway otworzył własnym kluczem drzwi frontowe i wszedł do budynku. Po chwili w jednym z okien zapaliło się światło.

– To jego gabinet – oznajmiła Claudia. – Byłam tam kiedyś.

Odczekali jakiś czas, ale nic się nie działo.

– Chodźmy – zarządził w końcu Mike. – Zobaczmy, co on tam robi.

Wyszli z jeepa i podkradli się do budynku, podchodząc na palcach do oświetlonego okna.

– Tylko nie daj się przyłapać – ostrzegła go Claudia.

– Za kogo mnie masz? – oburzył się, zaglądając z ostrożnością do środka.

– Siedzi przy biurku i pracuje – oświadczył.

– O tej porze?

– Widać jest pracoholikiem. Ale wróćmy na razie do jeepa i poczekajmy jeszcze chwilę, w razie gdyby miał zamiar zabawić się w Mikołaja trochę później.

– Już jest rano – powiedział cicho Mike.

– Co? – mruknęła Claudia.

Leżała z głową na piersi Mike'a, otoczona jego opiekuńczym ramieniem. Wiedziała, że jeśli się poruszy, zimno zaatakuje ją ze wszystkich stron, co tym bardziej skłaniało Claudię do niezmienniania pozycji.

– Jest rano – powtórzył. – I jeśli Greenaway to Mikołaj, tym razem zrobił sobie wolne.

Niechętnie otworzyła oczy, patrząc na różowiejącą linię horyzontu. Samochód Greenaway'a nadal stał przed budynkiem.

– Wiesz, ta jego praca po nocy wydaje mi się dziwna – rzekła z namysłem. – Biura są oficjalnie zamknięte na okres świąt, a skoro kopalnie i tak stoją, to co on może mieć do roboty?

Kiedy Mike odpowiedział wzruszeniem ramion, spytała:

– Naprawdę zasnęłam, czy tylko drzemałam?

– Zasnęłaś. Jakąś godzinę czy dwie temu.

Przypieczętował to szybkim pocałunkiem, co jej uświadomiło, że ma obrzmiałe usta od całowania się z nim zeszłego wieczoru.

– Nawet chrapałaś – dodał.

– Nic podobnego. – Spojrzała na niego z oburzeniem. – Nigdy nie chrapię.

Uśmiechnął się lekko.

– Może to było tylko głośniejsze pojękiwanie.

– Ani nie pojękuję.

– Kiedy następnym razem spędzimy wspólnie noc, nastawię magnetofon.

Odwrociła od niego wzrok, przeczesując palcami zmierzwione włosy. Nie miała zamiaru dopuszczać nawet do pierwszego razu, a co dopiero do następnego. I gdyby mieli jeszcze kiedyś spędzić wspólnie noc, zapewne nie skończyłoby się na zimnym samochodzie z dzielącym ich stosem ubrań i śpiworów. W obecności Mike'a zupełnie traciła głowę, nie mówiąc już o silnej woli.

– Jedziemy? – spytał. – Umieram z głodu.

Na szczęście nie był w rozmownym nastroju, więc mogła spokojnie pomyśleć. Dzisiaj jest niedziela – udawało się jej wodzić go za nos od piątku. Radzi sobie z tym całkiem nieźle. Istnieje szansa, że zdoła poprowadzić tę grę jeszcze przez parę dni.

Zaczęła się zastanawiać, dokąd teraz powinna skierować Mike'a, lecz nieopatrznie zerknęła na niego spod oka i na sam widok jego wyrazistego profilu zapomniała o wszystkich planach. Jedyne, o czym potrafiła teraz myśleć, to fakt, że on już wkrótce wyjedzie i nigdy więcej go nie zobaczy.

Poczuła ucisk w gardle. Mówienie sobie, że to przesada, nic nie pomagało.

Ledwo go znasz, karciała się. No i co z tego? Nie ulega wątpliwości, że kiedy Mike O'Brian zniknie z jej życia, będzie za nim tęsknić. I to bardzo. A skoro już się czuje tym przybita, co będzie za tydzień?

Postanowiła o tym w tej chwili nie myśleć. Zbyt bała się odpowiedzi, zwłaszcza gdyby sprawy między nimi zaszły jeszcze dalej. Już i tak postąpiła głupio, pozwalając na to, co było.

W parę minut później dojechali do Victoria Falls, a kiedy weszli do domu, Morgan przez dobre trzy minuty skakał jak oszalały po holu.

– To jego taniec opuszczonego psa – wytłumaczyła Mike'owi. – Lubi wzbudzać we mnie poczucie winy, kiedy uzna, że za długo zostawiłam go samego. Mogłeś jechać z nami – zwróciła się do Morgana – ale wcale by ci się to nie podobało. Zmarzliśmy na kość.

– No, bo ja wiem... – sprzeciwił się Mike. – Mnie momentami było całkiem gorąco.

Zanim zdobyła się na odpowiedź, wypuściła psa na dwór, szukając w myślach odpowiednich słów. Kiedy się odwróciła od drzwi, Mike patrzył na nią wyczekująco.

– Posłuchaj – powiedziała łagodnie. – Nie twierdzę, że to, co między nami zaszło, nie sprawiło mi przyjemności, ale nie powinnam była do tego dopuścić. Nasza sytuacja...

– Co, nasza sytuacja?

Wzruszyła ramionami, postanawiając być z nim szczerą.

– Powiem ci bez ogródek, Mike. Podobasz mi się, ale nie jestem zwolenniczką jednodniowych przygód. Ani nawet jednodotygodniowych. I nie

chcę zrobić czegoś, czego potem będę żałować.

Przez dłuższą chwilę milczał, w końcu kiwnął głową i powiedział:

– W porządku. Nietrudno to zrozumieć.

– To znaczy, że nie masz nic przeciwko temu?

– Nie powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu. Powiedziałem, że nietrudno to zrozumieć. Postaram się zachować twoje słowa w pamięci. Bardzo bym nie chciał wylądować w tym podłym hotelu.

Nie wiedzieć czemu świadomość, że tak gładko przełknął jej odmowę, trochę ją zabolala. Może zbyt łatwo osiągnęła to, co nie do końca chciała osiągnąć.

– Wspominałem ci, że mam dwie siostry? odezwał się Mike. – Rachel i Sarę?

Kiwnęła głową.

– Otóż kiedyś w młodości przyczepiły do drzwi zdjęcie znajomego chłopaka i rzucały w niego strzałkami. Pomyślałem wtedy, że nigdy nie chciałbym być takim chłopakiem.

– Doskonale – odparła, zmuszając się do uśmiechu. – Więc pamiętaj, że Iggy ma twoje zdjęcie. I mogę w każdej chwili je pozyćczyć.

Skończywszy się golić, nadal robił sobie wyrzuty, że był w stosunku do Claudii taki oszczędny w słowach. Ale co innego miał jej powiedzieć?

Wytrzeł twarz ręcznikiem i spojrział na swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, czy nie powinien przynajmniej zapewnić ją, że bardzo mu się podoba i wcale nie myśli o tym, by przeżyć z nią krótkotrwałą przygodę.

No tak, ale z drugiej strony oboje wiedzą, że zostanie tu najwyżej tydzień, więc do jakiego wniosku miałyby prowadzić takie gadanie?

Do żadnego, powiedział sobie. W tej sytuacji nie ma sensu wdawać się w jakiegokolwiek rozważania. Musiał jednak przyznać, że będzie mu strasznie trudno trzymać się od Claudii z daleka.

Umył maszynkę do golenia i poszedł do kuchni, gdzie Claudia zaczęła już przygotowywać śniadanie. Zdążyła przedtem wziąć prysznic i jej mokre włosy zwiły się teraz w fale, których natychmiast zapragnął dotknąć.

Zwalczając to pragnienie, podszedł do blatu kuchennego i spytał, czy ma zrobić grzanki. Na widok jej uśmiechu postanowił przedyskutować jednak niektóre sprawy, lecz w tym momencie zadzwonił telefon. Przenośna słuchawka leżała tuż przy nim, więc spojrział na Claudię wzrokiem wyrażającym pytanie, czy ma odebrać.

– Nie, lepiej ja odbiorę – powiedziała, biegnąc przez całą kuchnię.

Z udanym brakiem zainteresowania odwrócił się i sięgnął po chleb, ale zaintrygowała go jej reakcja. Nie było żadną tajemnicą, że u niej mieszka.

Wiedziało o tym dobrych parę osób, a to tak, jakby wiedziało całe miasto. Czego się więc obawiała? Nastawił uszu, lecz Claudia była małomówna.

– To świetnie, prawda? – skwitowała czyjaś kwestię. – Rzeczywiście? – dodała po chwili. – Nie, myślę, że o nikim nie zapomni.

Znów nastąpiła dłuższa cisza, a potem powiedziała:

– Dzięki, powtórzę mu. Ale on uważa, że moje artykuły już wyczerpują tę kwestię, więc pewno nie. Zadzwoń, gdyby zmienił zdanie.

Skończyła rozmowę i spojrzała w stronę Mike'a.

– No i mamy z głowy teorię, że Greenaway zrobił sobie wolny dzień – oświadczyła ponuro, odchodząc w stronę kuchenki.

Zauważył, że wzięła z sobą słuchawkę, jakby naprawdę wołała nie ryzykować, że on odbierze telefon.

– Kiedy obserwowaliśmy Wayne'a – ciągnęła – Mikołaj znów się pojawił.

– I właśnie cię o tym zawiadomiono?

– Uhm... – Położyła bekon na patelni. – To była May Nowiki. Jej mąż jest jednym ze zwolnionych górników. Kiedy obudzili się dziś rano, na ich ganku stał kosz z żywnością i stos prezentów dla czworga dzieci.

– A więc Greenaway nie może być Świętym Mikołajem – powiedział Mike powoli. – Chyba że zeszedł nocy wysłał kogoś w zastępstwie.

– Co?

Wzruszył ramionami, starając się nie okazać Claudii, że żartuje.

– Nigdy nie wiadomo. Może się domyślił, że będziemy go śledzić i postanowił nas wykiwać. Skoro niemal każdy w mieście ma kostium Świętego Mikołaja, to chyba nietrudno mu było znaleźć zastępcę.

– Rzeczywiście. Tak, masz rację! – zawołała z entuzjazmem. – Zapewne tak właśnie było. A to by znaczyło, że jednak jest tym, kogo szukamy.

Mike zawahał się. Ani przez chwilę nie mówił poważnie. Ten pomysł był tak wysoce nieprawdopodobny, że Claudia nie mogła go kupić. Dlaczego więc tak jej zależało, aby uwierzył, że to Greenaway? Jego reporterski instynkt podpowiedział mu, że musi się jednak mieć na baczności. Za tym wszystkim kryje się coś poważniejszego, niż myślał.

– Prawdę mówiąc uważam, że to hipoteza niewarta funta kłaków – oświadczył. – I na razie mam zamiar dać sobie z Greenawayem spokój. A dzisiaj chciałbym pojechać do Nilssonów.

Spojrzawszy na zegarek, uznał, że jest za wcześnie, żeby dzwonić do jej ojca w sprawie samochodu. Ale jeśli rzeczywiście ma się trzymać od Claudii z daleka, przyjdzie mu to o wiele łatwiej, gdy zdobędzie własny środek transportu.

– Przecież ledwo wróciliśmy do domu – zaprotestowała. – Nie wolałbyś odpocząć przed kolejną wyprawą?

– Wytrzymam jeszcze parę godzin. Ale jeśli ty jesteś zmęczona, powiedz

mi tylko, jak tam dojechać i wybiorę się sam. O ile nie masz nic przeciwko temu, żeby pożyczyć mi jeepa.

– Naturalnie, że nie, ale wolałabym jechać z tobą.

Patrzył na nią spod oka, zastanawiając się, czy ona zdaje sobie sprawę, że im dłużej będzie z nią przebywał, tym trudniej przyjdzie mu dotrzymać słowa.

– Czego chciała ta kobieta? – spytał w końcu.

– May Nowiki? Mówiłam ci, chciała powiadomić mnie o wizycie Mikołaja.

– Ale mówiłyście jeszcze o czymś. Powiedziałaś, że mu powtórzysz i oddzwonisz, jeśli będzie chciał.

– Ach, o to ci chodzi. Pytała, czy nie chciałbyś przyjechać i zobaczyć, co im Mikołaj zostawił. Ale wiem, że nie jesteś tym zainteresowany. Poza tym jej zależy głównie na ujrzeniu swojego zdjęcia w gazecie i tylko się rozczaruje.

– Dlaczego? Mogę jej zrobić kilka zdjęć.

– Tak, ale Iggy ich nie zamieści, bo jej nie lubi. Więc to tylko strata czasu.

Słuchał Claudii jednym uchem, starając się rozgryźć, do czego zmierza. Minutę temu udawała, że nadal stawia na Greenawaya, a teraz usiłowała go odwieść od spotkania z May Nowiki. Nie miał pojęcia, czemu to robi. To wszystko zaczynało być coraz bardziej podejrzane.

Wizyta u Nilssonów może poczekać, zdecydował. Najpierw powinien się dowiedzieć, dlaczego Claudia nie chce, żeby porozmawiał z May.

– Wiesz – powiedział – może zbyt pochopnie uznałem wczoraj, że nie warto oglądać tych prezentów. Właściwie powinienem zobaczyć, co ci ludzie dostają, nawet jeśli Iggy nie zamieści żadnego zdjęcia.

– Naprawdę uważam, że to strata czasu.

– Mimo wszystko... – Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – rzekła, sięgając po pojemnik z jajkami. – Ale będziesz żałował.

Podjeżdżając pod dom May Nowiki, Claudia po raz setny gratulowała sobie, że tak sprytnie wciągnęła Mike'a w zmarowanie całego ranka.

Ten facet jest typowym przykładem urodzonego kontestatora. Jeśli powiesz jedno, on powie drugie. Wystarczy zasugerować, aby czegoś nie robić, a on natychmiast zacznie się przy tym upierać. Gdy tylko spróbowała go zniechęcić do tej wizyty, on natychmiast nabrał na nią ochoty. A przy gadulstwie May będą mieli szczęście, jeśli uda im się wyrwać przed południem.

Do tej pory Mike powinien wreszcie odczuć skutki nie przespanej nocy i dać się przekonać, żeby odłożyć Nilssonów na kolejny dzień.

Nie, nie, wręcz przeciwnie. Powinna nalegać, aby jechać do nich zaraz po lunchu. Wtedy on uzna, że jest zbyt zmęczony.

Gdy tylko wysiedli z samochodu, May ukazała się w drzwiach – świeżo umalowana, ubrana w długi biały sweter i zielone legginsy, tak obcisłe, że niemal pękały w szwach.

Parę lat starsza od Claudii, May była w latach szkolnych miejscową królową piękności. Jasnowłosa, wesoła i pewna siebie umawiała się z połową drużyny futbolowej w sezonie jesiennym i połową drużyny hokejowej w sezonie zimowym. Teraz, po dwunastu latach małżeństwa i czworgu dzieciach, była nieco starszą i bardziej ościęzłą wersją siebie z tamtego okresu.

– Wchodźcie, wchodźcie, uciekajcie z tego zimna! – zawołała. – O, widzę, że wziął pan z sobą aparat fotograficzny. Czyżby chciał pan robić zdjęcia?

Mike posłał jej zabójczy uśmiech.

– Z pewnością, jeśli tylko pani się zgodzi.

Claudia wzniosła oczy do nieba.

– Zaparzyłam kawę, kiedy zadzwoniłaś, że przyjeżdżacie. A dzieci wyszły z Tomem, więc nie będą nam przeszkadzać. Podskakiwały jak szalone, kiedy zobaczyły te prezenty i były takie podniecone, że omal nie rozniosły domu. Więc kiedy Tom zabierał Toma juniora na jego mecz hokejowy, kazałam mu wziąć całą czwórkę. Muszę czasem chwilę odzipnąć, bo inaczej bym zwariowała.

– Czworo dzieci to pełne ręce roboty – zauważył Mike usłużnie.

– Żeby pan wiedział. A teraz, kiedy jeszcze Tom jest bez pracy, czuję się, jakbym miała pięcioro. Nie wiem, jak przetrzymam te ferie świąteczne. Ale siadajcie, już podaję kawę.

– Piękna choinka – pochwalił Mike.

Claudia przytaknęła – rzeczywiście była piękna, rozłożysta i zajmowała pół pokoju.

– Tu leżą prezenty od naszego Mikołaja. Wskazała miejsce dłonią. – Te w czerwonej folii z zielonymi kokardami. Widziałam ich mnóstwo w ostatnich dniach. A tam w rogu stoi kosz. Był w nim indyk i inne specjały, ale na pewno May schowała to już do lodówki.

Mike podszedł obejrzeć koszyk.

– Nie ma żadnych znaków szczególnych ani nazwy sklepu.

– Wiem, sprawdzałam to już.

– Wszystkie prezenty są zawsze zapakowane tak samo?

– A bo co?

– Widać, że jest to robione fachowo, najpewniej w sklepie.

– Chyba tak...

Mike wziął jedną z paczek i przyjrzał się jej z bliska.

– Mówiłaś, że nie robi zakupów tutaj.

– To prawda – przyznała niechętnie.

Może to jednak nie był najlepszy pomysł, żeby go tu ścierać. Przy odrobinie wysiłku zdoła ustalić, który z magazynów używa w tym roku takich opakowań. A wołałaby, żeby nie miał żadnych wskazówek. Oprócz tych, które sama mu podsunie, oczywiście.

– No, to jedno przynajmniej wiadomo – powiedział Mike, wkładając paczkę z powrotem pod choinkę. – Prezenty są zapakowane profesjonalnie. I w dość drogi papier, co znaczy, że musi kupować je w dobrym sklepie. Gdzie jest najbliższy, duży...

– Już jestem – oznajmiła gospodyni, wchodząc z kawą:

Claudia uśmiechnęła się z ulgą. Nigdy jeszcze widok May Nowiki nie sprawił jej takiej przyjemności.

Ale była to przyjemność krótkotrwała. Kiedy May skończyła opowiadać historię o tym, jak to Tom junior odkrył prezenty, Mike zaczął robić jej zdjęcia, czarując ją przy tym bez opamiętania.

Najwyraźniej do czegoś zmierzał. I nie mogło to być nic, co by ją, Claudię, uszczęśliwiło. Pstryknął jeszcze parę razy i spytał:

– May, czy byłaby pani tak dobra, żeby jeszcze trochę mi pomóc?

– Ależ z miłą chęcią – zaszczebiotała.

– Dzięki.

Obdarzył ją ciepłym uśmiechem, który doprowadził Claudię do szału.

Czyżby była zazdrosna? Wyparła szybko tę myśl. Zazdrość o mężczyznę, z którym nie zamierzała mieć nic wspólnego, byłaby rzeczą głupią i małostkową.

– Chciałbym zobaczyć, co kryje się w tych pudełkach – mówił Mike do May. – Czy moglibyśmy otworzyć parę z nich, a potem bez śladu zapakować z powrotem?

– Możecie podrzeć papier – sprzeciwiła się szybko Claudia.

Jej niepokój wzrastał z każdą chwilą. Nie wiedziała, jaką teorię wymyślił Mike, ale im mniej zdobędzie informacji, tym lepiej.

– Jeśli będziemy ostrożni, nic się nie stanie – powiedziała May.

Mike obdarzył kobietę w podzięcie jeszcze jednym zabójczym uśmiechem i podszedł z nią do choinki.

– Które chce pan rozpakować? – spytała.

– Każde z dzieci dostało po trzy prezenty, tak?

May przytaknęła.

– Wobec tego otworzymy po jednym. Zobaczmy, co daje dzieciom w

różnym wieku.

Claudia z ponurą miną siedziała na kanapie, patrząc, jak May rozpakowuje z papieru pierwszy z prezentów.

– O mój Boże! Nie wierzę własnym oczom! – wykrzyknęła, zdejmując wieko pudełka. – Strój do gry w hokeja. Z numerem szesnastcie! Dokładnie to, o czym Tommy marzył.

– Coś takiego... – Mike z zainteresowaniem obejrzał strój. – Skąd Mikołaj mógł o tym wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Nilssonowie rzadko pokazują się w mieście, więc nie sądzę, żeby potracili rozpoznać Tommy'ego w gromadzie innych chłopców, a co dopiero wiedzieć, o jakim marzy prezencie.

– Nilssonowie... Myśli pani, że to oni bawią się w Świętego Mikołaja?

May wzruszyła ramionami.

– Niemal wszyscy tak uważają. Ale to dla pana chyba nic nowego. Pewno już dawno rozmawiał pan z nimi.

– Nie, jeszcze do nich nie dotarłem. Zajrzyjmy do drugiego pudełka. Claudio, może byś nam pomogła? Na przykład zajęła się ponownym pakowaniem.

– Taśmę klejącą i nożyczki znajdziesz w szufladzie stołu – dorzuciła May.

Claudia z nieszczęśliwą miną wzięła się do pakowania stroju hokejowego.

– Ojej! – krzyknęła May. – Popatrzcie, co jest dla Becky!

– Lalka – stwierdził Mike.

– To nie jest zwykła lalka – oświadczyła May. – To lalka, która chodzi i mówi. Becky będzie wniebowzięta. Marzyła o takiej na swoje urodziny, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Była bardzo rozczarowana.

Kątem oka Claudia widziała znaczące spojrzenie, jakie Mike jej przesyłał, udawała jednak, że nic nie zauważa, skupiona na pakowaniu.

– No, to naprawdę nie do wiary – mruknęła May, otwierając trzeci prezent. – Panczeny. Właśnie o to Vance prosił. A w tej wielkiej paczce musi być tobogan. I w tej drugiej warsztat majsterkowicza. Tom będzie musiał przeznaczyć połowę świąt na zmontowanie go: Wie pan, chyba otworzymy wszystko jak leci, bo teraz już nie mogę się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy wszystkie prezenty są tak trafione.

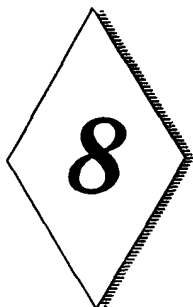
Jak się można było spodziewać, każdy pakunek zawierał coś, o czym jedno z jej dzieci marzyło. Im głośniej May to obwieszczała, tym trudniej przychodziło Claudii ignorować znaczące spojrzenia Mike'a.

– Bardzo jestem pani wdzięczny za pomoc – podziękował Mike gospodyni, kiedy otworzyła ostatnią paczkę – ale jeśli to Nilssonowie są Świętym Mikołajem, to kto im powiedział, czego pragną pani dzieci? Pani albo mąż?

– Nie, skąd – zaprzeczyła stanowczo. – Nie widzieliśmy ich od wieków. A

nawet gdybyśmy ich spotkali, nie przyszłoby nam do głowy, żeby ich tak naciągać. Dzieciaki jak to dzieciaki, gadają między sobą i ktoś musiał coś usłyszeć. Ale żeby tak trafić w dziesiątkę... – May zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Wiecie co? Jak większość ludzi uważałam, że to nie może być nikt inny, tylko Nilssonowie, ale teraz zaczynam mieć wątpliwości... Bo niby skąd mieliby tak dokładnie wiedzieć, co kupić?

– Tego właśnie spróbujemy się dowiedzieć – powiedział Mike, patrząc na Claudię. Uśmiechnęła się z przymusem, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jego wzrok jest pełen podejrzeń.



Claudia siedziała na kanapie, głaszcząc kota – który był w jednym ze swoich rzadkich towarzyskich nastrojów – i obserwując Mike’a.

Zadzwoił do jej ojca w chwili, gdy wrócili do domu od May Nowiki i teraz chodził tam i z powrotem po pokoju z bezprzewodową słuchawką przy uchu.

– No cóż – mówił – jeśli nic jeszcze nie znalazłeś, to znaczy, że to nie takie łatwe. Dobrze, zadzwoń, jak się coś znajdzie. Dzięki za wszystko.

Kiedy usiadł na drugim końcu kanapy, Claudia spojrzała na niego z niewinną miną:

– I co? Tato nic jeszcze nie załatwił?

– Mówi, że przy tej pogodzie ludzie mają kłopoty z akumulatorami i nikt nie chce się pozbyć drugiego auta. Ale może sam się popytam w okolicy? Przynajmniej zajrzę do tego warsztatu na Main Street. Powinni mieć jakiś wolny samochód.

– Na pewno wszystko już pożyczyci, bo to pierwsze miejsce, w którym ojciec by pytał. Właściciel warsztatu, Earl, to jeden z jego kumpli od pokera.

– Co nam jeszcze zostaje? Może Iggy? Myślisz, że mógłby...

– Mike! Ojciec byłby bardzo urażony, gdyby usłyszał, że próbujesz coś załatwiać na własną rękę. Jakbyś nie wierzył, że sam robi, co może.

– Hmm... Może masz rację.

– Poza tym naprawdę nie mam nic przeciwko temu, żeby cię wozić. To bardzo interesujące obserwować pracę kogoś z twoim doświadczeniem.

– Jak dotąd nie wykazałem się niczym szczególnym – mruknął. – Wyprawa do Greenaway nad jezioro dostarczyła mi tematu do artykułu, ale skoro nie okazał się tym, kogo szukamy, to ta nocna obserwacja była czystą stratą czasu.

Claudia poczuła, że policzki zaczynają ją nieprzyjemnie piec, kiedy Mike cicho dorzucił:

– Och, nie gniewaj się. Nie mówiłem o tej części wyprawy.

Kiwnęła głową, czując się dość niezręcznie.

– Wiem, o czym mówiłeś. To znaczy, że całkiem wykluczyłeś Wayne’a? – Zmieniła temat, przechodząc na bezpieczniejszy grunt. – Myślałam, że odsunąłeś go jedynie na koniec listy podejrzanych.

– Nie, ten pomysł ze znalezieniem zastępcy jest zbyt naciągany. On nie może być Mikołajem. Ale, jak już mówiłem, uważam, że coś ukrywa. I ciekaw jestem co.

– Ja też. Miał takie rozbiegane oczy.

– No właśnie. I kiedy spytałem go o te zwolnienia, widać było, że się zdenerwował.

– Za to odprężył się, kiedy zarzuciłeś mu, że jest Świętym Mikołajem.

Patrzył na nią przez chwilę z uwagą i w końcu przyznał:

– Masz rację. On najwyraźniej się ucieszył, że przestaliśmy wałkować temat spółki Hillstead. A to mnie skłania do zastanowienia, czy te tymczasowe zwolnienia są rzeczywiście takie tymczasowe. Jaka była ich przyczyna?

– Nikt naprawdę nie wie. Podano te same powody, jakie usłyszeliśmy od Greenaway. Ale górnicy zaprzeczają, jakoby złoża były na wyczerpaniu. Twierdzą, że wszystkie czynne szyby mają co robić. Mike potarł w zamyśleniu podbródek.

– A ci faceci zazwyczaj wiedzą, co mówią, prawda?

Claudia czuła się coraz bardziej podniecona. Victoria Falls jest spokojnym miasteczkiem, które trudno by nazwać siedliskiem zbrodni i korupcji, nie miała więc tu wielkich szans na zrobienie kariery tropiącego afery reportera.

Lecz jeśli instynkt O’Briana mówi mu, że spółka Hillstead coś ukrywa, to chętnie by to sprawdziła. Zwłaszcza gdyby mogła pracować u boku takiego eksperta. Nie mówiąc już o tym drobnym fakcie, że odsunęłoby to na drugi plan sprawę Świętego Mikołaja...

– Może spróbujemy przekonać Iggy’ego, żeby pozwolił ci przyjrzeć się bliżej spółce Hillstead – zaproponowała – zamiast bawić się w ściganie faceta w czerwonym kostiumie?

Mike potrząsnął głową.

– Iggy nigdy się na to nie zgodzi. Ale jeśli szybko rozwiążemy zagadkę

Mikołaja, zostanie mi jeszcze trochę czasu do wyjazdu. I wtedy weźmiemy się do Hillstead. Co ty na to?

– Doskonale.

Kiwnęła głową, lecz jego słowa skutecznie przygasiły jej entuzjazm. Skoro w ogóle nie zamierzała dopuścić do rozwiązania zagadki Mikołaja – nie mówiąc już o tym, żeby to miało być szybko – to będzie mogła zająć się sprawą spółki dopiero po wyjeździe Mike’a.

Jak na faceta, który nie spał całą noc, był irytująco ożywiony. Zamiast paść twarzą w talerz zupy, którą Claudia podała mu na lunch, zarzucił ją gradem pomysłów.

– Co z tymi prezentami? – próbował ustalić, przemycając Morganowi pod stołem kawałek kanapki. – Myślisz, że wszystkie dzieci dostają dokładnie to, o czym marzą? Że ma listę z tym, co powinien dać? A jeśli tak, to skąd?

– Posłuchaj, zadałeś mi dziesięć pytań pod rząd i...

– Cztery. Zadałem ci tylko cztery pytania.

– Nie znam odpowiedzi na żadne z nich, więc może wybierzmy się jeszcze do paru domów i sprawdźmy, co dostały inne dzieci.

W ten sposób będziemy mieć z głowy resztę dnia, dodała w myślach.

– Nie, to by nam zajęło zbyt wiele czasu – zaprotestował. – Wybierzmy się lepiej wreszcie do tych Nilssonów.

Niech to diabli, zapomniała odpowiednio to rozegrać. Powinna była stwierdzić, że nie warto sprawdzać innych prezentów.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która na nich wskazuje – ciągnął Mike.

– Tak?

– Ten gość nie może mieć bliskich sąsiadów, bo albo dostaje wielkie dostawy ze sklepu, albo sam przywozi do domu całe fury paczek, więc od razu pocztą pantoflową by się rozeszło, co i jak.

– Chyba masz rację...

– Co znaczy, że musi mieszkać na wsi, a Nilssonowie właśnie tam mieszkają.

– Tak, to jeszcze jedna poszlaka, która by na nich wskazywała.

Pomyślała, że musi teraz bardzo uważać na każde słowo, które wypowie. Im dłużej nie dopuści go do Nilssonów, tym lepiej, ale nie miała już wielu pomysłów. Może spróbuje jeszcze raz wykorzystać jego ducha przekory.

– Dobrze – powiedziała. – Dajmy sobie spokój ze zmywaniem naczyń i jedźmy tam czym prędzej.

– Nie mam zamiaru się z tobą spierać. Jestem gotów w każdej chwili.

– No to... doskonale. Dam im tylko znać, że przyjeżdżamy.

Z nieszczęśliwą miną wzięła słuchawkę.

– Claudia? – powitał ją głos Gordona. – Zastanawialiśmy się, czemu nie dzwoniisz. Udaje ci się jakoś radzić sobie z tym gościem bez naszej pomocy, tak?

– Tak, wszystko w porządku, dzięki. Nie wiem, czy wiecie, że przyjechał do nas reporter z Los Angeles. Ma pisać w „Kurierze” o naszym Świętym Mikołaju.

– Siedzi tam i słucha, tak?

– No właśnie. W każdym razie chcielibyśmy odwiedzić was dzisiaj po południu. Będziecie w domu?

– Możemy być albo nie być. Jak sobie życzysz, Claudio.

Pomyślała, że ich „nieobecność” może się przydać na inną okazję, a tym razem załatwi to inaczej.

– O mój Boże! – jęknęła. – To rzeczywiście pewien problem. – I zwracając się do Mike’a, wyjaśniła: – Ich droga jest zasypana. Pług nie przejeżdżał tamtędy od wczorajszej śnieżycy.

– To nasypało aż tyle śniegu?

– W ich okolicy tak. Co znaczy, że musielibyśmy iść pieszo od głównej szosy.

– Dobry fortel – szepnął jej Gord do ucha.

– Jak to daleko? – spytał Mike.

– Spory kawałek.

– To może pojedziemy twoim skuterem śnieżnym?

– Nie, ostatnio co chwilę się psuł i wołałabym nie ryzykować jazdy nim w środku głuszy. Najpierw ojciec musi znaleźć chwilę czasu, żeby go naprawić.

Mike mierzył ją przez chwilę wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy mówi prawdę.

– Czyli pieszo albo wcale? – podsumował.

– No właśnie. Ale musielibyśmy włożyć rakiety śnieżne, inaczej będziemy zapadać się w zasy po pas.

– A masz takie rakiety?

Już chciała skłamać, kiedy przypomniała sobie, że był w piwnicy.

– Mam – przyznała.

– No to chętnie je wypróbuję. Możemy znów włożyć kombinezony. Miałaś rację, są naprawdę ciepłe.

Uśmiechając się z przymusem, powiedziała do telefonu:

– A więc do zobaczenia, Gord.

– Claudia? Zdajesz sobie sprawę, że nasza droga jest odśnieżona, prawda?

– Tak, oczywiście. Jakoś sobie z tym problemem poradzimy.

– Pomyślmy nad tym z Normem, zanim się tu zjawicie – obiecał.

– No chodź – powiedział Mike, otwierając przed Morganem tylne drzwi samochodu. Widząc, że pies tęsknie się ogląda w stronę ciepłego domu, dodał z uśmiechem: – Doskonale cię rozumiem, kolego.

Jednak Claudia nie wykazała tyle zrozumienia. Przechyliła się przez oparcie i zarządziła:

– Włóż. Ostatnio strasznie się rozleniwileś. Dłuższy spacer dobrze ci zrobi.

Kiedy pies niechętnie posłuchał, Mike usiadł na przednim siedzeniu i starannie zapiął pas. Wiedział już, czego się można spodziewać po Claudii za kierownicą.

I rzeczywiście, ledwo wyjechali z miasta, docisnęła gaz do dechy i krajobraz za oknami zlał się w jedną białą plamę. Mike spojrzął na szybkościomierz i pomyślał, że każdy rajdowiec mógłby być z niej dumny. Zwłaszcza biorąc pod uwagę lód i śnieg.

– O co chodzi? – spytała.

Zerknął w bok i widząc, że patrzy na niego, poczuł mrowienie w krzyżu. W tej chwili by wołał, żeby patrzyła na drogę.

– Masz jakąś niepewną minę – zauważyła.

– Wydaje mi się, że jedziesz trochę za szybko.

– O, widzę, że się przyzwyczajasz. Poprzednim razem mówiłeś, że prowadzę jak wariatka. Ale nie martw się, nigdy nie miałam żadnego wypadku.

– Naprawdę?

– W każdym razie poważniejszego wypadku.

Ciekaw, co oznacza dla niej termin „poważniejszy wypadek”, odwrócił głowę do okna, zastanawiając się, jak by się czuła na ulicach Los Angeles. Pewno po dziesięciu minutach w korku zaczęłaby rwać włosy z głowy. Sama myśl o tym, że Claudia mogłaby się znaleźć w Los Angeles, coś mu przypominała.

– Ten pilot, z którym tu leciałem, mówił, że większość młodych ludzi ucieka z Victoria Falls.

– To prawda. Trudno tu o pracę oprócz roboty w kopalni, która jest ciężka i niebezpieczna.

– Ale ty nie uciekłaś.

– Co za spostrzegawczość! – zakpiła, rzucając mu słodki uśmiech. – Ja nie musiałam iść do kopalni. Współpracowałam z „Kurierem” już w czasach szkolnych. I kiedy skończyłam liceum, Iggy zaproponował mi pełen etat. A potem życie potoczyło się samo.

Mike podejrzewał, że kryje się za tym coś więcej. Claudia nie sprawiała wrażenia osoby, którą by zwykle przyzwyczajenie trzymało uwiązaną do miejsca urodzenia.

– Nie ciągnęło cię do świata? Do zakosztowania innego życia?

– No cóż... owszem. Początkowo zamierzałam po szkole podróżować przez rok z plecakiem po Europie, a później studiować dziennikarstwo w Toronto. Ale tuż przed skończeniem szkoły umarła moja matka i nie chciałam tak od razu zostawiać ojca samego. No i tak to się już potoczyło. Wiesz, jak to jest.

Chciał ją spytać, czy nie żałuje, ale ugryzł się w język.

– A twoja przyjaciółki, Annie?

– Och, z Annie to całkiem inna historia. Skończyła studia na uniwersytecie i po dyplomie jako jedna z nielicznych wróciła tu.

– Z jakiego powodu?

Claudia przez chwilę milczała, po czym rzekła:

– Pewno to zabrzmiało dla ciebie głupio, ale z powodu chłopaka, którego już tu nie ma. Kochała się w nim przez całą szkołę.

– Nie odwzajemniona miłość?

– Bynajmniej. On ją też kochał, mieli się pobrać, snuli wspólne plany. Ale potem on nagle wyjechał.

– Dlaczego?

– Och... z jakichś powodów osobistych. Przechodził trudny okres. Ale Annie nigdy nie przestała go kochać. Była przekonana, że do niej wróci i zaczyna wszystko od nowa. Więc kiedy skończyła uniwersytet, przyjęła pracę w miejscowej szkole.

– A on nie wrócił?

– Nie.

Mike zamilkł, zastanawiając się, czemu losy ludzkie tak rzadko układają się zgodnie z oczekiwaniami. Jego wzrok znów spoczął na Claudii. Obserwował ją ukradkiem, powtarzając sobie, że ma przestać o niej myśleć. Ale im więcej czasu z nią spędzał, tym trudniej mu to przychodziło.

W gruncie rzeczy nie potrafił myśleć o niczym prócz niej. Może to i głupie, ale Claudia Paquette od pierwszej chwili zapadła mu w serce.

Zerknęła na niego z ukosa, obdarzając go swoim cudownym uśmiechem.

– Chodziłeś już na raketach śnieżnych?

– Nie. To chyba nie jest trudne?

– Trzeba się przyzwyczaić, ale na pewno dasz sobie radę. Ile ważysz? Jakies osiemdziesiąt parę kilo?

– Mniej więcej.

– Więc ta zapasowa para raket będzie akurat w sam raz.

Kiwnął głową, ciekaw, skąd się u niej wzięła zapasowa para pasująca na kogoś o jego wadze. W końcu nie wytrzymał i spytał:

– Do kogo należą?

– Do mojego przyjaciela. Nazywa się Chet Summerly i pracuje w policji

terenowej. Przenieśli go jakiś czas temu do Red Lake i oboje zapomnieliśmy, że jego rakiety są w mojej piwnicy.

Nie odważył się już spytać, jak daleko stąd jest Red Lake. Jeśli ten Chet pracuje w policji terenowej, to musieli go przenieść w miejsce w obrębie Ontario – na tyle blisko, aby mógł przyjechać po swoje rakiety.

I może po coś jeszcze.

Ta myśl nie dawała mu spokoju i zaczął podejrzewać, że Claudia Paquette zapadła mu w serce bardziej, niż myślał. No i co on teraz zrobi z tym fantem?

– Zostawimy samochód tutaj – oświadczyła nagle, zjeżdżając ze środka drogi i stając na uboczu tuż przy wale śnieżnym. Był tak wysoki, że zasłaniał całą szybę po drugiej stronie jeepa. – Będziesz musiał prześliznąć się pod kierownicą, żeby wyjść – dodała, otwierając drzwi.

– Naprawdę? Nie mogę po prostu otworzyć okna i przekopać tunelu?

– Bardzo zabawne.

Kiedy wydostał się na szosę, w niczym nie przypominał tego mężczyzny, który wysiadł z samolotu w skórzanej kurtce i butach kowbojskich. Miał teraz na sobie ciepły kombinezon, rękawice, mukluki i długi wełniany szalik, zakrywający pół twarzy. A także nauszники i czapkę naciągniętą na oczy. Przy całym swoim uporze umiał wyciągać wnioski z przeżytych doświadczeń.

Jedyna rzecz, jaka wzbudzała zastrzeżenia Claudii, to jego aparat fotograficzny przewieszony przez ramię.

– Dlaczego zatrzymaliśmy się na kompletnym pustkowiu? – spytał.

– Stąd musimy już iść pieszo. Najkrócej będzie przez las. Zresztą ten las należy do nich.

– Krócej niż drogą, choćby zasypaną?

Kiwnęła głową z poczuciem winy. To było oczywiście kłamstwo. Ale Mike O'Brian wydawał się praktycznie nie do zdarcia i może spacer wśród drzew, zwłaszcza w raketach, wreszcie go wykończy. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to po powrocie do domu powinien nie móc się ruszyć do końca tygodnia.

– Masz. – Podała mu rakiety Cheta. – Zanim je włożymy, musimy najpierw przejść przez ten wał śnieżny. I lepiej zostaw aparat, bo w czasie drogi możesz się przewrócić.

– Nie zostawię aparatu. I nie przewrócę się.

Wiedząc, że jego szanse utrzymania się na nogach są praktycznie zerowe, spróbowała jeszcze raz.

– Nie wiadomo. Morgan ma dziwne zapędy w stosunku do ludzi w raketach i może przysporzyć ci kłopotu.

Co było, naturalnie, głównym powodem, dla którego wzięła psa.

– Paquette, nie sądzisz, że zechcę zrobić tym Nilssonom parę zdjęć?

– No tak... Wobec tego daj mi ten aparat. Jesteś nowicjuszem i gdybyś przypadkiem jednak upadł, to pod ciężarem osiemdziesięciu paru kilo żywej wagi mógłby doznać pewnych uszkodzeń.

– Czy ktoś już ci mówił, że jesteś nieco namolna? – mruknął, niechętnie oddając jej futerał z aparatem. Kiedy założyła pasek na szyję, przyjrzał się bliżej swoim rakietom.

– Dlaczego moje są bardziej okrągłe od twoich rakiet?

Jakiż on dociekliwy!

– Te, które dałam tobie, nazywają się „niedźwiedzie łapy” – odparła. – Są przeznaczone dla cięższych osób niż te wydłużone. Większa powierzchnia oznacza, że nie będziesz się zanadto zapadać z każdym krokiem.

Rozumiem. Nie wspomniała, że „niedźwiedzie łapy” mają także swoją złą stronę. Wkrótce sam się przekona.

– Poczekaj – powiedziała, kiedy wspięli się na wierzch wału śnieżnego. Morgan zbiegł już na dół po drugiej stronie i puścił się pędem do lasu. – Zatrzymaj się nad powierzchnią śniegu i włóż rakiety. Inaczej zapadniesz się po pas.

Gołym okiem widać było, że nie przesadza. Krzewy i pnie drzew były zasypane niemal do połowy. Mike ostrożnie zsunął się po wale i podpatrując, jak to robi Claudia, zabrał się do wkładania rakiet.

Zdjąwszy rękawice, przypiął najpierw pierwszą raketę i ostrożnie postawił stopę na śniegu. Zadowolony, że się nie zapada, zabrał się do drugiej, co okazało się o wiele trudniejsze. Musiał szeroko rozstawić nogi, żeby rakiety nie zachodziły na siebie, a ponadto zgiąć się wpół jak scyzoryk. Ta zaś pozycja bardzo boleśnie przypominała mu o jego niedawnym upadku.

I właśnie wtedy z lasu wrócił w podskokach. Morgan. Chętny do zabawy, zaczął ściągać mu zapiętą już raketę.

– Idź sobie! – zawołał Mike. – Nie mamy równych szans.

– Morgan! – krzyknęła Claudia. – Chodź tu w tej chwili!

Pies, obrażony, pociągnął za raketę ponownie, tym razem tak mocno, że Mike omal nie stracił równowagi, i ruszył – wzbijając fontanny śniegu – do Claudii.

Mike wrócił do mocowania się z drugim zapięciem. Palce miał już zlodowaciałe, ale w końcu udało mu się zacisnąć paski. Włożył z powrotem rękawice i zrobił kilka ostrożnych kroków. Jakoś niezdarnie mu to szło, a ból w plecach wzmagął się z każdą chwilą.

– Co robię źle? – spytał Claudię.

– Nic.

– Chodzi mi o to, jak mam iść, żeby nie robić przy każdym kroku szpagatu?

– No cóż, chyba nic na to nie poradzisz. Inaczej będziesz się potykać o rakiety. To właśnie problem z „niedźwiedzimi łapami”.

– Nie mówisz poważnie.

Ale jej mina świadczyła o tym, że bynajmniej nie żartuje.

– Kto wymyślił to diabelskie urządzenie? Faceci od narzędzi tortur?

– Nie sądzę. Rakiety śnieżne są w użyciu dopiero od paru setek lat, a narzędzia tortur pochodzą chyba z początków średniowiecza.

– Paquette? Gdyby ktoś ci powiedział, że masz szansę zrobić karierę jako aktorka komiczna, to mu nie wierz.

Postąpił jeszcze parę kroków naprzód, starając się ignorować ból. A potem zawadził jedną rakieta o drugą i runął jak długi nosem w śnieg.

Morgan po raz kolejny puścił się w las za zającem, a Claudia wreszcie powiedziała:

– Przed nami dom Nilssonów. Tył domu. Przód wychodzi na Lost Lake.

Mike starał się nie odrywać oczu od rakiet, bo ilekroć przestawał obserwować, co robią jego nogi, kończyło się to upadkiem. Ale na wiadomość, że wreszcie dotarli do celu, przystanął i rozejrzał się wokół.

Rzeczywiście, zobaczył przed sobą ogromną posiadłość, tak wielką, że nawet gdyby zapomniał, że Nilssonowie dorobili się majątku na komputerach, sam jej rozmiar by mu o tym przypominał. Ale najważniejsze w tej chwili było to, że stała już niezbyt daleko. Krzyknąłby głośno z radości, gdyby nie był tak zmęczony. Nie wiedział jaki dystans przebyli, ale bolał go każdy mięsień od pasa w dół.

Dom stał na polanie i kiedy doszli na jej skraj, wyszedł im naprzeciw jeden z gospodarzy.

– To Gord – oznajmiła Claudia, machając mu z daleka. – Jest parę lat młodszy od Norma.

Gord był po pięćdziesiątce, miał dość przeciętną posturę, okulary i siewjące włosy. W czerwonym kostiumie i z doprawioną białą brodą mógłby od biedy uchodzić za Świętego Mikołaja. Zwłaszcza w nocy.

– Martwiłem się, czy zdołacie tu dobrnąć powitał ich z zatroskaną miną. – Choć chyba nie powinienem mieć żadnych wątpliwości – dodał, zwracając się do Mike’a. – Jeśli ten artykuł we wczorajszym „Kurierze” miał w sobie choć ziarno prawdy, to umie pan chodzić po wodzie.

Mike wykrzesał słaby uśmiech.

– Może powinienem był go przeczytać. Ale kiedy zobaczyłem tytuł: „Święty Mikołaj gra na nosie reporterowi z Los Angeles”, uznałem, że Iggy

zrobił ze mnie idiotę.

– Widzę, że nie muszę was przedstawiać – wtrąciła Claudia. – Wobec tego może zdejmijmy te rakiety i wejdziemy do domu się ogrzać.

Z myślą, że nigdy w życiu nie słyszał tak atrakcyjnej propozycji, Mike siadł na stopniach ganku i zaczął odpinać swoje „niedźwiedzie łapy”.

– Nie uwierzysz – mówił Gord do Claudii ale dziesięć minut po twoim telefonie przyjechał plug śnieżny. Mogliście dojechać pod sam dom. Mike jęknął głucho.

– Och, nic nie szkodzi – rzuciła Claudia beztrąsko. – Spacer na świeżym powietrzu dobrze nam zrobił.

– No, ale to jednak kawał drogi. Szkoda, że ci nie powiedziałem, żebyś zadzwoniła z szosy. Moglibyśmy wtedy z Normem podjechać po was skuterami.

– Przecież tu nigdzie przy szosie nie ma żadnej budki telefonicznej.

– Myślałem o twoim telefonie komórkowym.

To była dla Mike’a nowość. Zerknął pytająco na Claudię, która miała dziwną minę, i jak się należało spodziewać, sprostowała:

– Nie mam telefonu komórkowego.

– Jak to? Przecież natknąłem się na ciebie w sklepie, kiedy go kupowałaś. Nie pamiętasz?

– Ach tak, istotnie, ale ja tylko je oglądałam.

– Wydawało mi się, że wypisywałaś czek i mówiłaś... Ale mniejsza z tym. Pewno mi się przywidziało.

Mike odłożył rakiety na schody, nie spuszczać oczu z Claudii. Ta mała wymiana zdań zabrzmiała fałszywie, a wyraz twarzy Claudii świadczył, że kłamie.

Zastanawiając się dlaczego, wstał z trudem i powłókł się na miękkich nogach do środka.

– Macie tu dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą – powiedział Gord, prowadząc ich do kuchni. Obsłużcie się, kiedy zdejmiecie kombinezony. I zajrzyjcie do salonu, zobaczycie nasze drzewko. Pójdę po Norma, który siedzi przy Internecie.

Mike miał ochotę przycisnąć ją trochę na temat tego telefonu, ale postanowił zostawić tę sprawę na później. Rozejrzał się po kuchni, która była większa i lepiej wyposażona niż niejedna kuchnia restauracyjna, a jedna ściana składała się tylko z okien.

– Chodźmy do salonu – powiedziała Claudia, podając mu kubek z kawą.

Z radością odkrył, że uczucie sztywności w nogach zaczyna ustępować. Musi jeszcze tylko pokonać ból mięśni i strzykanie w kościach. Ale zapomniał nawet i o tym, kiedy zobaczył choinkę Nilssonów.

– Wielkie nieba! – powiedział, zatrzymując się w progu. – Jest chyba

większa niż ta w Rockefeller Center.

– Nie ma aż tylu lampek – uśmiechnęła się Claudia. – Ale czy widzisz to, co ja widzę?

– Co?

– Schyl się, a zobaczysz stosik prezentów schowany z tyłu.

Idąc za jej wzrokiem, zajrzał pod choinkę.

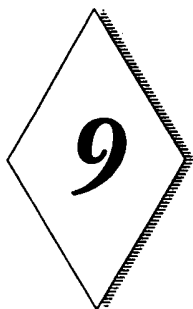
– Mówisz o tych paczkach w czerwonej folii z zieloną kokardą?

– Yhm...

Odstawił kawę i podniósł gałąź, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Wiedziałem, że będzie mi potrzebny aparat fotograficzny. Tu leży mój dowód.

Otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie usłyszeli z tyłu kroki. Mike odwrócił się i zdumiony zamarł bez słowa.



– Mike, poznaj mojego brata, Normana – powiedział Gord.

Mike rzucił Claudii pełne wyrzutu spojrzenie, że go nie uprzedziła i znów wlepił wzrok w stojącego przed nim mężczyznę.

Miał śnieżnobiałe, długie do ramion, kręcone włosy, niebieskie oczy skrzące się wesołością, dobroduszny uśmiech i krągły brzuch, który przy śmiechu na pewno trząsał się jak galareta. Brakowało mu tylko czapki z pomponem i wora z prezentami, przerzuconego przez ramię.

– Miło mi cię poznać, Mike – oświadczył, wyciągając do niego rękę. – Jak ci się podoba tu, na białej północy?

– Jest pięknie. A śnieg jest naprawdę...

– Bożonarodzeniowy? – podsunęła Claudia. Skinął głową. To było na pewno lepsze słowo niż mokry, zimny czy śliski.

– Iggy wysmażył o tobie niezły artykuł, co? – zauważył Norm.

– Prawdę powiedziawszy, jeszcze go nie przeczytałem. Ale jak rozumiem, Iggy twierdzi, że będę się musiał dobrze nabiegać za waszym Świętym Mikołajem.

To mówiąc, nie spuszczał oczu z braci, nie chcąc przeoczyć żadnej reakcji.

Gordon potrząsnął głową.

– To cały Iggy. W jednym akapicie opowiada, jak to ścigasz gangsterów i terrorystów po całym świecie, a w drugim usiłuje nam wmówić, że będziesz mieć problemy z nakryciem naszego Świętego Mikołaja.

– Pobożne życzenia – powiedział Norm. – Jestem pewien, że już wiesz,

kto to jest, prawda?

Mike nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Cóż, jest paru oczywistych podejrzanych. Nie mogliśmy nie zauważyć z Claudią tego stosiku prezentów pod waszym drzewkiem. Zapakowanych w czerwony papier.

Gord podszedł do choinki i zajrzał przez gałęzie, posyłając bratu rozeźlone spojrzenie.

– Dlaczego je tu zostawiłeś, Norman?

– Och, no cóż... Wiem, że nie lubisz trzymać ich na widoku, ale zawsze uważałem twoje obawy, że ktoś je przez pomyłkę otworzy, za przesadne. Popatrzcie, przyszedł Morgan.

Pies siedział na ganku, patrząc na nich przez okno.

– Mamy go wpuścić? – spytał Gord Claudię.

– Nie, może tam zostać. – Odwróciła się do Normana. – Mówiłeś coś o tych prezentach.

– Są przygotowane dla naszych siostrzeńców. Synów naszej siostry. Poznałaś ich kiedyś. Zawsze przyjeżdżają do nas z Toronto na parę dni podczas ferii świątecznych – wyjaśnił Mike'owi. – Ale Gord nie lubi, kiedy prezenty czekają na nich wcześniej pod choinką. Ma tę głupią obsesję, że ktoś je otworzy.

– Aha – mruknął Mike, myśląc, że w życiu nie słyszał bardziej nieudolnego kłamstwa.

– Zauważyliśmy je – wtrąciła Claudia – bo są zapakowane identycznie jak te, które rozdaje Mikołaj.

– Naprawdę? – zdziwił się Norman. – Coś podobnego!

Rzucił bratu błagalne spojrzenie, w sposób tak oczywisty prosząc o pomoc, że Mike omal się w głos nie roześmiał.

– To znaczy, że podobnie jak my robi zakupy w The Bay... – zadumał się Gordon. – To ich świąteczne opakowanie firmowe w tym roku.

– The Bay? – Mike popatrzył pytająco na Claudię..

– To sieć tutejszych domów handlowych. Mają swój magazyn w każdym większym mieście.

– Tak, ich sklepy są wszędzie – potwierdził Gord. – Dlatego właśnie kupujemy tam naszym chłopcom prezenty. Wiecie, jak to jest z nastolatkami. Trudno dokładnie trafić w ich gust. A w ten sposób mogą zawsze wymienić prezent w którymś ze sklepów w Toronto.

– Aha – powtórzył Mike, zapadając w milczenie i obserwując, jak Nilssonowie stają się coraz bardziej niespokojni.

– Mike? – przerwał w końcu ciszę Gord. – Masz jakąś zaaferowaną minę.

– Zastanawiam się po prostu, czy to czysty przypadek, że wy i Święty Mikołaj robicie zakupy w tym samym sklepie.

Jego słowa przez chwilę zawisły w powietrzu, a potem Norman zaczął się śmiać. I – jak się należało spodziewać – jego brzuch trząsł się przy tym jak galareta.

– Claudio – zwrócił się do niej Gordon – czy ten twój Mike nas podejrzuje? Nie mówiłaś mu, że już z nami rozmawiałaś?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Ale on uważa, że możecie mnie zwodzić. Trudno mu się dziwić. W końcu prawie wszyscy są przekonani, że to wy. Łącznie z moim ojcem i Lucille.

– A tak nie jest? – spytał Mike.

Jeśli nie chcą się przyznać, to poczeka, co mają do powiedzenia:

– Naprawdę nie domyśliłaś się jeszcze, kto to jest? – zdziwił się Norm. – Myślałem, że to tylko taka gra. Że udajesz, że nas podejrzuwasz.

– No więc... nie. Ale jeśli to nie wy, to kto?

– Pomyśl chwilę, Mike. Kto zyska najwięcej na puszczeniu w świat tej historii o Świętym Mikołaju?

– Całego cyklu poświęconego tej historii – przypomniał mu brat.

– No właśnie. Kto ma nadzieję, że to uratuje jego gazetę?

– Iggy? Chcecie mi powiedzieć, że to Iggy?

– Bingo! – wykrzyknęli bracia jednogłośnie. Mike spojrzał na Claudię, pewien, że Nilssonowie podjęli tylko amatorską próbę sprowadzenia go na boczny tor. Ku jego zdumieniu, jej mina nie była jednoznacznie sceptyczna, więc spytał:

– Czy Iggy mógłby dysponować aż takimi pieniędzmi?

– Oczywiście, że tak – zapewnił go Gord. – Pamiętasz, Claudio, jak parę lat temu próbował nas namówić na kupno „Kuriera” od tego Wentwortha?

– Oczywiście.

– Więc kiedy powiedzieliśmy, że nie jesteśmy tym zainteresowani, starał się nas przekonać, żebyśmy wyłożyli chociaż połowę pieniędzy, a on da resztę i będziemy współnikami.

– Tylko takiego współnika nam brakowało – mruknął Norm.

– Nigdy o tym nie słyszałam – zdziwiła się Claudia. – Wiedziałam tylko, że chciał, żebyście to wy kupili gazetę.

Gordon wzruszył ramionami.

– Nawet w Victoria Falls nie każda rzecz dociera do wszystkich uszu. Ale chodzi o to, że ani Norm, ani ja nie jesteśmy Świętym Mikołajem, więc szkoda czasu na dalsze gadanie, zwłaszcza że mamy coś dla ciebie.

– Naprawdę?

– Raymond mówił, że nie zdążyłaś jeszcze kupić choinki. Więc kiedy zapowiedziałaś się z wizytą, ściałem dla ciebie piękny świerk. Może wskoczmy na skuter i pojedziemy po twojego jeepa? A potem

przymocujemy tu na miejscu drzewko na dachu?

Gordon ruszył w stronę drzwi.

– Norm? – zwrócił się w progu do brata. – Oprowadź tymczasem naszego gościa po domu. Pewno chciałby go zobaczyć.

– Z przyjemnością – zapewnił Mike.

Ani przez chwilę nie uwierzył w bajeczkę o Iggy. Wiedział, kto jest Świętym Mikołajem, wobec czego muszą tu być gdzieś stopy paczek i koszy. Postara się odkryć, gdzie.

– Mogę wziąć aparat fotograficzny, Norm? – spytał Mike, kiedy drzwi wyjściowe zamknęły się za Claudią i Gordonem. – Nawet jeśli żaden z was nie jest Świętym Mikołajem, muszę napisać o was artykuł, skoro tyle osób uważa was za pierwszych podejrzanych. A Iggy może chcieć zamieścić parę zdjęć.

Norm rzucił mu jeden ze swych wesołych uśmiechów.

– Iggy powinien zacząć wypełniać cały „Kurier” zdjęciami. Byłyby o wiele bardziej interesujące niż większość artykułów, które drukuje. Oczywiście, oprócz tych pisanych przez Claudię – dorzucił szybko. – On i ten jego siostrzeniec nie potrafią porządnie sklecić dwóch zdań.

Uznając to za przyzwolenie, Mike zrobił parę zdjęć choinki i dodał:

– Kiedy Norm wróci, chciałbym jeszcze sfotografować was obu na jej tle. A teraz chętnie obejrzę dom. Od czego zaczynamy: od piwnicy czy od piętra?

– Przykro mi, Mike, ale piwnica nie wchodzi w rachubę. Nie bierz tego przeciwko sobie, lecz mimo że oficjalnie wycofaliśmy się z interesu, nadal wykonujemy pewne poufne prace. Mamy w tym celu specjalnie zabezpieczone studio komputerowe w piwnicy. Wiesz, elektroniczna izolacja, ekrany ołowiowe, wszystkie te bajery.

Mike kiwnął głową, chociaż nie bardzo rozumiał, po co zadają sobie aż tyle trudu, mieszkając praktycznie na pustkowiu. Ale tak czy owak, piwnice w tym domu musiały być ogromne, więc choćby i mieli tam pokój komputerowy wielkości Pentagonu, pozostawało jeszcze mnóstwo miejsca na składowanie całych ton towarów.

Norm oprowadził go po całym parterze, a potem zaprosił na górę.

– Mamy swoje apartamenty po obu skrzydłach domu. Każdy z nas potrzebuje własnej przestrzeni. To moje królestwo – dodał, otwierając jedne z drzwi.

Oprócz sypialni i łazienki, apartament składał się z ogromnego pomieszczenia zapelnionego po brzegi sprzętem komputerowym.

– Aż dziw, że zostało wam coś jeszcze na piwnicę – zauważył Mike.

– Och, to tylko moje zabawki. – Norm nacisnął klawisz jednego z

komputerów i na ekranie ukazali się zdobywcy kosmosu. Nacisnął drugi i zastąpiły ich wyścigi konne. Potem trzeci i ekran zgasł. – Czasem myślę...

W głębi domu zadzwonił telefon. Norm nasłuchiwał przez chwilę i powiedział:

– To linia Gorda. Czeką na ważną wiadomość, więc lepiej odbiorę. Zaraz wracam, ale czuj się jak u siebie.

Taka zachęta to rzadka gratka dla reportera, pomyślał Mike. Zajrzał do ogromnej łazienki połączonej z sauną, a potem przeszedł przez sypialnię do garderoby o rozsuwanych drzwiach. Była nie domknięta i jego wzrok padł na jakiś ciemnoczerwony strój.

Mówiąc sobie, że to pewno szlafrok, odsunął drzwi nieco szerzej i odkrył, że ma przed sobą uszyty z aksamitu kostium Świętego Mikołaja. Towarzyszyła mu wisząca na wieszaku biała broda oraz para wysokich czarnych butów z mosiężnymi klamrami. Z szerokim uśmiechem zrobił parę zdjęć i ledwo skończył, do pokoju wszedł Norm.

– Zauważyłem coś czerwonego w szafie – powiedział Mike. – Czyżby to strój Świętego Mikołaja?

Norm patrzył na niego przez chwilę bez słowa, a potem się uśmiechnął.

– Ależ jak najbardziej. Włożę go na naszą następną partyjkę pokera.

– Grasz w pokera w przebraniu?

Mike starał się zachować powagę, ale doprawdy trudno się było spodziewać, żeby uwierzył w tę historyjkę.

– Och, nie zawsze. Tylko przy specjalnych okazjach, jak rozmaite święta i rocznice.

– Rozumiem. Tylko kiedy jest ku temu odpowiedni powód.

– Właśnie – zgodził się Norm. – Och, powinieneś koniecznie zobaczyć mojego fantastycznego królika, w którego przebieram się na Wielkanoc, – Zaczął grzebać w szacie. – Niech to diabli – mruknął po chwili. – Musi być w praniu. Powinienem sobie zanotować, żeby go odebrać, bo będę płacić straszne składowe.

Mike potarł brodę, zastanawiając się, co dalej. Norm Nilsson potrzebował stroju Mikołaja na swoje nocne wyprawy, nie na żadne partyjki pokera. Ale same zdjęcia kostiumu w szafie nie wystarczą za dowód. Czeką go zatem kolejna warta. Jednak tym razem spędzi ją samotnie.

Istnieją w końcu jakieś granice wytrzymałości. I trudno by mu przyszło znieść po raz drugi długie godziny w ciemności sam na sam z Claudią zwłaszcza teraz, kiedy kazała mu trzymać ręce przy sobie.

Claudia skręciła z bocznej drogi na szosę wiodącą do domu. Świerk był porządnie uwiązany na dachu jeepa, Morgan pochrapywał na tylnym

siedzeniu, a Mike opowiadał jej o swoich wrażeniach z domu Nilssonów, patrząc z dezaprobatą na jej nogę na pedale gazu. Zignorowała to – nie lubiła jeździć po oblodzonych drogach nocą, a już zapadał zmierzch.

– Więc jak mówiłem, obejrzałem prawie każdy zakamarek, oprócz piwnicy. To jedyne miejsce, w którym mogą przechowywać prezenty.

– Ale nie pozwolą ci tam zejść.

– Właśnie. I dlatego mogę zdobyć dowód tylko w jeden sposób: poprzez obserwację. Muszę spędzić noc lub dwie pod ich domem i zobaczyć, co się dzieje.

– Ale nie dzisiaj. Nie spałeś już prawie dwie doby. I to po tobie widać.

Rzeczywiście tak było, co przepeliło ją poczuciem winy.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby go trochę zmęczyć i powstrzymać jego detektywistyczne zapędy, ale z drugiej strony nie chciała wykończyć go na śmierć.

– Zobaczymy – powiedział. – A co z tą listą, którą masz? Wszystkich tych rodzin dotkniętych zwolnieniami. Wiesz, u kogo już był, a kto jeszcze został?

– Mniej więcej.

– Ile nocy może to jeszcze zająć?

– Na pewno więcej niż jedną – powiedziała szybko. – Poza tym masz już materiał na drugi artykuł, więc nie musisz się spieszyć.

– No tak: Ale zakładałem, że zdemaskuję w nim Nilssonów, a nie pożałę się, że znaleziony przeze mnie kostium Świętego Mikołaja służy, według Normana, do rozśmieszania gości przy partyjce pokera.

Claudia roześmiała się.

– No i widzisz, jak zmęczenie daje ci się we znaki, O'Brian? Tracisz poczucie humoru.

– Czyżby?

– Przecież to doskonały zwrot w akcji. Najpierw uważaliśmy, że wszystko jasne, kiedy odkryliśmy te prezenty, ale Nilssonowie wystąpili z wyjaśnieniem.

– Wspaniałe wyjaśnienie.

– Nie mówiłam, że jest wspaniałe, tylko że z nim wystąpili. A kiedy mogłoby się wydawać, że przyszpiliłeś już Normana na amen, odkrywając ten kostium, on opowiada ci historyjkę o przebierankach na pokera. Czytelnicy będą zachwyceni. A Iggy gotów ze szczęścia tańczyć na ulicy.

– Muszę to przemyśleć.

– Co? Taniec Iggy'ego na ulicy?

– Bardzo śmieszne, Paquette.

Czekała niespokojnie na informację, co takiego musi przemyśleć. Ten człowiek najwyraźniej nie zamierzał dawać za wygraną. Coraz bardziej ją to gnębiło, zwłaszcza że dowiadywał się rozmaitych niepotrzebnych rzeczy. Jak

choćby o tym telefonie komórkowym.

Była pewna, że nie uwierzył, jakoby miała go tylko oglądać. I choć pozornie zapomniał o jej krótkiej wymianie zdań z Gordem, prędzej czy później sobie przypomni. Naturalnie, już ona coś wymyśli, żeby to wytłumaczyć, ale niepokoiła ją wnikliwość, z jaką do wszystkiego podchodził.

– To niby przebieranie się w kostiumy przy rozmaitych okazjach... – powiedział w końcu. – Moim zdaniem Norman wymyślił sobie tę historyjkę na poczekaniu.

Kiwnęła głową.

– Sądzę, że gdyby naprawdę grał w pokera przebrany za wielkiego królika, nie byłoby takiej siły, która powstrzymałaby mojego ojca od powiedzenia mi o tym.

– To może powinienem z nim porozmawiać. I z innymi ich partnerami do kart. Wydobyć od nich oświadczenia, że to nieprawda.

– Nie masz szans. Mogę się założyć, że jeszcze zanim wyjechalibyśmy z obrębu ich posiadłości, Norm siedział na telefonie i przykazywał swoim kumplom, żeby potwierdzili wszystko, co mówił.

– Tak, pewno masz rację. Ale ta sprawa zaczyna mi załazić za skórę. Rozmawiamy z Greenawayem i mamy wrażenie, że coś ukrywa. Rozmawiamy z Nilssonami, a ci serwują nam jakieś absurdalne historyjki. A teraz jeszcze ich koledzy mają im pomóc wyprowadzić mnie w maliny.

– Ale sam będziesz wiedział, w co wierzyć.

– Zaczynam uważać, że nie powinienem wierzyć w nic i nikomu. A bardzo nie lubię, kiedy wszyscy naokoło kłamią, a ja nie potrafię tego udowodnić.

– Och, jestem pewna, że w końcu jakoś sobie poradzisz.

Przesłała mu współczujący uśmiech, mając nadzieję, że nie zorientuje się, kto tu kłamie najbardziej.

Podjechali pod dom i zdjęli z dachu samochodu choinkę.

– Chyba nie chcesz jej ustawiać w salonie jeszcze dzisiaj? – spytał, rozpaczliwie obawiając się twierdzącej odpowiedzi.

– Nie, nie. – Uśmiechnęła się, widząc ulgę na jego twarzy. – Nie będziemy jej nawet brać do środka. Może sobie na razie postać tu na śniegu. O, widzę, że w skrzynce jest jakiś list. To notatka od taty – dodała po chwili. – Wstąpił tu i naprawił skuter. To nie było nic poważnego.

Mike kiwnął głową, sztywno wchodząc po schodach.

– Co, czujesz spacer w kościach?

– Uhm...

Kiedy otworzyła drzwi, Morgan wpadł jak burza do domu, wykazując więcej energii niż zostało im obojgu.

– Idź się wykapać, a ja zrobię coś na kolację – zaproponowała. – A potem pójdziemy od razu do łóżka.

Spojrzał na nią i wiedziała, że mimo całego zmęczenia słowo „łóżko” nie daje mu spokoju, podobnie jak jej.

Coraz bardziej go lubiła i chociaż znali się dopiero od paru dni, zaczynała podejrzewać, że to coś więcej niż zwykła sympatia. A jeśli wziąć pod uwagę uczucie gorąca, które ją oblewało, ilekroć na niego spojrzała...

Ale nawet gdy na niego nie patrzyła, nie mogła przestać myśleć o zeszłej nocy, o jego pocałunkach, które kazały jej zapomnieć o całym świecie, o jego ramionach, w których czuła się bezpiecznie. A jeśli sam jego dotyk tak na nią działał, to czy naprawdę chce przeżyć resztę życia nie wiedząc, jakby to było, gdyby się z nim kochała?

Jeszcze raz wykręciła numer telefonu i kiedy nadal nie było odpowiedzi, jej niepokój wzrósł. Zaczęła dzwonić o ósmej, a była już dziesiąta, więc gdzie się on, u diabła, cały wieczór podziewa? I dlaczego nie ma przy sobie telefonu komórkowego?

Potarła oczy, ledwo żywa ze zmęczenia. Mike poszedł do łóżka zaraz po kolacji i na pewno śpi już kamiennym snem. Ona jednak nie zaśnie, dopóki się nie dowie, ile jeszcze nocy zajmie dostarczanie prezentów.

Mówił, że jeśli będzie miał szczęście, skończy w poniedziałek albo we wtorek, więc teraz powinien już więcej wiedzieć. W każdym razie nie potrwa to chyba zbyt długo. Jeszcze może dzień lub dwa. I noc lub dwie, oczywiście. Jakoś spróbuje dać sobie z tym radę. A potem on na dobre się ukryje i będzie mogła wreszcie przestać się martwić o każdy krok Mike’a O’Briana.

O’Brian. Zamknęła oczy, po raz kolejny mówiąc sobie, że myślenie o nim nie ma sensu. Mieszka o tysiące kilometrów stąd i pewno nigdy w życiu go więcej nie zobaczy. A gdyby nawet to nie było przeszkodą, pozostaje jeszcze drobna kwestia jej postępowania. Jeśli się kiedyś dowie prawdy, będzie miał ochotę ją zamordować.

Otworzyła oczy, nakazując sobie przestać zaprzętać nim głowę. W obecnych okolicznościach już lepiej zająć myśli każdym innym mężczyzną na świecie. Choćby Iggyem Brooksem.

Właśnie, to nie jest wcale zły pomysł – nie tyle może sam Iggy, ile historyjka, jaką Nilssonowie o nim wymyślili. Naprawdę robili, co mogli, żeby jej pójść na rękę. Nie tylko zastosowali się do prośby ojca, aby zagmatwać sprawę, ale wystąpili z własną bulwersującą opowieścią, że Iggy oferował się wyłożyć połowę pieniędzy na zakup „Kuriera”. W rzeczywistości Iggy nie miał ani centa.

Naturalnie, O’Brian z pewnością nie uwierzył w wersję, że Iggy może być

Świętym Mikołajem i nawet nie poruszył tego tematu w drodze powrotnej. Ale im więcej będzie miał możliwości do rozważenia, tym lepiej. A jeśli ona trochę nad tym popracuje, to może uda jej się rzucić jakiś cień podejrzenia na swego naczelnego.

Nie bardzo w tej chwili wiedziała, jak się do tego zabrać i była zbyt zmęczona, żeby od razu coś wymyślić, więc sięgnęła jeszcze raz po telefon. Tym razem słuchawka po drugiej stronie została podniesiona.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? – spytała ze złością.

– Wybrałem się na przejażdżkę skuterem śnieżnym.

– To chyba nie było zbyt mądre? Jest jeszcze dość wcześnie i mogłeś się na kogoś natknąć.

– Claudia, siedzę tu dzień i noc całkiem sam i zaczynam się już nabawiać klaustrofobii. Nie zbliżyłem się nawet do granic miasta. Czy dzwonisz z czymś konkretnym?

– Chciałabym wiedzieć, jak długo jeszcze będę musiała wodzić O'Briana za nos, bo już zaczyna brakować mi pomysłów.

– Mam nadzieję, że dzisiejsza i jutrzejsza noc wystarczą.

– Całe szczęście.

Wobec tego we wtorek będzie mogła wreszcie odetchnąć. Mikołaj co prawda nadal będzie w pobliżu, ale przynajmniej O'Brian nie przyłapie go na nocnych wyprawach.

– Mam jeszcze jedną nowinę, dość interesującą. Ale to wiadomość dla reportera.

– Jaka wiadomość? – Wyprostowała się na łóżku.

– Jak ci mówiłem, pojechałem sobie na przejażdżkę, starając się trzymać z daleka od ludzi, i wylądowałem przy biurowcu Hillstead. Który, jak wiesz – dodał szybko – stoi na pustkowiu. I nie spodziewałem się, że ktoś tam będzie o tej porze.

– A był?

– Owszem.

– Nikt cię nie widział? – spytała z niepokojem, myśląc, że jeśli Wayne pracował tam drugą noc pod rząd, to rzeczywiście bardzo dziwne.

– Nikt. Zobaczyłem światło w oknie, zaparkowałem skuter w pobliżu i podszedłem zobaczyć, co się dzieje.

Powstrzymała się przed pytaniem, dlaczego narażał się na takie ryzyko, wiedząc, że już po prostu taki jest.

– I co zobaczyłeś?

– To musiał być ten Greenaway, o którym mówiłaś. Na drzwiach biura widniała tabliczka z jego nazwiskiem.

– Wchodziłeś do środka?!

– Nie denerwuj się, Claudio, wszystko w porządku. Kiedy zająłem przez

okno, ten gość właśnie wstał i wyszedł z pokoju. I po jednej stronie budynku zaczęły się zapalać po kolei światła w oknach. Widać było, że idzie gdzieś na koniec korytarza, więc wśliznąłem się cichutko do jego biura, żeby zobaczyć, nad czym tak ślęczy.

Zamknęła oczy. Przez wszystkie te lata nie zmienił się ani na jotę, więc dla czego jego ryzykanckie postępowanie miałyby ją właściwie dziwić? Podobnie się zachował, odmawiając zaprzestania dalszych dostaw prezentów z chwilą przyjazdu O'Briana.

– Wiem, że masz mi za złe taką nieostrożność – ciągnął – ale dręczyła mnie ciekawość. I kiedy się okazało, że drzwi wejściowe do budynku nie są zamknięte, uznałem to za zaproszenie.

– Ale jak mogłeś...

– Posłuchaj, bo dopiero teraz będzie interesujący dla dziennikarza materiał.

– Dobrze – zgodziła się, mówiąc sobie, że już po wszystkim i nikt go nie przyłapał.

– Wiesz, co było na jego biurku?

– No co?

– Plik formularzy laboratoryjnych z analizami prób metalu.

Nie widziała w tym materiału na reportaż. W końcu to jasne, że dyrektor spółki Hillstead ma na biurku wyniki testów laboratoryjnych. Złoża w kopalniach były systematycznie badane.

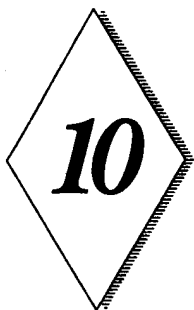
– Ale co mnie uderzyło – ciągnął jej rozmówca – to stos pustych formularzy.

– Jak to, pustych?

– Były to firmowe blankiety z nadrukiem laboratorium, już podstemplowane oficjalną pieczęcią, ale puste. Nie wydaje ci się to dziwne?

Mimo że była zmęczona, obudził się w niej wykształcony przez lata instynkt reportera. Może to właśnie jest owa tajemnica, którą Greenaway usiłował przed nimi ukryć?

Te analizy przesyłano do Toronto i między innymi na ich podstawie dyrekcja generalna spółki Hillstead podejmowała swoje decyzje. A jeśli Greenaway ma puste, choć już oficjalnie podstemplowane formularze laboratoryjne, to znaczy, że może je sam wypełniać takimi informacjami, jakie są mu wygodne.



W poniedziałek Mike'a obudziło poranne słońce wpadające przez okno. Nie było jeszcze ósmej, ale ponieważ poszedł spać zaraz po kolacji, miał za sobą ponad dwanaście godzin snu. Czuł, że rozsadza go energia – dopóki nie spuścił nóg z łóżka i każdy mięsień nie dał mu o sobie znać po wczorajszej wyprawie na raketach śnieżnych.

Stękając z bólu wstał, marząc o kawie. Claudia pewno zdążyła już ją zaparzyć. Ku jego rozczarowaniu, kuchnia była pusta, ale jeep stał na podjeździe, co znaczyło, że nigdzie nie wyjechała. Drzwi jej sypialni były zamknięte i tylko Morgan z nieszczęśliwą miną siedział w holu. Wypuścił go na dwór i poszedł do łazienki.

Kiedy się już ubrał, poczuł wilczy głód. Nie chcąc budzić Claudii hałasowaniem w kuchni, napisał jej krótką notkę, że zaraz wraca, zarzucił z przyzwyczajenia aparat fotograficzny na ramię i wybrał się na śniadanie na Main Street. Widział tam któregoś dnia kawiarnię „U Betty”.

Godzinę później, czując się syty i wzmocniony, postanowił rozprostować trochę kości i przejść się do warsztatu Earla. Może ktoś oddał tymczasem jakiś pożyczony samochód.

Kiedy wszedł, w środku było tylko dwóch mężczyzn: młodzieniec w wypłamionym kombinezonie, z plakietką „Frank” na piersi, i rozczłuszczony klient w średnim wieku.

– Dlaczego stoi na podwórku z tyłu? – pytał z irytacją. – Kiedy zostawiałem go w piątek, stał przed warsztatem. Jak, do diabła, mam go

sprzedać, skoro nikt go nie może zobaczyć?

Sprzedać? Jeśli chodzi o samochód, to Mike był zainteresowany.

Frank wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że w sobotę rano Earl kazał mi go przestawić na tylne podwórko i zdjąć napis „Na sprzedaż”.

– A cóż to znowu za kretyński pomysł? W ten sposób lepiej bym zrobił, wystawiając go przed domem. Przynajmniej parę osób miałyby szansę go zobaczyć.

Mike chrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Ach, to pana zdjęcie widziałem w sobotniej gazecie, tak? – spytał mężczyzna.

– Mike O'Brian – przedstawił się Mike, podając mu rękę.

– No tak, gość Iggy'ego z Kalifornii. Jestem Jack MacDougal, pracuję w tutejszym banku.

– Wobec tego to cenna znajomość. Jeśli skończą mi się pieniądze, udam się prosto do pana. Niechący usłyszałem waszą rozmowę. Czy to znaczy, że chce pan sprzedać samochód?

– Tak, golfa z osiemdziesiątego siódmego roku. Urodziło mi się trzecie dziecko i kupiłem większy wóz.

– Ale tamten jest na chodzie?

– Jak najbardziej. Czyżby był pan zainteresowany?

– Tak, ale nie kupnem. – Mike już widział, jak twarz Wielkiego Jima purpurowieje na widok rachunku za samochód, nawet stary. – Będę tu tylko do końca tygodnia, więc chętnie bym go wypożyczył.

– Bo ja wiem... Prawdę mówiąc, chciałem się go pozbyć, a nie wypożyczać...

– Tylko na parę dni. I zapłacę gotówką. Powiedzmy, trzysta dolarów za ten tydzień – zaproponował Mike, wyjmując portfel z kieszeni. – Na prezenty pod choinkę dla dzieci.

– Taak... Żona też upatrzyła sobie taki jeden sweter...

MacDougal wziął pieniądze i zwrócił się do Franka:

– Daj panu O'Brianowi kluczyki, kartę wozu i ubezpieczenie. I powiedz Earlowi, że jeszcze się zastanowię, czy dać mu drugą szansę po świętach. Muszę już wracać do banku. Miło jest robić z panem interesy – zwrócił się do Mike'a i wyciągnął do niego rękę. – Powodzenia w tropieniu Świętego Mikołaja.

– Dzięki.

Czekając, aż Frank przyprowadzi samochód i naleje benzyny, Mike przypomniał sobie, że Earl to jeden z kumpli ojca Claudii. I zaczął się zastanawiać, ile razy przejeżdżali tu jej jeepem w ciągu ostatnich dwóch dni.

Gdyby zobaczył jakiś samochód wystawiony na sprzedaż, zrobiłby

dokładnie to samo co teraz. Więc czy to nie interesujące, że w piątek wieczór Raymond Paquette chętnie ofiarowuje się mu pomóc, a w sobotę rano każe uprzętać to auto sprzed warsztatu?

Nie trzeba bardzo przenikliwego umysłu, żeby te rzeczy skojarzyć. Co by znaczyło, że przyjacielskie gesty Raymonda były zasłoną dymną. I że Święty Mikołaj nie jest jedyną osobą grającą na nosie reporterowi z Los Angeles.

Mike zaklął cicho pod nosem, zastanawiając się, co tak uspiło jego podejrzliwą zwykle naturę. Jak mógł dać się zamroczyć paroma szklankami whisky i domową nalewką? Na ogół nie był skłonny ufać ludziom od pierwszego wejrzenia. Ale jeśli chodzi o ojca Claudii...

– Niech to wszyscy diabli! – powiedział na głos. Wczoraj, kiedy mówił, że zaczyna podejrzewać o kłamstwa wszystkich swoich rozmówców, nie brał pod uwagę Raymonda. Jednak od tej pory nie będzie już wierzyć nikomu.

Ze złością spojrział na pożyczoną kurtkę i buty, nabierając nagle wielkiej ochoty na zakupy. Jednak myśl o tym, że Jim Souto powitałby z równym brakiem entuzjazmu rachunek za ciepłe ubranie, jak i za samochód, ostudziła go nieco i kazała mu przelknąć dumę.

Wrócił myślami do zagadki, jaką stanowiło pytanie, dlaczego Raymond nie chciał, aby miał swój samochód.

Może Claudia go o to prosiła?

Po chwili doszedł do wniosku, że nie ma w tym żadnej logiki. Chociaż twierdziła, że jej to nie przeszkadza, służenie komuś dzień i noc za kierowcę musi być męczące.

A może to sprawka Nilssonów? Może uznali, że lepiej, by specjalny reporter „Kuriera” nie mógł swobodnie myszzkować wokół ich domu, kiedy tylko zechce?

Z głową pełną pytań, na które nie znajdował odpowiedzi, podszedł do Franka po dokumenty i kluczyki.

– Czy jest tu gdzieś twój chlebobdawca?

– Nie, w tej chwili go nie ma, ale może ja mogę jeszcze czymś służyć?

– Dzięki, chciałem go tylko poznać. Podobno to przyjaciel Raymonda Paquette’a.

– O tak, są dobrymi kumplami. Ray pomaga nam tu nawet czasem, kiedy mamy dużo roboty. Prawdziwa z niego złota rączka. Poznał go już pan?

– Tak, byłem nawet u niego na kolacji.

– Naprawdę? Słyszałem, że mieszka pan u Claudii.

Na twarzy młodzieńca pojawił się uśmiezek, który doprowadził Mike’a do furii. Claudia nie jest osobą zasługującą na uśmieszki. Nikt nie wie o tym tak dobrze, jak on sam.

– Ray nie zaferował panu jednej ze swoich furgonetek? Zwykle jest bardzo uczynny.

– Furgonetek? – powtórzył Mike, wracając myślą do piątkowego wieczoru.

Był pewien, że na podjeździe przed domem Paquette’a stał tylko jeden samochód. I tylko jeden skuter.

– Tak, kupił nowego pikapa dwa tygodnie temu. To znaczy, nie całkiem nowego. Ray nie jest znowu takim bogaczem. Ale Earl robił wyprzedaż i pewno jakoś się ugodzili... że Ray to częściowo odpracuje albo coś takiego.

– A więc ma teraz dwa pikapy? – spytał Mike, kierując rozmowę na interesujący go temat.

– No tak. Nie słyszałem, żeby chciał sprzedać tego starego. Ciągle nim jeździ. Pewno kupił drugi samochód dla żony czy coś.

– Nic mi o tym nie wspominał.

Frank wzruszył ramionami.

– Na pewno to było dla niej, no bo jak? Choć nie wiem po co jej druga furgonetka zamiast zwykłego samochodu. I to jeszcze w zimie. W końcu ma skuter. – Spojrzał na dystrybutor i dodał: – Nalałem panu do pełna i uzupełniłem płyn w wycieraczkach. Należy się dwadzieścia dolarów.

Mike znów sięgnął po portfel, zastanawiając się, czy najpierw porozmawiać z Raymondem, czy złożyć – nieoczekiwaną tym razem – wizytę Nilssonom.

Kiedy Mike zatrzymał się pod domem Paquette’ów, stał tam tylko jeden skuter śnieżny i nie było żadnego samochodu, nie mówiąc już o dwóch. Chciał już odjechać, myśląc, że nikogo nie zastał, kiedy Lucille uchyliła drzwi, wysypując okruchy dla ptaków.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości co do tego drugiego pikapa, zgasił silnik i skierował się do wejścia. Po drodze zerknął na skuter, widząc, że to ten sam co poprzednio – oznaczony imieniem Raymonda. Jakaś myśl jednak nie dawała mu spokoju. Choć piątkowej nocy był nieco zamroczony, pamiętał jednak jak przez mgłę, że Claudia mówiła coś o tym, że skuter Lucille jest zepsuty.

Ale jeśli Raymond potrafił sam naprawić skuter Claudii, to czemu tamten oddał w obce ręce? I to nie do warsztatu przyjaciela, bo inaczej Frank coś by o tym wspomniał. Więc gdzie się ten skuter podziewa?

Myśląc, że to już drugi pojazd, który gdzieś tajemniczo zniknął, nacisnął przycisk dzwonka.

– O, dzień dobry – powitała go Lucille, otwierając drzwi. – Co za miła niespodzianka. A gdzie Claudia?

– Spała jeszcze, kiedy wychodziłem, więc przyjechałem sam.

– Wejdz, wejdz. Napijesz się kawy? Zjesz coś?

– Nie, dziękuję, jadłem śniadanie w kawiarni – powiedział, wchodząc za Lucille do salonu. – A potem zająłem do warsztatu Earla.

– Tak?

– I zobacz, co zdobyłem. – Pokazał jej golfa przez okno. – Miałem szczęście. Akurat był tam Jack MacDougal, który chciał sprzedać swój samochód, więc pożyczylem go na tydzień.

– Ach tak... Naprawdę ci się poszczęściło. Czy Claudia o tym wie?

– Jeszcze nie. Chciałem najpierw podjechać tu i zawiadomić Raymonda.

– Nie ma go teraz, ale mu powtórzę.

– I podziękuj mu ode mnie, dobrze? Wiem, jak się starał, żeby coś dla mnie załatwić.

– Zadzwoił chyba do setki osób – przytaknęła Lucille.

Akurat, pomyślał Mike. W każdym razie, bez względu na grę, jaką toczył Raymond, Lucille też brała w niej udział. Czyli pomylił się co do obojga. Trzeba przyznać, że w Victoria Falls zamieszkuje niemała liczba kręcaczy. Zastanawiając się, ilu jeszcze z nich jest w jakiś sposób związanych z Claudią, obdarzył Lucille jednym ze swoich najbardziej promiennych, filmowych uśmiechów i rzekł:

– Muszę już iść.

Ruszył w kierunku drzwi, czekając na odpowiedni moment, żeby zastosować stary trik porucznika Columbo i odwrócić się w ostatniej chwili z pytaniem, które mu właśnie przyszło do głowy, gdy Lucille go uprzedziła:

– Och, nie uciekaj jeszcze, Mike. Powiedz chociaż, jak ci idzie pościg za Świętym Mikołajem.

Wiedział, że musi być ostrożny. Mógł dać głowę, że wszystko, co powie, zostanie powtórzone Raymondowi, Nilssonom i Bóg wie komu jeszcze.

– Prawdę mówiąc – przyznał – to zadanie wcale nie okazało się takie łatwe, jak myślałem.

– Och, naprawdę?

Wiedział, że ta wiadomość bynajmniej jej nie zmartwiła.

– Byłem wczoraj z Claudią u Nilssonów i uznałem, że to jednak nie oni.

– Nie oni? Jesteś pewien?

– Raczej tak – skłamał. – Norman oprowadził mnie po domu i nie dostrzegłem nic podejrzanego.

– Czyżby? Nic a nic?

Najwyraźniej trudno jej było w to uwierzyć.

– No cóż, początkowo sądziłem, że wreszcie znaleźliśmy jakieś poszlaki, ale w końcu okazały się nieistotne. Chociaż kiedy wypatrzyłem kostium Mikołaja w szafie Norma, myślałem, że już go mam.

– Kostium Mikołaja? I nazywasz to rzeczą nieistotną?

– Najpierw sądziłem inaczej, ale Norm wytłumaczył mi, że używa go do

przebierania się dla zabawienia gości przy pokerze.

Lucille patrzyła na niego przez chwilę bez słowa, aż wreszcie wykrztusiła:

– Tak. Rozumiem... Do przebierania się przy pokerze.

– A potem opowiedział mi, jak na Wielkanoc wkłada strój królika. Wyobrażam sobie, jak śmiesznie musi w nim wyglądać. Co Raymond powiedział, kiedy go w tym zobaczył?

– Raymond? Och, umierał ze śmiechu.

To się stawało coraz ciekawsze. Claudia twierdziła, że ojciec nigdy nie wspominał o Normie przebranym za wielkiego królika.

– Sam pomyśl – ciągnęła Lucille – jak Norman może wyglądać jako królik. Ale ciekawa jestem, jak ci się podobał ich dom.

Gratulując jej w myślach, że tak zgrabnie zmieniła temat, powiedział:

– Imponujący. I ten cały fantastyczny sprzęt komputerowy, który tam mają.

– Doskonale się nim bawią. Ciągłe robią gościom jakieś psikusy. Czy Norm pokazał ci, jak potrafi uruchomić dowolny telefon, naciskając przycisk komputera?

– Co? Taak... Pokazał.

A to szczywany lis. To w ten sposób uruchomił linię telefoniczną Gordona. I wychodząc nie omieszkął powiedzieć mu, żeby się nie krępował i czuł jak u siebie w domu.

A więc Norman chciał, aby znalazł kostium Mikołaja. I aby się upewnił, że za całą sprawą kryją się bracia Nilssonowie. Ale o co właściwie mu chodziło? O skierowanie go na mylny trop?

To najoczywistsza odpowiedź, jednak w takim razie kto jest prawdziwym Świętym Mikołajem? Ta sprawa kryje w sobie więcej zagadek niż skomplikowana powieść kryminalna. Na razie postanowił odkryć choćby jedną z nich.

– Lucille, muszę już iść, ale powiedz mi jeszcze jedno. Czy ten młody chłopak, jak mu tam, Frank, który pracuje u Earla, nie zażywa przypadkiem narkotyków?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ray czasem im pomaga, ale nigdy o tym nie wspominał. Dlaczego ci to przyszło do głowy?

– Mówił mi coś niewyraźnie o tym, że Raymond kupił niedawno drugiego pikapa. To znaczy, drugą furgonetkę, jak zrozumiiałem. Ale ponieważ jej tu nie ma...

Niemal widział, jak Lucille zмага się z myślami. W końcu powiedziała:

– Bardzo dziwne... Nie rozumiem. Chyba że... Och, Mike, coś ty narobił!

– Na jej twarzy odbiło się wielkie rozczarowanie. – Boję się, że zepsułeś piękną niespodziankę.

– Co takiego?

– A ja tak lubię niespodzianki. Dlatego Raymond zawsze stara się... Ale mniejsza o to. Wiem, że nie zrobiłeś tego naumyślnie, więc się nie martw. Po prostu postaram się jak najlepiej udać zaskoczenie.

– Poczekaj, nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Ten samochód to na pewno mój prezent pod choinkę. I dlatego Raymond ukrył go gdzieś aż do odpowiedniej chwili.

Claudia już na progu domu usłyszała dzwonek telefonu, więc potykając się o Morgana, czym prędzej pobiegła do kuchni.

– Na miły Bóg, gdzie się podziewasz? – powitała ją Lucille. – Iggy mówi, że nie było cię w redakcji, a w domu też cię nie ma.

– Jeździłam po mieście, szukając O'Briana. Zostawił mi kartkę, że idzie na śniadanie i zaraz wraca, więc kiedy się nie pokazał, zaczęłam panikować.

– Był tutaj. To znaczy, najpierw w kawiarni na śniadaniu, potem w warsztacie Earla i w końcu u mnie. Wyobraź sobie, że wypożyczył samochód.

– Co?!

– Tego małego czerwonego golfa Jacka MacDougala. Jack chciał go sprzedać i...

– A niech to wszyscy diabli! Wystarczyło, że raz zasnęłam i proszę! Jak mogłam nie nastawić budzika?

– Nie rób sobie wyrzutów, kochanie. Nic takiego się nie stało.

– Nie? Lucille, on może teraz jeździć, dokąd chce i kiedy chce, a ja nie będę na to miała żadnego wpływu. Powiedz mi choćby, gdzie jest teraz?

– No, nie wiem. Wyjechał stąd jakąś godzinę temu. Ale może lepiej opowiem ci resztę.

– Chyba wolę tego nie słyszeć.

– Nie jest aż tak źle, ale Frank Hess powiedział mu o tym, że ojciec kupił drugą furgonetkę.

– Co? I ty uważasz, że nie jest źle?

– Powiedziałam, że nie aż tak źle. Przekonałam go, że to musi być świąteczny prezent dla mnie, który Raymond gdzieś ukrył.

– Dobry pomysł. Ale czy uwierzył?

– Na pewno. Przepraszał mnie przez kilka minut za zepsucie niespodzianki.

– Chwała Bogu.

– Boję się tylko, żeby nie natknął się na twojego ojca, zanim mu wszystko opowiem. Bo jeśli Raymond wystąpi z jakimś innym wytłumaczeniem...

– O Boże – powtórzyła Claudia, z roztargnieniem głaszcząc łeb Morgana.

– Na pewno wszystko będzie w porządku uspokajała ją Lucille. – Ale poczekaj, właśnie wszedł ojciec. Raymond! – zawołała. – Chodź tu szybko.

– Tylko zdejmę buty! – odrzyknęła.

– Pospiesz się – mruknęła Claudia.

Po krótkiej wymianie zdań okazało się, że Raymond nie widział O'Briana, ale i Lucille nie miała pojęcia, gdzie się teraz podziewa.

Claudia postanowiła na wszelki wypadek uprzedzić Nilssonów, że Mike może się niespodziewanie u nich zjawić, ale nikt nie odbierał telefonu.

– A niech ich! – Wiedziała, że kiedy są w piwnicy, w pokoju komputerowym, nie słyszą innych linii. – Ale można by pomyśleć – powiedziała do Morgana – że faceci, którzy spędzają pół życia, bawiąc się sprzętem elektronicznym, będą pamiętać o włączeniu automatycznej sekretarki.

Zawiadomiła Iggy'ego, że będzie całe popołudnie sprawdzała z O'Brianem nowe tropy, a potem stanęła w oknie salonu, wypatrując swego zagubionego gościa.

Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła się do kuchni, ale to znów była tylko Lucille.

– Posłuchaj – powiedziała zdenerwowanym głosem. – Rozmawiam tu z twoim ojcem i okazuje się, że powinnam ci powtórzyć coś jeszcze. Otóż Mike pytał o te kostiumy, które Norm rzekomo wkłada na pokera. Nie wiedziałam, o co chodzi i na wszelki wypadek potwierdziłam. Ale Raymond mówi, że Norm nigdy nic podobnego nie robił, więc...

– Więc to znaczy, że O'Brian pojechał do Nilssonów.

– O Boże, zawałam sprawę – zmartwiła się Lucille.

– To nie twoja wina. Skąd mogłaś wiedzieć. Masz coś jeszcze?

– Chyba nie.

– Nie przejmuj się. Wywiodłaś go w pole z tą furgonetką, a to w sumie najważniejsze. Wiedzieliśmy przecież, że Norm i Gord nie będą w stanie zwodzić go w nieskończoność.

Spróbowała zadzwonić do nich jeszcze raz, a kiedy telefon nadal nie odpowiadał, usiadła na krześle w kuchni, mówiąc sobie, że zamartwianie się O'Brianem nie ma w tej chwili większego sensu. Lepiej pomyśleć o czymś innym – choćby o tej bulwersującej sprawie pustych blankietów laboratoryjnych na biurku Greenaway.

Nie wiedziała, co się za tym kryje, ale ponieważ dobrobyt gospodarczy całej okolicy zależał w dużej mierze od funkcjonowania tutejszych kopalni, bardzo chciałyby odkryć prawdę. Lecz jak to zrobić, starając się jednocześnie dzień i noc chronić Mikołaja?

Gdyby tak zdołała przekonać O'Briana, żeby odłożył na później ten pościg i zajął się teraz razem z nią sprawą spółki Hillstead... Gdyby powiedziała mu, że ma pewne informacje z poufnego źródła, naprawdę ważne informacje... Może nie potrafiłby się oprzeć takiemu wyzwaniu?

Chyba że przejrzał już jej grę i wie, że wraz ze swoją rodziną od początku robi wszystko, żeby wywieść go w pole.

A wtedy nie tylko nie pomoże jej w rozwiązaniu zagadki Hillstead, ale nie odezwie się już do niej ani słowem.

Mike skrzył z szosy w boczną drogę wiodącą do Nilssonów, wciąż wyrzucając sobie, że nie spytał Lucille, co się stało z jej skuterem śnieżnym. I że nie zadał jej jeszcze paru innych pytań. Ale tak się spieszył swoją gafą z wyjawieniem Lucille niespodzianki świątecznej, że chciał czym prędzej zejść jej z oczu.

W każdym razie dowiedział się, że to jednak zapewne nie Gord i Norm kryją się za Świętym Mikołajem. A jeśli nie oni, to kto?

Bębniąc palcami w kierownicę, usiłował odpędzić od siebie natrętną myśl, że może Mikołajem jest Raymond. To absurd. Pomijając już wszystko inne, Claudia by o tym wiedziała. I na pewno do tej pory by się z tym zdradziła. W tej dziewczynie nie było źdźbła nieszczerości. I na pewno nie potrafiłaby oszukiwać go przez tak długi czas.

Choć kto wie...? Przypomniał sobie jej rozmowę z Gordem o telefonie komórkowym. Zaprzeczyła, że go kupowała, ale wyglądało na to, że kłamie. Lecz możliwe, że istnieje jakieś całkiem logiczne wytłumaczenie, dlaczego nie chciała się do tego przyznać. No i poza tym nic nie wskazywało na to, żeby Raymond Paquette miał leżące luzem dziesiątki tysięcy dolarów, które mógłby wydać na swój kaprys.

Jakaś istotna część łamigłówki musi mi umykać, myślał Mike, czując się coraz bardziej sfrustrowany. Jeśli to nie Greenaway, nie Nilssonowie i nie Raymond, to kto jeszcze zostaje? Wzdrygnął się, przypominając sobie słowa Iggy'ego, że nie wyjedzie stąd, dopóki nie rozwiąże zagadki. Nawet gdyby to miało potrwać do Wielkanocy.

Iggy? Nilssonowie wskazali na niego palcem, więc może jednak...?

Zaparkował samochód na uboczu i wysiadł, biorąc z sobą aparat fotograficzny. Właściwie spisał już Nilssonów na straty, ale istnieje jeszcze jakaś niewielka szansa, że mają schowane stopy prezentów w piwnicy. A jeśli tak, to zamierza to udowodnić.

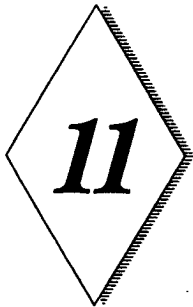
Zgięty w pół przebiegł przez polanę i przycupnął przy podmurówce. Nic, cisza. Zaczął ostrożnie okrążyć dom, zaglądając w okna piwnicy. Była prawie pusta oprócz zwykłych, złożonych w takich miejscach gratów. Nigdzie nie dojrzał jednak śladu niczego, co mogłoby przypominać prezenty od Świętego Mikołaja.

Po drugiej stronie domu podmurówka była z litego betonu, w którym zapewne znajdowały się ekrany ołowiowe. Czyli tu jest ten zabezpieczony

pokój komputerowy. Ale to było ostatnie miejsce, w którym chcieliby gromadzić jakieś paczki. Nigdy nie naraziliby swojego drogiego sprzętu na przypadkowe uderzenia i potrącenia.

A więc to nie oni. Teraz już był tego pewien. Przykucnięty, wycofał się ostrożnie i dopiero po paru krokach wyprostował się i odwrócił.

Natykając się prosto na wymierzoną w siebie lufę karabinu.



– Szuka pan czegoś? – spytał Gordon.

– To ja! – Mike zerwał z twarzy szalik, który zasłaniał go powyżej nosa i zdjął z głowy czapkę. – Mike O'Brian – dodał na wszelki wypadek, z niepokojem patrząc to na braci, to na karabin.

– Tak właśnie pomyśleliśmy, kiedy zobaczyliśmy, jak biegiesz przez polanę. – Gordon nie uśmiechnął się ani nie opuścił broni.

– I miałeś szczęście, bo moglibyśmy zrobić ci krzywdę – dodał Norman.

Mike próbował się uśmiechnąć, ale wargi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Dobrze, że się tak nie stało – zażartował z niejakim trudem. – Iggy byłby wściekły, gdybym nie napisał całego cyklu.

– Wiesz – powiedział Norman wolno, patrząc na brata – to prawda. Iggy rzeczywiście byłby wściekły. Więc może to zrób.

– Ale oskarżają mnie o morderstwo.

Norman potrząsnął głową.

– Nie sądzą. Najwyżej o przypadkowe zabójstwo. W końcu Mike wdarł się na teren prywatny i możemy powiedzieć, że nas napadł. Wtedy byłaby to obrona własna.

– Dajcie już spokój – przerwał w końcu Mike. – Żarty żartami, ale mógłbyś przynajmniej opuścić tę spluwę.

Kiedy Gord, ociągając się, spełnił jego prośbę, Mike odetchnął z ulgą.

– Przepraszam za moje wścibstwo – powiedział – ale musicie przyznać, że sami się o to prosiliście, tak ochoczo mnie wczoraj zwodząc.

– Zwodząc?

– Zadałem parę pytań na wasz temat Claudii, a potem Lucille, i odpowiedzi nie były dokładnie takie same.

– Och – powiedzieli unisono.

– A Lucille zdradziła mi wasz telefoniczny trik.

– Och – powtórzyli.

– Wiem, że to Raymond was do wszystkiego namówił – zablefował.

Nie był tego pewny, ale jeśli Raymond jest sprawcą schowania samochodu w warsztacie, to równie dobrze może stać za przedstawieniem Nilssonów.

– Dlaczego podejrzewasz Raymonda? – spytał Norm.

– Nie podejrzewam, tylko wiem. Mówiłem wam, że rozmawiałem z Claudią i Lucille.

– Nie sądzę, żeby Ray zwierzał się Claudii – mruknął Gord do brata.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy chodziło mu o to – rzucił Mike na oślep – żeby mnie przekonać, że to wy i odwrócić podejrzenia od niego.

– Co? – zdumiał się Norman.

– Myślisz, że to Raymond jest Świętym Mikołajem? – spytał Gordon. – Dobry Boże, Mike, jesteś pewien, że dostałeś nagrodę Pulitzera?

– A może podszywasz się pod kogoś innego? – chciał wiedzieć Norman. – Jak znam Iggy'ego, nie miałby nic przeciwko temu, żeby wnieść trochę zamętu.

– Skąd ci przyszło do głowy, że Ray mógłby mieć takie pieniądze? – dopytywał się Gord. – Często, kiedy przegrywa w pokera, nie ma przy sobie nawet dość gotówki, żeby się wypłacić i pisze weksel.

– No więc dobrze, to jednak nie on – zgodził się Mike, który i tak nie był zbyt przywiązany do tego pomysłu. – Ale prosił was, żebyście udawali, że to wy, prawda?

– Hmm... – chrząknął Norm.

– Dlaczego mu na tym tak zależało? – nalegał Mike.

– Myślisz, że powinniśmy mu powiedzieć?

– I tak mieliście już dość zabawy moim kosztem. Możecie przynajmniej zaoszczędzić mi drogi do miasta i ciągnięcia Raymonda za język.

– Pewno w końcu sam by mu powiedział – zauważył Gord.

Norm przytaknął.

– Wobec tego możemy chyba to zdradzić, prawda? Skoro już tu jest...

– No więc? – niecierpliwił się Mike, bo bracia zamilkli.

– Otóż... – zaczął w końcu Norman – ojciec Claudii zwrócił się do nas, bo był wściekły na Iggy'ego za odebranie córce jej sensacyjnego tematu.

– Co?

– Jak to „co”? Mówię o tej historii z prezentami, oczywiście. Nigdy nie mieliśmy tu żadnych Świętych Mikołajów, biegających po mieście.

– I pewno już nigdy nie będziemy mieli – dodał Gord.

– No właśnie. Więc kiedy Iggy dał ten temat Claudii, a nie swojemu siostrzeńcowi, była bardzo podekscytowana. I Raymond cieszył się razem z nią. A potem nagle, ni stąd, ni zowąd, Iggy sprowadził z Kalifornii jakiegoś ważniaka i...

– Norm... – przerwał mu nagle Gordon.

– Przepraszam, Mike, nie bierz tego przeciwko sobie, ale Claudia i Raymond tak to określili.

– Norm chciał tylko powiedzieć, że Raymond był naprawdę wściekły na Iggy'ego – wytłumaczył Gordon. – Uważał, że to nie w porządku brać do tej historii kogoś z zewnątrz. I że im dłużej ten ktoś nie odnajdzie prawdziwego Mikołaja, tym lepiej.

– Bo im dłużej to zajmie – dodał Norm – tym bardziej Iggy będzie się martwić, że cały cykl może nie odnieść aż takiego sukcesu.

– No i jeśli nie uda się zidentyfikować Mikołaja – wtrącił Gordon – to nie będzie właściwego zakończenia i ludzie poczują się rozczarowani.

Mike potarł podbródek, zastanawiając się, czy to ma jakiś sens.

– W tym rozumowaniu jest jeden poważny mankament – powiedział w końcu.

– Jaki?

– Jeśli mój cykl okaże się niewypałem, to gazeta nie zdobędzie nowych czytelników, na co liczył Iggy. Będzie nadal zadłużona i Wentworth ją zamknie. A w takim wypadku Claudia straci pracę, więc przyczynianie się do tego wydaje się nieco idiotyczne, prawda?

– Niekoniecznie – zauważył Norman. – Tak czy owak, upadek „Kuriera” to tylko kwestia czasu. Raymond o tym wie i Claudia z pewnością też. Nawet gdyby twoje artykuły były hitem sezonu, zapewnią większą pokupność pismu tylko chwilowo. Za miesiąc lub dwa wszystko znów wróci do normy.

– Może masz rację – powiedział Mike.

W gruncie rzeczy zamknięcie pisma wydawało się nieuniknione, więc to nawet zrozumiałe, że Raymond mógł machnąć na wszystko ręką i starać się odegrać za córkę.

– Teraz, skoro już znasz prawdę, może napijesz się gorącej kawy? – zaproponował Gordon. – Na pewno zmarłeś.

– Dzięki, ale już pojadę. Zostawiłem Claudii wiadomość, że zaraz wracam, a od tej pory minęło już dobrych parę godzin. Jeszcze pomyśli, że porwali mnie kosmici.

– No, to trzymaj się – pożegnali go bracia.

Boczna droga wiodąca do szosy była pusta i pokryta śniegiem, ale nie

obludzona. Siedząc za kierownicą, zaczynał rozumieć, że ktoś taki jak Claudia, przyzwyczajony do tutejszych warunków, nie boi się szybkiej jazdy. Ta myśl jeszcze kołatała mu w głowie, kiedy na drogę kilkanaście metrów przed nim wystąpił jeleni.

Mike błyskawicznie zahamował i gwałtownie skręcił w prawo. Golf wykonał pełen obrót wokół osi, odbił się od wału śnieżnego i jeszcze raz zakręcił.

Ostatnią rzeczą, jaką Mike widział, był przód samochodu wbijający się w litą białą ścianę. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, był zacisk pasa wbijający go w siedzenie.

Claudia mknęła po szosie z szybkością, która nawet jej samej wydawała się nieco ryzykowna. Ale minęły już prawie dwie godziny, odkąd Gord zawiadomił ją o wizycie Mike'a, więc ten dawno powinien być w domu. Jazda od braci nie mogła zająć mu więcej niż czterdzieści minut. Na samą myśl, że coś mu się stało, czuła nieznośny ucisk w gardle. Przyciskając gaz do dechy, wyrzucała sobie, że nie umiała go dopilnować.

Z każdą chwilą ogarniała ją coraz większa panika, już niemal widziała go na marach i mogła myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej go znaleźć. Przy głównej szosie nie było żadnego śladu ewentualnego wypadku, z duszą na ramieniu skręciła w drogę wiodącą do Nilssonów i po jakimś kilometrze zobaczyła to, czego szukała.

Mały, czerwony samochód do połowy zakopany w wale śnieżnym.

Zatrzymała się z piskiem opon i wyskoczyła z jeepa, czując oszalałe bicie serca. Po stronie kierowcy golf był mocno wgnieciony, a przez oszronione szyby nie widziała nawet, czy Mike jeszcze żyje. Umierając ze strachu, zaczęła szarpać drzwi, a kiedy się nie chciały otworzyć, lzy strumieniem zaczęły płynąć jej po policzkach. Jak przez mgłę zobaczyła, że ktoś wyciera okno od środka.

– Paquette! – dobiegł ją głos Mike'a. – Dzięki Bogu! Wyskoczył mi jeleni przed maskę. Nie zderzyłem się z nim, ale...

Szum w uszach zagłuszył jej dalsze słowa. Gdyby zderzył się z jeleniem tym śmiesznym samochodzikiem, mogłoby się to skończyć tragicznie. Nawet kolizja z wałem śnieżnym groziła poważnymi następstwami.

– Nic ci nie jest? – przerwała mu.

– Oprócz tego, że przypominam sopel lodu. Te drzwi się zacięły, tamte zaklinowały w zlodowaciałej górze śniegu, a ja omal nie zamarzłem na śmierć, więc z czego się, do diabła, śmiejesz?

– Wcale się nie śmieję, tylko...

Ale nagle rzeczywiście poczuła, że chwyta ją histeryczny paroksyzm

śmiechu i na wpeł płacząc, na wpeł śmiejąc się z niewysłowioną ulgą, zaczęła wycierać łzy z oczu.

– Możesz mnie stąd wydostać?

– Zaraz coś znajdę.

Pobiegła do jeepa i wzięła łyżkę do opon, po czym z całą determinacją i siłą przystąpiła do wyważania drzwi, które w końcu ustąpiły.

– Och, O'Brian! – zawołała, rzucając mu się na szyję. – Myślałam już, że znajdę trupa.

– Niewiele brakowało – mruknął, szcękając zębami. – Ale skoro żyję, to co mam teraz zrobić z tym autem?

– Nie przejmuj się, później się tym zajmiesz. Daj mi ręce, to pomogę ci wyjść. Mój Boże, ty się ledwo ruszasz. Jesteś pewien, że nic nie złamałeś?

– Złamać nie złamałem, ale przemarłem do szpiku kości. W życiu nie było mi tak zimno. Nawet podczas naszej uroczej wyprawy nad jezioro.

Najważniejsze, że żył i z tego powodu jej serce aż śpiewało z radości. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo stał się jej bliski. Najchętniej wtuliłaby się w niego, objęła go z całych sił i zapłakała ze szczęścia, że nic mu się nie stało.

Tymczasem jednak pomogła mu wyjść z zamienionego w bryłę lodu samochodu, wpakowała go do jeepa i natychmiast otuliła od stóp do głów kocem.

– Zawiozę cię do Nilssonów. To najbliższe miejsce, w którym będziesz mógł się rozgrzać.

– Nie, nie chcę znów oglądać Nilssonów. Weź mnie do domu, Claudio. Po prostu weź mnie do domu.

Odrętwiały z zimna, prędeż spodziewał się zapaść w letarg, niż zacząć walczyć z myślami. I to myślami o tym, jak to się mogło stać, że zaledwie po paru dniach pobytu w Victoria Falls zakochał się w Claudii po uszy.

Oczywiście, spędzali razem niemal każdą minutę, co pozwoliło im się poznać o wiele bliżej, niż gdyby mieli za sobą parę zwyczajowych randek. Niemniej zawsze uważał się za człowieka odpornego na szybkie zauroczenie i miłość od pierwszego wejrzenia. Tymczasem spadło to na niego jak gwałtowny atak grypy.

Nie, to zupełnie niestosowne porównanie. Zakochać się w Claudii jest rzeczą cudowną – i ona sama jest cudowna. Ma w sobie to wszystko, czego zawsze szukał u kobiety – nawet jeśli o tym nie wiedział, dopóki jej nie spotkał. Jest piękna, zabawna, miła i właśnie uratowała mu życie. Czegóż więcej chcieć?

Wolałby wprawdzie, żeby jej ojciec nie był przebiegłym krętaczem i

kłamcą, ale trudno ją winić za zachowanie Raymonda. Z tego, co mówili Nilssonowie, wynika, że ona sama nie ma zapewne pojęcia o całej intrydze.

– Claudia?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Zauważyłeś, że zacząłeś mówić do mnie po imieniu? Do tej pory nazywałeś mnie najczęściej Paquette.

– Naprawdę?

– Uhm...

– Wolisz, żeby tak zostało?

– Nie, możesz mówić Claudia... Mike.

Mike. Podobało mu się brzmienie jego imienia w jej ustach. A może po prostu podobały mu się jej usta?

– Chciałbym cię o coś spytać – powiedział, zmuszając się, żeby powrócić do właściwego tematu. – Czy wiedziałas, że twój ojciec był wściekły na Iggy’ego za to, że oddał mi temat Mikołaja?

Wzruszyła ramionami.

– Nie chodziło mu o to, że oddał go akurat tobie. Chodziło mu o zasadę: jednego dnia temat jest mój, a drugiego nagle kogoś innego.

– Rozumiem, ale nie to miałem na myśli. Ciekaw jestem, czy wiedziałas, że on rzuca mi kłody pod nogi? Stara się przeszkodzić mi w wytropieniu Mikołaja?

– Co? – Spojrzała na niego z takim niewinnym wyrazem twarzy, że to nie mogło być udawane. – Nie mówisz poważnie.

– I owszem. Gord i Norm opowiedzieli mi o wszystkim. Twój ojciec prosił ich, żeby wywiedli mnie w pole i dali Iggy’emu nauczkę.

– Dali Iggy’emu nauczkę?

– Tak. Gdybym nie wywiązał się z zadania, cały cykl okazałby się niewypałem i jego nadzieje spaliłyby na panewce.

– Coś podobnego...: I tato wymyślił taką intrygę? Nie wiedziałam, że jest aż taki rozżalony.

– A jednak. I jak sądzę, nie tylko Nilssonowie byli mu pomocni. Jestem niemal pewien, że starał się przeszkodzić mi w wypożyczeniu samochodu.

– Och, Mike, nie wydaje mi się, żeby...

– Nie martw się. Byłem na niego wściekły, ale złość szybko mi przechodzi. A jemu?

– Co masz na myśli?

– Wiedziałas, że kupił dla Lucille furgonetkę na gwiazdkę?

– Aa... Tak, mówił mi.

– Usłyszałem o tym przypadkiem, ale nie wiedziałem, że to miała być niespodzianka. I kiedy wpadłem do nich dziś rano, niechcący się wygadałem. Raymond nie będzie szczęśliwy, kiedy się o tym dowie.

– Nie przejmuj się. Na pewno nie będzie miał ci za złe.

Wbiła wzrok w szosę, czując się okropnie. Robiła, co mogła, żeby nie polubić Mike’a O’Briana, a tymczasem się w nim zakochała. Wiedziała o tym od chwili, gdy zaczęła odchodzić od zmysłów na myśl o tym, że mógłby zginąć.

I co teraz? Dałaby wszystko, żeby przestać go okłamywać. Gdyby mogła mu zaufać, natychmiast wyjawiłaby mu całą prawdę. Ale nie mogła mu zaufać. Przyjechał do Victoria Falls tylko po to, aby zdemaskować Świętego Mikołaja. I kiedy okręzną drogą usiłowała go od tego odwieść, co usłyszała pewnego pięknego dnia? Że ma źle w głowie. Że zaden lokalny kmiotek w czerwonym kubraczku nie wystrychnie go na dudka. Że zostałyby pośmiewiskiem całej swojej redakcji i nie mógłby się tam więcej pokazać.

Nie, nie mogła ryzykować wyjawienia mu prawdy. Zwłaszcza że byłoby to igranie z życiem Mikołaja.

Kiedy wreszcie dotarli do domu, Claudia natychmiast kazała mu iść do łóżka w ubraniu, które ma na sobie, i przykryć się z głową wszystkimi kocami.

– To jakaś stara tutejsza sztuczka?

– Zobaczysz. Najszybszy sposób, żeby się rozgrzać.

– Albo się rozgrzeję, albo uduszę, tak? I wtedy to już nie będzie miało znaczenia, że jestem zimny jak lód.

– Bardzo śmieszne. Rób, co mówię, a ja przygotuję coś ciepłego na obiad.

Zrzucił kurtkę i buty i wpakował się do łóżka z rozkosznym uczuciem, że ktoś o niego dba. Przypomniawszy sobie, że to samo czuł pierwszego dnia pobytu tutaj, ale teraz wiedział, że największą przyjemność sprawiało mu to, że tym kimś była Claudia. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie chciałby, aby dbała o niego do końca życia.

W tym momencie jednak odezwał się w nim głos rozsądku, mówiąc, aby się za bardzo nie spieszył. Nie powinien tak łatwo dać się porwać uczuciu, zwłaszcza gdy zawsze był pewien, że stały związek nie jest dla niego. Podróżujący po świecie reporter nie ma prawa się z nikim wiązać.

Oczywiście, Claudia sama jest dziennikarką, więc jeśli przyjdzie mu w ostatniej chwili zmienić plany w związku z pracą, na pewno okaże więcej zrozumienia niż większość kobiet. Ale były też inne przyczyny, dla których uważał, że najlepszy styl życia polega na tym, by nie mieć żadnych zobowiązań. Tyle że w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć żadnego zobowiązania.

Myślał tylko o tym, że nie chce stąd bez niej wyjeżdżać. Że nadszedł czas, aby się ustabilizować. Że znalazł kobietę swojego życia. I tylko miejsce, w

którym ją znalazł, nie było miejscem jego marzeń.

Ale chyba Claudia nie jest przykuta do Victoria Falls?

To pytanie nie dawało mu spokoju i kiedy pojawiła się w drzwiach z talerzem zupy na tacy, postanowił niezwłocznie je zadać.

– Rosół – oznajmiła. – Domowy. Sama go robiłam.

Jak mógł wyobrazić sobie dalsze życie bez kobiety, która sama gotuje rosół?

– Nie usiądziesz przy mnie, kiedy będę jadł? – spytał, poklepując zachęcająco brzeg łóżka.

– Ale wcale nie jesz.

– Rosół jest pyszny, ale za gorący. Muszę poczekać, aż trochę wystygnie.

Zawahała się, ale usiadła obok niego.

– Mówiłem ci o moich siostrach?

– Tak. Nazywają się Sara i Rachel. Mieszkają w Los Angeles i mają po dwóch dzieci.

– I mężów. Obie są mężatkami.

– To miło. Zwłaszcza kiedy w grę wchodzi dzieci.

– I obie zakochały się od pierwszego wejrzenia, po czym natychmiast wyszły za mąż.

– Co za niezwykły zbieg okoliczności.

– Właśnie to samo zawsze myślałem. Ale ostatnio jakoś mi chodzi po głowie, że to może być rodzinne.

Puls Claudii, już przyspieszony, zaczął bić jeszcze szybciej.

– Czy to znaczy – spytała w końcu – że twoi rodzice też błyskawicznie się pobrali?

– Nie, oni spotykali się ze sobą całymi latami. Ale niektóre cechy dziedziczne przeskakują jedno pokolenie.

– Rozumiem – powiedziała, chociaż wcale nie była tego pewna.

A może po prostu nie chciała dopuścić do siebie myśli, która wydawała się niemożliwa. Pulsowanie w skroniach stawało się coraz bardziej nieznośne.

Mike patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem wziął ją za rękę.

– Pamiętasz, jak mówiłaś mi wczoraj, że chciałaś kiedyś zwiedzać świat, ale okoliczności ci nie pozwoliły?

Kiwnęła głową, bojąc się odezwać.

– No więc zastanawiałem się...

– Tak?

– Nie postanowiłaś sobie przypadkiem, że nigdy nie wyjedziesz z Victoria Falls, prawda?

– Nie. Po prostu tak się ułożyło, że tu zostałam i weszłam w dorosłe życie.

– Wiesz – powiedział ciepło – może powinnaś zacząć zwiedzanie świata od wizyty w Los Angeles. I to w miarę szybko.

– Nie mam nic przeciwko temu – szepnęła. – Bardzo się cieszę.

Uśmiechnął się do niej tak promiennie, że serce zaczęło jej bić jak oszalałe. A potem ujął jej twarz w dłonie i całował ją długo i żarliwie, wznecając słodki ogień pożądania.

Wiedziała, czym się to skończy, jeśli natychmiast nie wyjdzie z pokoju. Ale wiedziała też, że jest to dla niej bezpieczny okres miesiąca i że nie chce wyjść. Chce się z nim kochać.

– Claudia? – wyszeptał, odrywając od niej wargi. – Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała:

– Do tej pory nie wierzyłam. Ale mogę zmienić zdanie.

Uśmiechnął się do niej tak ciepło, że fala gorąca przeniknęła ją aż po czubki palców. Położył jej rękę u nasady szyi i zaczął delikatnie pieścić palcami skórę. Poczowała, że nie jest w stanie mu się dłużej oprzeć. Ale przecież powinna. Nie może się kochać z mężczyzną, którego oszukuje od samego początku.

– Mike? – wykrztusiła.

– Nie martw się – szepnął, całując ją w ucho. – Jestem zdrow jak ryba. Więc jeśli to nie jest niebezpieczny dzień...

– Nie, ale nie o to mi...

– Całe szczęście, bo pragnę cię tak bardzo, że chyba bym umarł, gdybyśmy nie mogli się kochać.

– Ja też, ale...

Słowa zamarzyły jej na ustach, kiedy pochwycił ją zaborczym gestem i przyciągnął do siebie. Bardzo chciała powiedzieć mu prawdę, ale wiedziała, że nie może. Przynajmniej dopóki nie uzyska pewności, że ta prawda nie wyjdzie na jaw. Walczyła z sobą jeszcze wtedy, kiedy położył ją na łóżku. A potem jego ciało na jej ciele odsunęło na bok wszystkie inne myśli. Jego bliskość, zapach i dotyk przesłoniły jej cały świat.

Pachniał mroźnym, zimowym lasem, ale jego pocałunki i pieszczoty były gorące. Jego usta nie chciały się oderwać od jej ust, a ręce błądziły po ciele, obiecując dalsze rozkosze. Podciągnął jej sweter i pocałował ją w brzuch, a gdy powędrował wargami do jej piersi, szepnęła jego imię i podniosła się, żeby mógł jej zdjąć sweter przez głowę.

Zrzucił z siebie ubranie, a ona objęła go z całych sił, gładząc mu plecy, schodząc rozpalonymi rękami coraz niżej. Jej ciało przeniknęło ogniem, a pożądanie stało się tak silne, że aż bolesne.

Mike rozpiął jej dżinsy i pomógł jej zdjąć.

– Och, Mike – szepnęła, oddychając coraz szybciej, pragnąc, aby wszedł w nią, a jednocześnie nie chcąc, aby przestał robić to, co robi.

I kiedy już myślała, że za chwilę umrze z nadmiaru pożądania, przeniknęła

ją ostatni, rozpalony do białości spazm rozkoszy. Zadrżała, a ziemia zadrżała wraz z nią.

Leżała nie mogąc złapać tchu, nie mogąc się odezwać. Była całkowicie we władaniu przeżytych doznań, z wolną poddając się błogiemu uczuciu spełnienia.

A potem Mike pocałował ją w szyję i jej puls natychmiast podskoczył.

– Czujesz się dobrze? – spytał, a jej ciało znów wypełnił żar.

– Dobrze? – Miała ochotę śmiać się i płakać. – Mike – szepnęła – nigdy w życiu nie czułam się lepiej.

Choć miała zamknięte oczy, wiedziała, że się uśmiechnął. Uśmiechając się sama, powędrowała ręką wzdłuż jego boku i przyciągnęła go do siebie.

Wsunął ręce w jej włosy i znowu w nią wszedł – gorący, silny, pełen pożądania.

Jego ruchy rozpały ją na nowo. I kiedy jęknął w dreszczu rozkoszy, ziemia jeszcze raz pod nią zadrżała. Ostatnią myślą przed zapadnięciem w sen było życzenie, żeby ta chwila trwała wiecznie.



· Popołudniowe słońce tańczące na szybie mamilo gorącem, ale Mike swoje wiedział. W łóżku było mu z Claudią rozkosznie ciepło, lecz cały dom wiał chłodem.

Przytulił ją mocniej, myśląc, że zdecydowanie wolałby tu z nią zostać, niż wstawać i pisać kolejny artykuł. Z uczuciem tkliwości patrzył na jej czerwone, opuchnięte od pocałunków wargi, zmierzwiłone włosy i długie, ciemne rzęsy. Jakby wyczuwając jego wzrok, uśmiechnęła się, nadal nie otwierając oczu, i to go jeszcze bardziej roztkliwiło.

– No co? – szepnął jej do ucha.

– Poblask – odszepnęła.

– Poblask? Tak się to nazywa?

– Uhm... – przytaknęła, wolno uchylając powieki. – Nie wiem, czy to właściwe słowo, kiedy słońce świeci, ale nie mogę znaleźć innego.

– I to ma być dziennikarka? Nigdy nie powinno ci zabraknąć właściwych słów.

– Och, czasem, w nadzwyczajnych okolicznościach, jest to chyba dozwolone.

Roześmiał się. To na pewno były nadzwyczajne okoliczności. Cały świat przewrócił mu się do góry nogami, a on czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Właśnie chciał to Claudii powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon.

– A niech to diabli! – mruknęła pod nosem, wysuwając się z łóżka.

Obserwował ją przez chwilę, ale szybko sięgnęła po jego szlafrok wiszący

na krzesło, psując mu przyjemność. Wybiegła z pokoju i wróciła ze słuchawką przy uchu.

– Ville-Marie? To kawał drogi, Iggy. – A po momencie dodała: – Tak, wiem, że pożar domu tuż przed Bożym Narodzeniem to idealny wyciskacz łez, ale czy nie mogłabym tam po prostu zadzwonić i dowiedzieć się wszystkiego przez telefon? Rozumiem, chcesz zdjęcia. No dobrze, pojedę jutro z samego rana. Coraz bardziej żałuję, że naszej redakcji nie stać na fotografa.

Przez chwilę słuchała, po czym machnęła do Mike'a ręką, mówiąc:

– Tak, właśnie pisze. Jasne, że możesz z nim porozmawiać. – Iggy już wychodzi z redakcji – wyjaśniła Mike'owi, podając mu słuchawkę. – I chce wiedzieć, jak ci idzie.

– W porządku, Iggy – przejął paleczkę Mike. – Kończę już środowy artykuł i może dziś napiszę też czwartkowy. Oba koncentrują się na Nilssonach. Taka mini seria w ramach cyklu.

– Ale oni nie są Mikołajem – zaprotestował Iggy.

– Wiem i to będzie właśnie konkluzja czwartkowego artykułu. Skoro jednak tak długo udało im się wodzić mnie za nos, mam zamiar znów podkreślić humorystyczną stronę moich perypetii. Dobrze to wyszło w pierwszym artykule?

– Tak, był śmieszny jak cholera. A twoje zdjęcie z tą rybą jest świetne. Daję je na pierwszą stronę.

– To zasługa Claudii – powiedział, uśmiechając się do niej.

Zrzuciła już szlafrok i wśliznęła się z powrotem do łóżka, obsypując delikatnymi pocałunkami jego ramię. Zaczął się modlić, żeby Iggy nie był w zbyt rozmownym nastroju.

– Ale wiesz już, kim jest Mikołaj? – gnębił go dalej naczelny, gdy tymczasem Claudia mierzwiła mu palcami włosy na piersi. – Masz już jakiś zdecydowany trop?

– Jestem coraz bliżej.

– Ja też – szepnęła Claudia, schodząc pocałunkami coraz niżej.

– To się nie liczy – oświadczył Iggy: – Nigdy nie sądziłem, że reporter twojego kalibru będzie mieć jakiegokolwiek trudności z wykryciem naszego Mikołaja. Jednak jeśli masz kogoś na oku, o kim na razie nie chcesz mówić...

Mike przełknął głośno ślinę, starając się dzielnie trzymać mimo zakusów Claudii.

– O'Brian? Coś ci jest? – spytał Iggy. – Zdawało mi się, że jęknąłeś.

– Nie, nie. To chyba jakieś zakłócenia na linii. Wpadnę rano z tymi artykułami, dobrze?

– Doskonale. Wygląda mi na to, że potrzebujesz pomocy i powinniśmy wspólnie zrobić burzę mózgów. Postaram się ściągnąć też Pete'a.

Mike zakrył ręką słuchawką i szepnął:

– Claudia, zmiłuj się...

W odpowiedzi pocałowała go w pępek.

– O wilku mowa – powiedział Iggy. – Pete właśnie przyszedł i czegoś chce. Do zobaczenia rano. A na razie trzymaj się tego, co robisz.

– Dobra, Iggy. Do zobaczenia. – Odłożył słuchawkę i ze śmiertelnie poważną miną powiedział do Claudii: – Twój naczelny kazał mi trzymać się tego, co robię.

Claudia przysunęła się bliżej.

– Cóż, on jest tu szefem...

Po jakimś czasie Mike rozciągnął się leniwie w łóżku, pocałował Claudię w ramię i spytał:

– Wiesz, na co mam ochotę?

– Nie.

Uśmiechnęła się do siebie, pewna, że nawet tak nienasycony mężczyzna musi mieć w tej chwili coś innego na myśli.

– Ubierzmy choinkę. Od lat tego nie robiłem.

– Naprawdę? Ty biedny nieszczęśniku. Ja robię to co roku.

– Wiedziałem. – Pocałował ją jeszcze raz.

– Nie mogłeś tego wiedzieć.

– Ależ oczywiście, że wiedziałem. Należysz do tego typu kobiet.

– Czyżby? Uważasz, że poznałeś mnie już na wylot, tak?

– No pewno. Znam wszystkie twoje sekrety. Niczego nie mogłabyś przede mną ukryć.

Znów uśmiechnęła się do siebie – tym razem z poczuciem winy.

– Chyba że chodziłoby o ten telefon komórkowy – dodał.

– Co? – Aż podskoczyła na łóżku.

– No, ten telefon, o którym mówił Gord. Kupiłaś go przecież, prawda?

Zmusiła się do spokoju i powiedziała:

– Rzeczywiście, masz rację. Trudno coś przed tobą ukryć.

Uśmiechnął się do niej szeroko, bardzo z siebie zadowolony.

– Więc dlaczego zaprzeczyłaś?

– Bo to prezent gwiazdkowy dla Annie. Nie chciałam, żeby Gord się przed nią wygadał. Wolisz ubierać choinkę od razu, czy dopiero po napisaniu tych artykułów, które obiecałaś Iggy’emu?

– Od razu. Artykuły mam już w głowie, więc ich napisanie nie zajmie mi dużo czasu.

– Wobec tego musimy się ubrać, bo świerk jest dalej na dworze.

– Na mrozie – uściślił z niechęcią.

Na widok jego nieszczęśliwej miny Claudii zrobiło się go żal.

– Ja jestem przyzwyczajona do tutejszej temperatury, więc wyjdę po drzewko – zaofiarowała się – a ty tymczasem idź do piwnicy i przynieś ozdoby.

– Znów ryzykując głową? – spytał, udając przerażenie.

– To moja ostateczna propozycja. Możesz ją przyjąć lub odrzucić.

– Przyjmuję. Wolę umrzeć, niż wyjść jeszcze dzisiaj na ten mróz.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne. Będziesz mi po prostu winien przysługę. – Wyśliznęła się z łóżka i zgarnęła swoje ubranie z podłogi. – Ozdoby choinkowe są na prawo od pieca – dodała, umykając do swego pokoju.

Mike jeszcze przez chwilę rozkoszował się ciepłem łóżka, ale w końcu zdecydował się wstać i ubrać. Tym razem, schodząc do piwnicy, nie omieszkał najpierw zapalić światła. Pudełka z ozdobami choinkowymi stały dokładnie tam, gdzie Claudia wskazała, oznaczone odpowiednimi naklejkami. Obok piętrzyły się pudła z napisem „Książki”, a na wierzchu stało jeszcze jedno oznakowane: „Zdjęcia”. Pokrywka z tego ostatniego była zdjęta, więc postąpił krok, żeby je przykryć i osłonić przed kurzem. Zerkając mimochodem do środka, zobaczył porządnie ułożone albumy i trzy oprawione w ramki fotografie, jakby w pośpiechu wrzucone na wierzch. Wiedziony ciekawością, wyjął je i obejrzał.

Pierwsza przedstawiała Claudię i Annie w wieku jakichś siedemnastu czy osiemnastu lat. Na drugiej stał między nimi chłopiec, mniej więcej ich rówieśnik, obejmując je ramionami. Na ostatnim zdjęciu ten młodzieniec był już człowiekiem dorosłym, dobiegającym zapewne trzydziestki. Wysportowany i opalony, z miłym uśmiechem, stał oparty o poręcz sporego jachtu.

Mike patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się, kto to jest. Facet, z którym Claudia chodziła? Ten Chet, którego gdzieś tam przeniesiono? Chyba nie, uznał w końcu, bo mężczyzna na zdjęciu miał włosy o wiele dłuższe, niżby tolerowano w jakiegokolwiek policji. Poskramiając ciekawość, odłożył zdjęcia z powrotem, zamknął pudełko i sięgnął po ozdoby.

Claudia odgoniła Morgana spod choinki i przyklekła, żeby ułożyć pod nią prezenty. Potem cofnęła się o kilka kroków i patrzyła, jak Mike zwieńcza swoje dzieło, mocując na czubku aniołka, którego tak lubiła jej matka.

– Doskonale – pochwaliła go, kiedy zerknął na nią pytająco. – Wygląda pięknie.

– No myślę. – Zszedł z krzesła. – To, że nie robiłem tego od dobrych paru lat, jeszcze nie znaczy, że nie umiem ubierać choinek.

– Patrzcie, patrzcie, a mojej zasługi w tym nie ma? Kto naprawił lampki?
– Nigdy nie mówiłem, że jestem elektrykiem. – Jego wzrok spoczął na prezentach. – Gdzie jest telefon Annie?

Drgnęła niespokojnie.

– O, tam – powiedziała, pokazując prezent dla przyjaciółki i dziękując Bogu, że ma odpowiedni kształt.

– Wygląda jak pudełko na buty.

– Zawsze lubiłam pakować prezenty w pudełka na buty z napisem: „Kapcie”. To mój ulubiony trik.

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech i znów zaczęła podziwiać choinkę. Była naprawdę piękna. Pizza, którą zamówili na kolację, smakowała im bardzo, ale najwspanialsza była sama obecność Mike’a.

Istniał tylko jeden mały zgrzyt – poczucie winy, które ją gnębiło. Czułaby się o tyle szczęśliwsza, gdyby mogła powiedzieć mu prawdę. I zrobi to natychmiast, gdy będzie mogła. Miała tylko nadzieję, że Mike nie będzie na nią zbyt zły, kiedy się wszystkiego dowie.

– Wiesz – powiedział, obejmując ją i przytulając – zapomniałem o tym, jak usypiająco działa na mnie ubieranie choinki. Chętnie uciałbym sobie małą drzemkę, a ty?

– Drzemkę? – powtórzyła, uśmiechając się pod nosem. – Nie, nie sądzę. Miałaś napisać te artykuły i chciałam jeszcze z tobą porozmawiać.

– Taak? – mruknął, muskając wargami jej kark. – Nie mogłaś ze mną porozmawiać, kiedy ubieraliśmy choinkę?

– Nie, ponieważ zależy mi na tym, żebyś poświęcił mi całą uwagę – powiedziała, biorąc go za rękę i sadzając na kanapie.

– Zależy ci tylko na mojej uwadze?

– W tej chwili tak.

– Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś straszną marudą?

– Możliwe, ale posłuchaj. Mieliśmy rację co do Hillstead, tam dzieje się coś niedobrego. I Wayne Greenaway jest w to zamieszany.

– Słyszałaś coś nowego?

– Tak.

Opowiedziała mu pokrótce o przesiadywaniu Greenaway’a po nocach w biurze, pustych blankietach firmowych z pieczętką laboratorium i zasadach, na jakich funkcjonuje spółka.

– No dobrze – odezwał się, kiedy skończyła. – Po pierwsze, na ile wiarygodne jest twoje źródło informacji?

– Całkowicie.

– Nie jest to po prostu jakiś gość, który chce się odegrać na Greenawayu?

– Nie.

– Wobec tego zsumujmy to, co wiemy. Laboratorium pobiera próbki złóż

i bada zawartość metalu. Na tej podstawie dyrekcja w Toronto podejmuje dalsze plany strategiczne. Więc jeśli Greenaway chce z siebie tylko wiadomych względów wpłynąć na te plany i ma odpowiednie blankiety...

– Właśnie. Z tym, że to może być równie dobrze ktoś z dyrekcji, kto chce zobaczyć takie a nie inne wyniki, a Wayne idzie mu tylko na rękę, wysyłając oczekiwane raporty.

– Bystra uwaga. Greenaway może być tylko wykonawcą czyichś poleceń. Tak czy owak, to wszystko brzydko pachnie. Jak rozumiem, chciałabyś zbadać tę sprawę?

– To chyba oczywiste. Miałam nadzieję, że pomożesz mi w tym. Kiedy wrócę jutro z Ville-Marie...

– Hmm...

– Mike? Rozumiem, że chciałeś najpierw rozwiązać zagadkę Świętego Mikołaja, ale jeśli rzeczywiście Wayne knuje coś złego, to naprawdę ważne, żeby mu przeszkodzić.

– Wiem. I możesz mi wierzyć, że sto razy bardziej wolałbym zająć się tą sprawą niż tym, co robię. Ale nadal jestem w szczerym polu. I jeśli to nie Iggy, jak sugerowali Nilssonowie, to już naprawdę nie wiem, w którą stronę mam kierować podejrzenia.

Zła, że nadal musi udawać, Claudia przybrała taką minę, jakby na serio rozpatrywała kandydaturę Iggy'ego.

– Nie powinniśmy zapominać, że to Pete powołał cię na Main Street – powiedziała w końcu. – Co znaczy, że Iggy ma dostęp do kostiumu Świętego Mikołaja. I może jakimś cudem ma też gdzieś większe pieniądze.

Niezbyt go to przekonało.

– Nikt inny nie przychodzi ci do głowy?

– Nie.

Wyczerpała już swój zasób pomysłów.

– Wobec tego wróćmy na razie do sprawy Hillstead. Mogę przynajmniej dać ci jakieś rady, więc powiedz mi wszystko, co wiesz. Czy nie zdarzyło się tam ostatnio coś niezwykłego, budzącego zdziwienie?

– No cóż, te zwolnienia były z całą pewnością nieoczekiwane i budzące zdziwienie.

– I spowodowały pewnie ruch cen wśród udziałowców?

– Myślisz o manipulacji giełdowej?

– To się często zdarza w branży przemysłowej. Może powinnaś sprawdzić ostatnie notowania i dowiedzieć się, kto z udziałowców sprzedawał lub kupował większy pakiet akcji.

– Znam kogoś, kto może mi pomóc. Dziennikarkę z działu gospodarczego „Toronto Star”, która ma dostęp do wszystkich danych. A co z tymi pustymi blankietami?

– Greenaway musi mieć kopie dokumentów wysyłanych do dyrekcji, prawda?

– Tak sądzę.

– Więc należy je porównać z oryginalnymi analizami wykonanymi w laboratorium. Może się mylimy. Może przekazywał prawdziwe wyniki.

Ale jeśli używał tych pustych blankietów do wpisywania fałszywych danych, to wystarczy proste porównanie, żeby to wykazać.

Claudia uśmiechnęła się. Rzeczywiście, wystarczy proste porównanie. Ale zaraz jej uśmiech zgasł.

– Czy to znaczy, że mam się wdierać do jego akt? To chyba nie jest całkiem etyczne?

– No cóż, może nie całkiem – powiedział wolno. – Ale większość reporterów musi te opory w sobie przełamać.

– Więc należy przymknąć oko na pewne aspekty prawa?

– Czasami. Dawno temu doszedłem do wniosku, że jedyne, co można zrobić, to rozpatrywać każdą sytuację w jej własnym kontekście.

– Czyli cel uświęca środki?

Kiwnął głową.

– Mogę się założyć, że niemal każdy dziennikarz, którego znam, posuwał się do działań, za które można by go przymknąć. Ale czasami to jedyny sposób, żeby odkryć prawdę.

– A w tym wypadku?

– Nie znam dość szczegółów, żeby to przesądzać. Ale nie zaszkodzi zadzwonić do twojej znajomej z „Toronto Star” i przekonać się, co powie.

– Wobec tego już dzwonię, nie czekając do jutra. Nie mogę przestać myśleć o tym, czy te zwolnienia nie nastąpiły na skutek fałszywych raportów i czy nie okażą się czymś trwałym, jeśli nikt nie zainteresuje się bliżej, gdzie leży prawda.

– Dobrze, dzwoń. I jeśli wyjdzie na jaw coś podejrzanego... W każdym razie nic nie rób beze mnie.

– A więc mi pomożesz?

– Zrobię, co będę mógł.

– Dzięki.

Pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się.

– Chciałbym, żeby zdemaskowanie Mikołaja było tak łatwe jak zagłądanie do cudzych akt.

Te słowa odwróciły jej myśli od Hillstead.

– Mike? Jesteś pewien, że musisz go demaskować? Przecież Iggy’emu podobał się twój pierwszy artykuł, prawda?

– No tak, ale...

– Pozostałe też nie będą gorsze. Więc czytelnicy dostaną swoją porcję

rozrywki i...

– Claudia? Mówiliśmy już chyba o tym i konkluzja pozostaje ta sama. Zakończenie mojego cyklu bez wyjaśnienia, kim jest Święty Mikołaj to jak zakończenie kryminału bez wyjaśnienia, kto był mordercą.

Westchnęła cicho, mówiąc sobie, że będzie musiała się przyzwyczaić do poczucia winy. Bo w żaden sposób nie mogła mu teraz powiedzieć prawdy.

Przeciągnął się i oznajmił:

– Dam Iggy’emu zdjęcie Mikołaja na pierwszą stronę, choćbym miał ryzykować życie.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie mogła.

Zwłaszcza wiedząc, kto naprawdę może takie zdjęcie przyplacić życiem.

Obudził go telefon. Na zegarku była czwarta rano. Leżąca obok Claudia sięgnęła do lampki, nocnej. Mike zmrużył oczy pod wpływem światła i słuchał, jak z niepokojem podnosi słuchawkę:

– Halo?

Po chwili szepnęła, osłaniając ręką mikrofon:

– To Jack MacDougal. Chce z tobą mówić.

Sięgnął po telefon, ale go powstrzymała.

– Poczekaj chwilę, niech myśli, że muszę cię obudzić.

Usiadł w łóżku, podziwiając jej zgrabną figurę w jedwabnej koszuli. Kiedy uznała, że minęło dość czasu, podała mu słuchawkę.

– Jack? Co się stało?

– Jest tu Mikołaj.

– Co?

– Jest tu Święty Mikołaj. W sąsiednim domu. U Annie Robidoux.

– U Annie? ‘

– Co z Annie? – dopytywała się Claudia.

– Wstałem w nocy, bo mała płakała i była moja kolej, żeby się nią zająć – relacjonował MacDougal. – A potem, kiedy wszedłem do kuchni, zobaczyłem przez okno skuter śnieżny Mikołaja. Przed domem Annie.

– Jesteś tego pewien? Dalej tam stoi?

– Tak, właśnie na niego patrzę. Ma dzwoneczki z przodu i sanie z koszem z tyłu.

– Ale jego samego nie widziałeś?

– Kogo?! – wrzasnęła Claudia.

– Nie. Ale musi być teraz u niej.

– Już jadę. Dzięki, Jack.

– Święty Mikołaj jest u Annie – oznajmił Mike, podając słuchawkę Claudii i bacznie ją obserwując.

To jej najlepsza przyjaciółka, więc skoro ona zna Mikołaja, jak Claudia może go nie znać? Jednak wyraz jej twarzy pełen niedowierzania, a nawet przerażenia, przekonał go, że to dla niej zupełna niespodzianka.

– Idziemy – zarządził, wstając z łóżka i sięgając po szlafrok. – Zaraz będę gotowy. Pojedziesz ze mną, prawda? – spytał z niepokojem, kiedy się nie poruszyła. – Musisz ze mną pojechać. Nawet nie wiem, gdzie Annie mieszka.

– Tak. Oczywiście, że pojedę. Ubieraj się. Chwyła słuchawkę i pobiegła do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Puściła głośno wodę i wybrała numer Annie.

– Słuchaj, wyrzuć go natychmiast – szepnęła. – Mike już do ciebie jedzie.

– Claudia! Jak mogłaś mi nie powiedzieć! Przecież od początku wiedziałas, że...

– Dałam mu słowo, że nic nie powiem. Ale on ci już na pewno wszystko wytłumaczył, więc...

– I tak powinnaś mi była powiedzieć! To...

– Annie, słuchaj, nie możemy teraz rozmawiać. Po prostu każ mu natychmiast wyjść.

Rozłączyła się, nie dopuszczając już przyjaciółki do głosu. Pobiegła do swojej sypialni i zaczęła się ubierać, walcząc z nawałnicą myśli.

Co on sobie wyobraża? Jak mógł pojechać do Annie? Wiedziała, oczywiście, co go tam ciągnęło, ale nie mogła pojąć, czemu dał się skusić?

– Ponieważ – mruknęła ze złością – zawsze był cholernym ryzykantem.

Biedna Annie jest w stanie szoku. I tak na nią wściekła, że Claudia poczuła się podle. Ale Annie nigdy długo nie żywiła urazy, więc kiedy się uspokoi, wszystko powinno być dobrze.

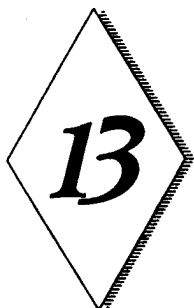
– Claudia? – zawołał Mike. – Jesteś gotowa?

– Prawie.

Nie chciała dawać mu powodów do podejrzeń, opóźniając wyjście z domu, a już i tak grzebała się dość długo. Kiedy wyszła z sypialni, Mike, ubrany w kombinezon, czekał niecierpliwie w holu.

– Może weźmiemy skuter, dobrze? Na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli gonić go przez peryferia.

Na myśl o takim pościgu poczuła ucisk w żołądku. Ale pocieszyła się, że na pewno, kiedy tam dojadą, jego już nie będzie. Ubrała się szybko, wzięła kaski i ruszyli w ciemność.



Na widok domu Annie, Claudia już z daleka odetchnęła z ulgą. Nie było przed nim śladu skutera, na podjeździe stał tylko jej samochód, a sam dom pogrążony był w ciszy i mroku.

Za to w sąsiednim domu, u Jacka MacDougala, paliło się światło, a gospodarz, słysząc, jak podjeżdżają, wyszedł na ganek.

– Pojechali! – oznajmił.

– Co takiego? – spytał Mike.

– Co znaczy ta liczba mnoga? – chciała wiedzieć Claudia, którą nagle opuściło uczucie ulgi. Jack zszedł po stopniach schodów, czekając, aż Mike zdejmie kask.

– Jak mówiłem, pojechali. Wsiadli na skuter tuż po moim telefonie i tyle ich widziałem.

– Oni? Jacy oni? – dopytywała się Claudia.

– Po telefonie do Mike’a obserwowałem z okna, co będzie dalej, a potem poszedłem obudzić Mary. Na pewno nie chciałyby przepuścić takiej okazji. I zanim wróciłem do kuchni, Mikołaj siedział już na skuterze:

– W swoim czerwonym kostiumie i tak dalej? – spytał Mike.

– Uhm... Zastanawiałem się, czyby nie wyjść i nie starać się go zatrzymać, ale nie zdążyłem, bo tymczasem Annie wybiegła z domu z walizką.

– Z walizką... – powtórzyła Claudia tępo, nie wierząc własnym uszom.

– No właśnie – potwierdził Jack. – Rzuciła ją na sanie, wsiadła na skuter za Świętym Mikołajem i pojechali.

– Niech to wszyscy diabli! – zaklął Mike. Mieliliśmy go prawie w garści i znów się wymknął. Nie poznałeś go przypadkiem, Jack?

– Nie, widziałem go z tyłu, i to po ciemku.

– Mów, jak wyglądał. Był wysoki czy niski?

– Mike, przecież on siedział na skuterze, a ja patrzyłem z okna.

– Chudy czy gruby? Młody czy stary?

– Kurczę, naprawdę mi przykro, ale trudno cokolwiek powiedzieć. Miał raczej potężną posturę, ale to mogło wynikać z jego przebrania. Albo z kombinezonu, który mógł nosić pod spodem.

– Więc mówisz, że nie mógłbyś go rozpoznać? – wtrąciła Claudia.

– W żadnym wypadku.

– Wobec tego – powiedział Mike – pozostaje nam pytanie, z kim Annie mogłaby uciec w środku nocy?

Claudia i Jack spojrzeli na siebie.

– No więc? – pogańiał ich Mike. – Na tej liście nie ma chyba aż tylu osób, żebyście się musieli zastanawiać.

– Problem w tym – odezwał się Jack – że ja, jako jej najbliższy sąsiad, nie mogę wymienić ani jednej takiej osoby.

– Jestem gotowa to pobić – powiedziała Claudia. – Ja, jako jej najbliższa przyjaciółka, też nie.

Ponieważ Claudia nazajutrz z samego rana wyjechała do Ville-Marie, Mike musiał o własnych siłach dotrzeć do „Kuriera”. Ledwo wychylił nos z domu, ogarnęło go tak przejmujące zimno, że już był gotów mimo długoletniej przerwy wypróbować swoje umiejętności na jej skuterze, lecz w porę przypomniał sobie, że w zasadzie nie wolno nim jeździć po Main Street.

Opatulony po uszy, ruszył przed siebie, wciąż roztrząsając w myślach nocny epizod i starając się bezskutecznie wyciągnąć z niego jakieś sensowne wnioski. Zarówno Claudia, jak i Jack twierdzili, że Annie z nikim się nie umawiała, a nagle spakowanie walizki i wyruszenie z kimś w noc było zupełnie do niej niepodobne. Więc kto jest, do diabła, tym Mikołajem?

Nie Iggy, szeptał mu głos wewnętrzny. Zagryzł ze złością wargi. Wykluczenie Iggy’ego zostawiało go w szczerym polu. Nawet wysoce nieprawdopodobny obiekt podejrzeń byłby lepszy niż żaden. Ale po tym, co się zdarzyło w nocy...

Sześćdziesięcioletni, brzuchaty i żonaty mężczyzna jest chyba ostatnią osobą na świecie, z którą Annie by uciekła. Chyba że dałoby się to wytłumaczyć jakimiś nadzwyczajnymi okolicznościami. Może była jego nieślubną córką albo coś takiego. A pomknęła z nim w noc, ponieważ...

Nawet nie zauważył, kiedy pochłonięty wynajdywaniem jakiś mniej lub

bardziej absurdalnych wyjaśnień dotarł do redakcji. Pete Doleman powitał go, siedząc przy komputerze, a sam Iggy stał przy drzwiach, wkładając kurtkę.

– Witam – powiedział. – Masz dla mnie te artykuły? To dobrze. Muszę wyjść na chwilę, poczekaj tu na mnie, możesz przez ten czas usiąść do komputerem Claudii i przejrzeć jej notatki na temat Świętego Mikołaja.

– No, nie wiem... Jakoś mi głupio bez pytania grzebać w cudzych plikach.

– Trudno ją spytać, skoro jej nie ma, prawda? A nuż natkniesz się na jakąś informację, która cię uderzy? – zachęcił go Iggy, wychodząc.

– Nie miałyby nic przeciwko temu – wtrącił Pete. – Zawsze używamy nawzajem swoich danych.

Mike kiwnął głową, myśląc, że dobrze się złożyło. Będzie miał szansę wypytać Pete'a o Iggy'ego, a przy okazji i o Annie. Nie to, żeby nie wierzył Claudii i Jackowi, ale trzeba przyznać, że wyjątkowo duża liczba mieszkańców Victoria Falls lubi kręcić. Usiadł przy biurku Claudii, włączył komputer i kiedy pokazały się komunikaty startowe, odwrócił się w krzesło do Pete'a.

– Mogę cię o coś spytać?

– Wal.

– Czy Annie Robidoux jest z kimś związana?

– Annie? Jesteś zainteresowany Annie?

Zachwycona mina Pete'a Dolemana przypomniała Mike'owi o jego skłonności ku Claudii.

– Nie, nie jestem nią zainteresowany. Jestem po prostu ciekawy.

Ta odpowiedź najwyraźniej nie zadowoliła jego rozmówcy, bo wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Nie, Annie jest samotna.

Mike zaczął się właśnie zastanawiać, jak zahaczyć go o Iggy'ego, kiedy sam Pete mu to ułatwił, pytając:

– Jak ci idzie z Mikołajem? Podobno wykluczyłeś Nilssonów, więc kto ci zostaje?

– Właśnie Nilssonowie podsunęli mi pewien interesujący trop.

– Czyżby? A któż to jest, według nich?

– Twój wuj.

– Niesłychane. Jaki wuj?

– Iggy.

Pete przez chwilę nie odpowiadał, ale jego mina wyraźnie świadczyła o tym, że podejrzewa Mike'a o brak piątej kleпки.

– Ci Nilssonowie mają osobliwe poczucie humoru – powiedział w końcu.

– Iggy nie dysponuje ani częścią takich pieniędzy.

– Oni twierdzą, że i owszem.

– Mają źle w głowie.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Nie wspominał ci przypadkiem, że jego żona, moja ciotka Alma, miała operację w zeszłym miesiącu?

– Tak, mówił coś o tym.

– A mówił, że operował ją specjalista w Toronto? Że musieli tam oboje polecieć?

Mike potrząsnął głową.

– Nie wdawał się w takie szczegóły.

– Wobec tego nie możesz wiedzieć, że musiał pożyczyć od mojego ojca tysiąc pięćset dolarów, żeby móc opłacić samolot i hotel. Czy to ci pasuje do faceta, który rozwozi saniami po okolicy tony prezentów?

– Aaa... skoro tak, to lepiej zajrzę do tych plików Claudii.

Pete roześmiał się, a Mike odwrócił się z powrotem do komputera. Przez chwilę siedział bez ruchu, przypominając sobie reakcję Claudii, kiedy padło imię Iggy'ego. Nie zaprzeczyła, że to mógłby być on. Raczej wyglądało na to, że dopuszcza taką możliwość. A może nie słyszała o tej pożyczce pieniędzy, albo może Pete po prostu to wymyślił? Z głębokim przekonaniem, że w tym miasteczku nikomu nie można ufać, wybrał ze spisu treści na ekranie komputera plik oznakowany: „Święty Mikołaj” i nacisnął klawisz. Spodziewał się zobaczyć notatki Claudii do artykułów, które na ten temat pisała, tymczasem przed jego oczami pojawiła się lista nazwisk.

Susan Abbot, 8 lat. Domek dla lalek, układanki ze zwierzętami, różowy kapeluszek i apaszka.

Brian Benton, 10 lat. Rower z trzema przerzutkami, wędka, „Mały chemik”.

Mike zmarszczył brwi, zastanawiając się, co ma o tym sądzić, po czym szybko przesunął ułożoną alfabetycznie listę do nazwiska „Nowiki”.

Angela Nowiki, 2 lata. Pluszowy miś, zabawki do kąpielii, klocki, meble dla lalek.

Becky Nowiki, 7 lat. Mówiąca lalka, farby i kredki, walkie-talkie.

Tommy Nowiki, 10 lat. Rękawice hokejowe, strój numer 16, samochodzik wyścigowy zdalnie sterowany.

Vance Nowiki, 6 lat. Panczeny, tobogan, „Mały stolarz”.

– Jasny gwint – zaklął Mike pod nosem. Widział wszystkie te rzeczy u May Nowiki, ale kiedy spytał Claudię, skąd Mikołaj mógł wiedzieć, co te dzieci chcą, powiedziała, że nie ma pojęcia. Ciekawe, w ilu jeszcze innych sprawach udawała, że o niczym nie wie.

Czuł, jak wzbiera w nim gniew. Okłamuje go od samego początku. Jest gorsza od swojego ojca. I cały ten spisek to zapewne jej sprawa. To ona z zemsty za odebranie jej tematu chciała zrobić z niego idiotę. Miał ochotę ją

zabić.

– Mówiłeś coś? – spytał Pete.

– Nie, chyba mruczałem sobie pod nosem. W pliku oznakowanym „Święty Mikołaj” znalazłem coś, co wygląda jak spis dziecięcych życzeń.

– Rzeczywiście, Claudia zbierała listy do Świętego Mikołaja, obiecując dzieciom, że je wyśle pod właściwy adres. Chyba nawet namówiła nauczycieli, żeby uczniowie pisali je w szkole.

– Ale dlaczego sporządziła z tego wykaz w komputerze?

– Nie wiem. Pierwsze słyszę, że to zrobiła.

Mike zawahał się. Nie wiedział, czy może ufać Pete’owi bardziej niż komukolwiek w tym mieście, łącznie z kobietą, w której beztrzesko się zakochał. Ale na czymś się musiał oprzeć.

– Pete, bądź tak dobry i zerknij na tę listę. Czy to wszystkie dzieci z okolicy, czy tylko te, których ojców zwolniono z pracy?

– Tylko te drugie – oświadczył Pete, przeczytawszy nazwiska.

– Jesteś pewien?

– Jasne. To same dzieci górników.

Mike milczał przez chwilę. W końcu uznał, że nie ma nic do stracenia, a wręcz przeciwnie – może uda mu się uzyskać od Pete’a jeszcze jakąś interesującą informację.

– Chcesz coś wiedzieć? – spytał. – Wszystkie te prezenty z listy widziałem na własne oczy u May Nowiki, która pozwoliła mi je podejrzeć.

– Nie bujasz? To znaczy, że Claudia...

– Na to wygląda.

– A więc Claudia jest pomocnicą Mikołaja.

– No właśnie. Tylko kim jest ten Mikołaj?

Pete uśmiechnął się szelmowsko – jak chłopiec szykujący się do zrobienia psikuska.

– A więc Claudia za naszymi plecami pomaga Świętemu Mikołajowi! Nigdy bym jej nie podejrzewał o coś takiego. Może uda ci się coś jeszcze znaleźć w komputerze, a ja tymczasem przeschukam jej biurko.

Przez chwilę Mike chciał się sprzeciwić takiej niedyskrecji, ale była to bardzo krótka chwila.

Claudia nie zasługuje na rycerskość. Od samego początku zachowuje się wobec niego nieuczciwie.

Pete otworzył już górną szufladę i wyrzucił zawartość na biurko.

– Co my tu mamy? Odręczne notatki do artykułów. Parę rachunków ze sklepów. Pantofle, koszula, kosmetyki, pewno wszystko prezenty choinkowe. O, tu jest coś bardziej interesującego: telefon komórkowy. Ciekawe, dla kogo go kupiła.

– Dla Annie.

– Dla Annie? Annie Robidoux?

Mike przytaknął.

– Nie, to niemożliwe. Ona już ma taki telefon.

– Co? Jesteś pewien?

– Jeździ codziennie do naszej szkoły okręgowej. Jej wóz jest już dość wysłużony, więc jakiś czas temu kupiła sobie komórkę, mówiąc, że to tańsze niż nowy samochód.

– Pokaż mi ten rachunek, dobrze? O, mamy tu jeszcze coś: numer telefonu. Myślisz, że go wpisali po uruchomieniu linii?

– Całkiem możliwe – przyznał Pete.

Mike wziął słuchawkę i starannie wybrał podany numer, myśląc, że za chwilę się przekona, czy telefon, który kupiła Claudia, jest w pudełku pod jej choinką czy też ktoś go odbierze. Ale nawet gdyby był w tym pudełku, to czemu twierdziła, że to dla Annie?

Słuchając dzwonka po drugiej stronie, wyobrażał sobie Morgana, który niespokojnie kręci się po salonie, zastanawiając się, co to za dziwny odgłos. Ale ten obraz szybko zniknął mu sprzed oczu, kiedy usłyszał męski głos:

– Halo?

– Halo? – odezwał się Mike. – Z kim mówię?

– Żle się pan połączył – odpowiedział głos.

– Czy to numer 555-1629?

Po chwili ciszy rozmówca powiedział:

– Nie, pomyłka. – I przerwał połączenie.

– Jakiś facet – wyjaśnił Mike. – Rozłączył się.

– Co się za tym kryje? – zastanawiał się głośno Pete.

– Myślę – powiedział Mike – że kryje się za tym Święty Mikołaj.

– I Claudia kupiła telefon dla niego?

– Wszystko na to wskazuje. Zrobiła mu listę prezentów i jak teraz widzę, od początku starała się sprowadzić mnie na fałszywy trop. Więc to chyba nic dziwnego, że dała mu telefon, żeby być z nim w stałym kontakcie. Masz, teraz ty spróbuj zadzwonić. Może poznasz jego głos.

Tym razem jednak nikt nie odpowiedział. Telefon dzwonił i dzwonił w głuchej ciszy.

– To był nasz jedyny ślad wiodący do Mikołaja – powiedział Pete rozczarowany. Nie znaleźli już nic więcej w biurku Claudii ani w plikach komputera. – Może udałoby się dowiedzieć, na kogo ten numer telefonu został zarejestrowany.

– Na pewno na Claudię. Nie po to z taką determinacją ukrywała tożsamość tego gościa, żeby rejestrować telefon na jego nazwisko.

– Pewno masz rację. Więc co robimy?

– Skonfrontuję ją z faktami – odparł Mike. Nie miał zamiaru pozwalać jej dłużej bawić się z sobą w kotka i myszkę. – Idę stąd prosto do niej i jak tylko przekroczy próg, przyprę ją do muru.

– A jeśli ci się nie uda? Sam mówiłeś, że jest zdeterminowana. Możesz mieć trudności.

– Żyję z wyciągania informacji od ludzi, którzy chcą je zachować w sekrecie. A jeśli nawet Claudia się zaprze, to pozostają jeszcze Raymond i Lucille.

– Oni też są w to zamieszani?

– Tak. Ale posłuchaj, nie mów na razie nic wujowi, dobrze?

Kiedy Pete spojrział na niego zdziwiony, Mike wzruszył ramionami. Był tak wściekły na Claudię, że chętnie rzuciłby ją na pożarcie lwom. Albo też Iggy’emu. Jednak już dawno temu nauczył się nie działać pochopnie i nie podejmować radykalnych kroków, póki nie pozna całej prawdy.

– Jeśli powiemy mu co i jak – wyjaśnił – Iggy dostanie szału.

– Cóż, jest rzeczywiście zły, że rozwiązanie tej zagadki tak się wlecze. Więc gdyby wiedział, że to sprawka Claudii, chyba dostałby szału.

– Poczekajmy z tym jeszcze trochę. Choć sam mam ochotę ją zamordować, wołałbym, żeby nie wyleciała na bruk tuż przed Bożym Narodzeniem.

– Nie sądzę, żeby Iggy posunął się tak daleko... Chociaż, kto wie...

– No właśnie. W każdym razie wywołałoby to poważny konflikt i mógłby stracić do niej zaufanie. Myślę, że należy najpierw to i owo wyjaśnić.

– Masz rację. Tak chyba będzie najlepiej.

– No to cześć. Pójdę już, zanim Iggy wróci.

– Niezbyt mu się to spodoba. Chciał, żebyśmy zrobili naradę.

– Jeśli z naszej narady nic nie wyniknie, też mu się to nie spodoba. Powiedz, że próbowałeś mnie zatrzymać, ale trafiłem na jakąś ważną poszlakę w notatkach Claudii i chciałem niezwłocznie ją sprawdzić.

– Dobra, niech będzie. Mike? Kiedy już odkryjesz tego Świętego Mikołaja i napiszesz resztę artykułów, pewno od razu wyjedziesz? Zabierzesz się z powrotem do Los Angeles?

No tak, zapomniał o słabości Pete’a do Claudii. Cóż, ze strony Mike’a O’Briana mógł się już nie obawiać konkurencji. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie będzie się uganiać za kobietą, przy której Mata Hari to nieporadna amatorka. Za kobietą, która kłamie ze zręcznością psychopatki. Zresztą, jeśli już o to chodzi, to Claudia chyba jest psychopatką.

– Iggy chce, żebyśmy został do soboty – powiedział, wkładając kurtkę. – I pewno wtedy wyjadę.

– Dasz mi znać, czego się dowiedziałeś?

– Jasne. Zadzwoń do ciebie.

Wyszedł na ulicę i skulony z zimna ruszył do domu Claudii, zastanawiając się, czy już ktoś kiedyś w życiu zdołał go tak nabrać. Ostatnim razem zdarzyło się to chyba wtedy, kiedy miał trzy lata i mama powiedziała mu, że wycięcie migdałków to sama przyjemność, bo je się potem lody.

Zawsze uważał, że właśnie stąd się wzięła jego podejrzliwa natura. Ale Claudia, z tym jej anielskim wyrazem twarzy i wielkimi, niewinnymi oczami...

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego tak głupio jej zaufał. I dlaczego zakochał się w niej po uszy, skoro do tej pory nigdy mu się to nie zdarzyło. No właśnie, jeszcze wczoraj zadawał sobie pytanie, czy taka miłość od pierwszego wejrzenia jest w ogóle możliwa. Bardzo sensowne pytanie. I sam fakt, że je sobie zadawał, świadczy, że to wcale nie miłość. Najwyżej pożądanie.

Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej się ku temu skłaniał. W końcu nie mógłby się zakochać w kłamliwej intrygantce, choćby nie wiem jak pociągał go jej wygląd, jej zapach i jej ciało, które tak idealnie pasowało do jego ciała.

Wyjaśniwszy to sobie, poczuł wielką ulgę. Nie kocha Claudii, więc nie ma problemu. Za parę dni, kiedy straci ją z oczu, o wszystkim zapomni. Ale wobec tego dlaczego tak go dławi w gardle i kłuje w piersiach? I dlaczego – choć wiedział, że to już wykluczone – nadal pragnie, aby odwiedziła go w Los Angeles?

Coś wisiało w powietrzu. Claudia czuła to cały czas, pisząc swój artykuł o tragedii w Ville-Marie. Iggy zamknął się w gabinecie, wściekły jak sto diabłów. Ale czemu? Warknął tylko, że Mike wyszedł, goniąc za jakimś świeżym tropem – co powinno go raczej cieszyć.

Nie miała pojęcia, co to mógł być za trop, ale postanowiła w tej chwili się tym nie martwić. Bez samochodu Mike daleko nie zajedzie, a jego przygoda z autem Jacka musiała już obiec całe miasto, więc może mieć niejakie trudności z wypożyczeniem następnego pojazdu.

Myśląc nad zgrabnym zakończeniem artykułu, zerknęła na Pete'a. On też jest jakiś dziwny. Ma minę pełną oczekiwania, jak dziecko w noc wigilijną. I ledwo weszła, spytał, czy była w domu przed przyjazdem do redakcji. Ale kiedy się zainteresowała, dlaczego o to pyta, odpowiedział, że bez powodu.

Skończyła pisać, wydrukowała reportaż i weszła do gabinetu Iggy'ego.

– Masz tu artykuł i zdjęcia spalonego domu oraz rodziny bez dachu nad głową – powiedziała. – A nawet fotografię zwęglonego pluszowego misia na śniegu, która na pewno ci się spodoba.

– Co by mi się spodobało – mruknął gniewnie – to zdjęcie Świętego

Mikołaja, które mieliście mi z O'Brianem dostarczyć.

– Pracujemy nad tym, Iggy.

– On też to powtarza.

Wycofała się na palcach i szepnęła do Pete'a:

– Już mnie tu nie ma.

Ruszyła w stronę drzwi wyjściowych i gdy wkładała kurtkę, zadzwonił telefon.

– Chwileczkę – powiedział Pete. – Zobaczę, czy jest. To do ciebie – zwrócił się do Claudii, zasłaniając ręką słuchawkę. – Ale nie poznaję głosu. Chcesz, żebym odebrał wiadomość?

Kiedy kiwnęła głową, posłuchał przez chwilę, a potem powiedział:

– Zaraz, zaraz... Właśnie weszła. – Znów zasłonił ręką słuchawkę, mówiąc: – To Beth Robertson z „Toronto Star”. Chce się z tobą jak najszybciej skontaktować.

Claudia rzuciła się do telefonu:

– Beth? Masz coś dla mnie?

– Żebyś wiedziała. Miałaś nosa z tym nieuczciwym obrotem akcjami. Jak się okazuje, ich dyrektor handlowy już od dłuższego czasu jest pod obserwacją komisji międzybankowej. Ale to jeszcze nie wszystko. Posłuchaj tylko: w biurach naczelnej dyrekcji Hillstead wybuchł pożar i płoną jak zapalka.

– W tej chwili?

– Tak. I jak wieść niesie, większość dokumentów spółki poszła z dymem.

– Podpalenie? – spytała Claudia podekscytowana.

– Na to wygląda. Ale teraz chodzi o to, że jeśli miałaś rację co do fałszowania tych próbek laboratoryjnych, a papiery w dyrekcji się spaliły, to jedyny dowód spoczywa w Victoria Falls.

– A więc muszę wydostać te raporty.

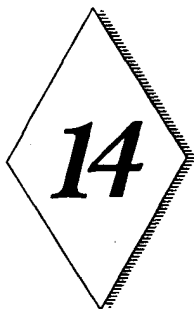
– I to szybko. W każdej chwili mogą zaginać. Jeśli już nie zaginały.

– Co się dzieje? – dopytywał się Pete, kiedy odłożyła słuchawkę. – Mówiłeś coś o podpaleniu. Znów mamy jakiś pożar?

– Nie tutaj. Pali się w dyrekcji naczelnej Hillstead w Toronto. Nie mam teraz czasu wchodzić w szczegóły. Muszę natychmiast jechać do tutejszych biur.

– Przecież nikogo tam nie ma. Budynek jest zamknięty na święta.

– Wiem, ale... Posłuchaj, kiedy Iggy się wychyli ze swojej nory, powiedz mu, żeby na wszelki wypadek zatrzymał dla mnie jutrzejszą pierwszą stronę. Może z mojej wyprawy nic nie wyniknie, a może uda mi się dać mu niesamowitą historię.



– No i co powiesz, Morgan? – spytał Mike, odwracając się od okna w salonie i patrząc na psa. – Gdzie ona się podziewa? W tym czasie mogłaby już trzy razy pojechać do Ville-Marie i z powrotem.

Pies pomachał ogonem w odpowiedzi.

– Diabli nadali – mruknął Mike.

Był już tak zdenerwowany, że zaczynał rozmawiać z psem. – Ale kto by nie był zdenerwowany? Znow zerknął pod choinkę na pudełko, w którym miał być telefon komórkowy dla Annie, a w rzeczywistości była para obszytych puchem niebieskich pantofli nocnych.

A ta historyjka o telefonie była tylko jedną z wielu w morzu kłamstw. Claudia serwowała mu na zmianę fałszywe opinie, półprawdy i całkowite zmyślenia, które powinien natychmiast przejrzeć, gdyby nie był taki zaślepiiony. I gdyby nie miała tylu pomocników.

Wyglądało to wręcz na jakiś zbiorowy spisek. Mógłby się założyć, że jest w to zamieszany nawet Wayne Greenaway. A te puste blankiety laboratoryjne to na pewno wytwór wyobraźni Claudii. Prośba o pomoc w zbadaniu sprawy miała tylko odciągnąć go od szukania Świętego Mikołaja.

I nawet domyślił się już, czemu. Ten facet chciał z jakiś przyczyn pozostać anonimowy, a Claudia mu pomagała, ponieważ go kocha. Kimkolwiek jest, ona kocha go tak bardzo, że gotowa była na wszystko, żeby go chronić. Nawet za cenę przespania się z wrogiem.

To bolało go najbardziej. Myślał, że zaczyna go darzyć uczuciem, że jest

jej bliski, a okazało się, że tylko udawała. Że kochała się z nim tylko po to, aby pomóc innemu mężczyźnie.

Przez chwilę jeszcze wyglądał na zaśmiezoną ulicę, a potem znów spojrzął na zegarek. Coraz bardziej się obawiał, że miała wypadek. Właściwie nie powinno go to już nic obchodzić, ale co mógł poradzić, że się o nią martwi? W końcu zadzwonił do redakcji.

– „Kurier” – usłyszał głos Pete’a.

– Tu Mike. Nie ma tam przypadkiem Claudii?

– Była, ale wyszła jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu.

– Piętnaście, dwadzieścia minut temu? – powtórzył z niepokojem.

Redakcja była nie dalej niż o parę minut drogi samochodem. – Więc dlaczego jej jeszcze nie ma?

– Nie jechała do domu. Miała telefon z Toronto i pospieszyła śladem jakiejś informacji.

– Do Hillstead? Skąd wiesz?

– Nieważne. Pojechała sama?

– Tak.

– Pete, wiesz, co to była za wiadomość?

– Tylko tyle, że w dyrekcji naczelnej Hillstead w Toronto wybuchł pożar. I Claudia uznała, że musi natychmiast jechać do naszych biur spółki. Mówiłem jej, że są zamknięte, ale Claudii to nie zniechęciło.

Jest tam chyba jakiś stróż czy ktoś taki?

– Nie, to małe miasteczko. Nie mamy tu problemu z włamywaczami. A zresztą, co mieliby stamtąd wynosić?

Mike zdał sobie sprawę, że serce wali mu jak młotem, mówił sobie, że nic jej nie będzie, ale nie był tego w stu procentach pewien. Może Claudia jednak nie wymyśliła sobie tych pustych formularzy? Jeśli uznała, że musi zaraz pojechać do Hillstead, to najwyraźniej się boi, że ktoś ją ubiegnie. Zawahał się, po czym spytał:

– Pete, możesz pożyczyć mi auto?

– Teraz?

– Tak.

– Niestety, to niemożliwe. Iggy kazał mi coś sprawdzić na mieście. Właśnie wychodziłem.

– Słuchaj, to dość ważne, więc może powiedz mu, że...

– Mike, wystarczy mi, że musiałem mu oznajmić o twoim niespodziewanym wyjściu z redakcji, co, możesz mi wierzyć, wcale go nie zachwyciło. Siedzi u siebie w gabinecie wściekły jak cholera i nie mam zamiaru ryzykować życiem, jeszcze raz wchodząc mu w drogę.

Klnąc pod nosem, Mike pożegnał się i odłożył słuchawkę. Nie miał cierpliwości dłużej negocjować w chwili, gdy ogarniało go coraz większe

zaniepokojenie.

Cóż z tego, że Claudia jest najbardziej podstępną istotą, jaką miał nieszczęście w życiu spotkać? Że go okłamuje i zwodzi od samego początku? I że najprawdopodobniej kocha innego mężczyznę. Jednak, gdyby coś jej się stało, nigdy by sobie tego nie darował.

Claudia okrążyła budynek administracyjny i zaparkowała od tyłu. Nie mogła się przecież włamywać od strony ulicy. Z sercem w gardle podeszła do tylnych drzwi, które naturalnie okazały się obite metalem. Wyjęła kartę kredytową z portfela i starała się ją wsunąć między framugę a zamek, ale choć na filmach działało to bardzo efektownie, w jej przypadku niewiele dało. Podobnie bezskuteczna okazała się spinka do włosów. Pozostawało jej tylko stłuc szybę.

Jedno z okien w połowie budynku było osadzone niżej niż reszta. Szczęśliwie, należało do pomieszczeń kuchennych, a nie magazynowych, więc istniała nadzieja, że nie będzie zaryglowane od środka. A może nawet wcale nie będzie zamknięte – ludzie tutaj rzadko zamykali okna nawet w domu, zostawiając małą szparkę na świeże powietrze.

I rzeczywiście, kiedy pchnęła szybę, okno się uchyliło. Mówiąc sobie, że to dobry znak, Claudia szybko wśliznęła się do środka, przymknęła z powrotem okno i ruszyła w kierunku gabinetu Wayne’a Greenawaya.

Na korytarzu stała kopiarka, co nasunęło jej myśl, że może mądrzej będzie skopiować znalezione dowody niż brać je z sobą. Chet zawsze powtarzał, że dla policji najlepsza jest sytuacja, kiedy osoba podejrzana do ostatniej chwili nie wie, że ma się ją na oku. Modląc się, żeby drzwi gabinetu Wayne’a nie były zamknięte na klucz, nacisnęła klamkę, która znów szczęśliwie ustąpiła.

Ale radość Claudii była krótkotrwała. Zarówno szafka z segregatorami, jak i biurko okazały się zamknięte. Nie panikuj, powiedziała sobie. Prawie zawsze są gdzieś zapasowe klucze. Ale gdzie? Przeszukała cały gabinet – bez skutku.

I wtedy wzrok jej padł na biurko sekretarki w sąsiednim pomieszczeniu. Z sercem na ramieniu otworzyła szufladę i omal nie krzyknęła ze szczęścia. Jej oczom ukazało się kółko z trzema kluczami i plakietką „G”.

Czym prędzej dobrała się do szafki z – segregatorami. Pośród rozlicznych dokumentów znalazła również analizy laboratoryjne, ale ostatnie pochodziły sprzed roku. Musiała mieć te nowsze, te, na podstawie których dyrekcja naczelna podjęła decyzje parę miesięcy temu. Czyżby już zdążono je zniszczyć?

Podeszła teraz do biurka i kiedy otworzyła górną szufladę, drgnęła ze

strachu. Wayne trzymał w niej pistolet, małe srebrne cacko. Przyjrzała mu się uważnie. Mnóstwo ludzi w okolicy miało broń myśliwską, choćby jej ojciec. Ale wobec ścisłych przepisów obowiązujących w Kanadzie, niewiele osób posiadało broń krótką. Czyżby przekroczenie granicy prawa kazało Wayne'owi aż tak mieć się na baczności?

Sięgnęła po dolną szufladę – i znalazła to, czego szukała. Czując obezwładniającą ulgę, wyjęła stosik analiz. Teraz je tylko skopiuje i może stąd uciekać. Naraz usłyszała dochodzący od drzwi głos:

– Można wiedzieć, co ty tu, do cholery ciężkiej, robisz?

Dotarcie na skuterze do biurowca zabrało Mike'owi więcej czasu, niż myślał. Poblądził trochę po drodze i odetchnął z ulgą dopiero, kiedy znalazł się przed budynkiem. Zwłaszcza że zobaczył czerwony samochód Greenaway'a, ale nie dojrzał nigdzie jeepa Claudii. Nawet jeśli tu była, musiała już odjechać. Chciał zrobić to samo, lecz w ostatniej chwili coś go tknęło. Podjechał jeszcze za róg domu i tam, na tyłach, stał jej samochód.

Mike zaparkował obok i zdjął kask. Podszedł do tylnych drzwi i szarpnął je z całej siły, ale stawily opór. Zaczął biec wzdłuż budynku, szukając okna, przez które musiała wejść Claudia, lecz nigdzie nie widział śladu włamania. W końcu dotarł do drzwi frontowych i wszedł po schodach z cichą nadzieją, że może Greenaway nie zamknął ich za sobą na klucz.

Podziękował Bogu, kiedy jego przewidywania okazały się trafne i cicho wśliznął się do środka. Skręcił w korytarz na prawo, gdzie powinien być gabinet Greenaway'a i po paru krokach usłyszał szmer głosów. Ale nie mógł rozróżnić słów. Na palcach podszedł bliżej i zajrzał przez drzwi. A to, co zobaczył, zatrzymało go w pół kroku.

Wiedział już, że Claudia jest kobietą pełną niespodzianek, lecz tym razem przebiła samą siebie. Stała za biurkiem, mierząc z pistoletu w Greenaway'a.

– Bądź rozsądna – mówił Wayne. – Jeśli się to wyda, oboje będziemy w tarapatkach.

– Nie sądzę – odpowiedziała.

– Nie przyszło ci do głowy, że mogę cię oskarżyć o włamanie? I bezprawne naruszenie tajemnicy dokumentów prywatnych firmy? Skończysz w więzieniu.

– Możliwe, ale posiedzę nie tak długo jak ty. Czemu to robiłeś, Wayne? Tylko dla pieniędzy?

Wzruszył ramionami.

– Nie tylko. Dostałem propozycję nie do odrzucenia. Albo się zgodzę na współpracę, albo wylecę na bruk i moje stanowisko obejmie ktoś bardziej spolegliwy.

– To może być poważna okoliczność łągodząca. Myślę, że najlepiej zrobimy, od razu dzwoniąc na policję. Jeśli powiesz im, że zostałeś do tego zmuszony i dobrowolnie oddasz te papiery, dostaniesz o wiele łągodniejszy wyrok.

– Wiesz... chyba masz rację. Może rzeczywiście należałoby tak zrobić.

Coś w jego głosie wzbudziło czujność Mike'a, który nagle poczuł wzmożony niepokój, ale zanim zdążył uczynić najmniejszy choćby ruch, Wayne rzucił się przez biurko na Claudię i w ułamku sekundy wyrwał jej broń.

– No dobrze – warknął. – Może przedyskutujemy sprawę od nowa.

Mike nie czekał dłużej. Jednym skokiem znalazł się przy Greenawayu i z całej siły rąbnął jego ręką o stół. Ten krzyknął głośno, wypuszczając pistolet. Mike wygiął mu ramię do tyłu.

– Claudia przysłała tu po materiał do artykułu – oznajmił. – Jeśli zechcesz podać jej parę pikantnych szczegółów, obiecuję nie złamać ci ręki.

Posterunkowy Harry Charlton spojrział pytająco na swojego kolegę, którego Mike nazwał w duchu Cichym Samem. Kiedy ten kiwnął – jak zwykle w milczeniu – głową, Charlton zamknął notes.

– No dobra – rzekł. – To chyba wszystko. Mamy już wasze zeznania. Swoją drogą, to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że postanowiłaś przyjechać tu i porozmawiać z Greenawayem.

– No właśnie – przytaknęła Claudia. – Jak mówiłam, nie byłam pewna, czy tu będzie, ale po tym telefonie z Toronto postanowiłam spróbować.

– Świetnie się złożyło – powtórzył Charlton. – Inaczej te papiery pewno by zginęły. A Greenaway mógłby już być w drodze do Ameryki Południowej.

Świetnie się też złożyło, pomyślał Mike, że Harry Charlton był dawnym kolegą szkolnym Claudii – inaczej mógłby tak łatwo nie przyjąć jej wersji wydarzeń. Zwłaszcza że uknuli ją naprędce w ciągu dwóch minut, trzymając Greenawayą na muszce i czekając na przyjazd policji.

Ale posterunkowy Charlton zdawał się bez zastrzeżeń wierzyć, że dwójka reporterów przybyła tu już po przyjeździe Greenawayą i przyłapała go z plikiem analiz w ręce. Niemniej nagle, ku ich zaskoczeniu, spytał:

– Jeszcze tylko jedna rzecz. Dlaczego zaparkowaliście z tyłu budynku?

Mike zaklął pod nosem. Zapomniał o tym drobnym szczególe. Powinni byli przestawić swoje pojazdy na front, zanim zadzwonili po policję.

– Umówiłam się tu z Mikiem – wtrąciła szybko Claudia – ale kiedy przyjechałam, jego jeszcze nie było. Przed budynkiem stał tylko samochód Wayne'a. Wiesz, jak ludzie lubią plotkować... Więc, chociaż może to głupie, pomyślałam, że gdyby ktoś przejeżdżał obok i zobaczył tu nasze samochody,

kiedy wszyscy wiedzą, że biura są nieczynne w okresie świąt...

Harry wyszczerzył zęby.

– Rozumiem. To dobre wyjaśnienie. Ale dlaczego – spojrzał na Mike’a – on też zostawił skuter z tyłu?

– Bo tam stał jeep Claudii – wyjaśnił Mike gładko. – Kiedy przyjechałem, myślałem, że jej jeszcze nie ma, więc postanowiłem obejrzeć teren. No i naturalnie, widząc z tyłu jeepa Claudii, stanąłem obok. Mieliliśmy razem wracać, więc to chyba logiczne.

– No tak... – powiedział Harry, kiwając z namysłem głową. – Wobec tego już będzie chyba wszystko.

– Wykonam tylko jeden szybki telefon, dobrze? – spytała Claudia. – Muszę uprzedzić szefa, że mam dla niego bombę na pierwszą stronę, i niech nie daje tam nic innego! Zrzucę słynnego Mike’a O’Briana na stronę drugą – zażartowała i uśmiechnęła się do niego tak słodko, że zakłuło go w piersiach.

Nie wiedziała jeszcze, że jest na nią wściekły. Że odkrył jej kłamstwa i kręactwa. Nie miał okazji rzucić jej tego w twarz, bo ani przez chwilę nie byli sami, ale moment prawdy był blisko. Kiedy tylko stąd wyjdą, powie jej, co o tym myśli i zada owo najważniejsze pytanie: kim jest ten facet, którego tak kocha i dlaczego tak jej zależy, żeby utrzymać jego tożsamość w tajemnicy?

Obserwując kątem oka, jak zżywieniem rozmawia z Iggym, żałował, że nie potrafi jej nienawidzić. Mimo wszystko, ilekroć na nią patrzył, robiło mu się ciepło koło serca. I choćby nie wiem jak próbował sobie wmówić, że jej nie kocha, wiedział, że to nieprawda.

Ale ona jego nie kocha, więc w sobotę wyjedzie z Victoria Falls i spróbuje o niej zapomnieć.

Kiedy Harry Charlton i Cichy Sam odjechali, Claudia i Mike ruszyli w stronę swoich pojazdów. Gdy tylko znaleźli się za rogiem budynku, Claudia stanęła i uśmiechnęła się zachęcająco:

– Nie przytulisz mnie?

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że stało się coś złego, ale on po chwili wahania objął ją mocno i przycisnął do piersi. Wtuliła się w jego zimny kombinezon, tak pełna miłości, że nie wiedziała, jak to okazać.

– Na pamiątkę starych czasów – mruknął w jej włosy.

– Co?

Spojrzała na niego i już wiedziała, że naprawdę stało się coś okropnego. Opuścił ramiona i cofnął się o krok.

– Mike? O co chodzi?

– Chodzi o to, moja droga, że jestem o wiele bliżej prawdy niż byłem

zeszłej nocy. Dziś rano rozmawiałem z Mikołajem przez telefon. Zadzwoniłem pod numer 555-1629 i przywitałem się z nim. Wiem już, że kupiłaś ten telefon dla niego. I wiem, że namówiłaś całe miasto, żeby pomogli ci robić ze mnie idiotę od momentu, kiedy tu przyjechałem.

– O mój Boże – szepnęła. Żołądek podskoczył jej do gardła, serce zaczęło bić jak oszalałe i poczuła lodowaty chłód w całym ciele. Łzy cisnęły się jej pod powieki na widok jego gniewu. – Mike, nikt nie chciał robić z ciebie idioty. A już na pewno nie ja.

– Czyżby? Więc jak to nazwiesz?

Potrząsnęła głową, nie chcąc patrzeć mu w oczy. Zawsze były takie pełne ciepła, a teraz rzucały błyski zimne jak stal. Umierała ze strachu, że jej kłamstwa zabiły jego miłość.

– Chciałam tylko, żebyś nie dotarł zbyt szybko do Świętego Mikołaja – szepnęła. – Ale... Dlaczego przyjechałeś tu po mnie, skoro już wiedziałeś?

– Byłem ci winny przysługę, nie pamiętasz?

– Nie – potrząsnęła głową, polykając łzy.

– Od wczoraj. Powiedziałaś, że zrobisz to dla mnie i przyniesiesz ze dworu choinkę, a ja ci będę winny przysługę. Nie lubię być nikomu nic winny.

– Mike, to wcale nie jest śmieszne.

– Nie jestem w nastroju do zabawy. Spłaciłem ci mój dług.

– Dług? Ja przyniosłam drzewko ze dworu, a ty prawdopodobnie uratowałeś mi życie.

– Wobec tego może odpłacisz mi się informacją, kim jest Święty Mikołaj.

Serce zaczęło jej bić jeszcze mocniej, omal nie wyskakując z piersi. Tak bardzo chciała powiedzieć mu całą prawdę, ale to by znaczyło, że musi na nim wymóc dochowanie sekretu. A przecież nie dalej jak wczoraj powiedział, że choćby go to miało wiele kosztować, dostarczy Iggy'emu zdjęcie Mikołaja na pierwszą stronę.

Kochała Mike'a. Kochała go całym sercem i wobec tego musiała mu zaufać.

– Powiesz mi czy nie? – nalegał.

– Przede wszystkim chciałabym, żebyś wiedział, że na ogół nie kłamię. I nie oszukuję. Ale to było bardzo ważne, żebyś się nie dowiedział, kim jest Mikołaj.

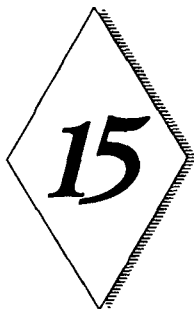
– Dlaczego?

– Bo gdybyś obwieścił to światu, jego życie byłoby w niebezpieczeństwie. Już żyje w zagrożeniu, ale gdyby pewni ludzie poznali jego miejsce pobytu, to...

– Kim on jest? Przestępcą?

– Nie. – Wzięła głęboki oddech i pomyślała, że raz kozie śmierć. –

Nazywa się Dennis. I jest moim bratem.



Mike patrzył na Claudię bez słowa. W pierwszej chwili poczuł wielką ulgę. A więc facet, którego tak kocha, to jej brat. Co za cudowna wiadomość... Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież Claudia nie ma rodzeństwa, a więc znów go okłamuje!

– Wiem, że uważałeś mnie za jedynaczkę – powiedziała, uprzedzając jego zarzuty.

– Uważałem? Sama mi to powiedziałaś!

– Nie całkiem. Nie sprostowałam tylko twojego założenia, że jestem jedynaczką, bo bałam się, że jeśli wspomnę o Dennisie, to dodasz dwa do dwóch.

– Czy nie obawiałaś się, że ktoś inny o nim napomknie?

– Ale nikt nie napomknął, prawda? A to dlatego, że wyjechał stąd dawno temu, wkrótce po śmierci naszej matki. Bardzo to przeżył i długo nie mógł dojść do siebie. Aż pewnego dnia po prostu spakował plecak i wyjechał w siną dal.

– I nigdy nie wrócił?

Pokręciła głową.

– Przez parę lat podróżował, mając się różnych zajęć, a potem osiadł na Florydzie. Tato i ja odwiedzaliśmy go tam, ale on nie chciał tu przyjechać. Dlatego uważaliśmy, że pewno nikt już o nim nie pamięta. Więc schowaliśmy tylko fotografie i...

– My?

– Tato, Lucille i ja.

– Mówisz o tych fotografiach, które są u ciebie w piwnicy? Na których jesteś ty, Annie i jakiś chłopak? To właśnie twój brat?

– Widziałeś je?

– Tak. Pudełko było otwarte i...

– Było otwarte?

– Uhm, ale mniejsza z tym. Kto jeszcze należał do spisku? Oprócz ciebie, Annie, Nilssonów, Earla i Bóg wie kogo jeszcze.

– Nikt. To znaczy nikt z nich. Tylko tato, Lucille i ja. To prawda, że tato prosił Earla i Nilssonów o pomoc, ale oni nie wiedzieli o obecności Dennisa. Myśleli, że chodzi o zemstę na Iggym za odebranie mi tematu. A co do Annie, to pamiętasz, jak ci mówiłam, że była w kimś zakochana jeszcze w szkole?

– Chodziło o Dennisa? – domyślił się Mike. – To właśnie on był tym facetem, który wyjechał i nigdy nie wrócił? Ale właściwie dlaczego?

– Było wiele powodów. Niezbyt miał tu co robić po szkole. A na Florydzie dostał pracę, którą bardzo polubił. Wypływał jako sternik na morze z amatorami wędkowania. Mówił, że to jak wieczne wakacje. No i tak czas leciał, on był tam, a Annie na uniwersytecie, aż w końcu wbił sobie do głowy, że nie jest dla niej dość dobry. Ubzdurał sobie, że gdyby się ponownie spotkali, byłaby nim rozczarowana.

– Ale wciąż ją kochał?

– Tak sądzę. Główną rolę odegrała tu męska duma. Kiedy próbowałam z nim rozmawiać, pytał, co nauczycielka francuskiego mogłaby widzieć w facecie, który cały dzień objaja się łódką po morzu i ledwo wiąże koniec z końcem. No i im dłużej to trwało... – Wzruszyła ramionami. – Cóż, sama nie zawsze go rozumiałam. Aż nagle i niespodziewanie zjawił się tu, mówiąc, że ma kłopoty i potrzebuje pomocy. Kazał nam obiecać, że nic nie powiemy Annie. Chyba bał się z nią spotkać po tylu latach.

– Więc jak wytłumaczyć zeszłą noc?

Claudia potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nie zdążyłam z nimi porozmawiać.

– No dobrze, powiedz mi wobec tego, czemu się ukrywa. Albo nie, powiedz mi najpierw, czy tym razem mówisz prawdę. Naopowiadałaś już tyle kłamstw...

– Bardzo cię przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi przykro, Mike. Nie chciałam cię okłamywać, zwłaszcza kiedy cię bliżej poznałam. Ale wciąż podkreślałeś, że musisz zdekonspirować Świętego Mikołaja, że nie możesz pozwolić, aby cię pokonał, i tak dalej... Ale teraz mówię ci całą prawdę.

– Dlaczego?

– Bo nie mogłabym cię dłużej okłamywać. Bo wierzę, że nie naraziłbyś

życia Dennisa na niebezpieczeństwo.

Czekał z nadzieją, że Claudia doda: „I bo cię kocham”, a kiedy to nie nastąpiło, powiedział:

– Masz rację. Nie mógłbym zrobić krzywdy twojemu bratu.

– Teraz już wiem, ale wcześniej nie byłam tego pewna. Bałam się, że twój prestiż mógłby okazać się ważniejszy niż cokolwiek innego.

– Niezbyt dobrze mnie oceniałś, co? Nie przyszło ci do głowy, że mam w sobie jakieś ludzkie cechy?

– Skąd mogłam wiedzieć, jaki jesteś? Słyszałam tylko, że masz opinię człowieka, który nie popuści, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu.

– No tak... – rzekł wolno. – Rozumiem, że trudno ci było mi zaufać.

– A więc nie nienawidzisz mnie?

– Nie, nie nienawidzę cię. Prawdę mówiąc...

– Tak? – szepnęła.

Zawahał się, ale któreś z nich musiało to pierwsze powiedzieć.

– Prawdę mówiąc kocham cię, Claudio Paquette.

Uśmiechnęła się jednym z tych uśmiechów, które rozświetlały całą jej twarz, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować tak namiętnie, jak gdyby nigdy nie miała skończyć – co było skądinąd bardzo kuszącą perspektywą.

W końcu oderwała się od niego, uśmiechnęła jeszcze raz i powiedziała:

– Cieszę się, że mnie kochasz, Mike. Bardzo się cieszę. Bo ja też cię kocham.

– Co za wspaniały zbieg okoliczności – mruknął, przyciągając ją znów do siebie.

– Wiesz, co się stanie, jeśli nie przestaniemy?

– Naturalnie. Nie jestem tylko pewien, czy powinniśmy sobie na to pozwolić w czterdziestostopniowym mrozie.

Roześmiała się – a jej śmiech zabrzmiał jak tysiące srebrnych dzwoneczków.

– Głuptasie – powiedziała. – Myślałam o tym, że nasze usta do siebie przymarzną.

– Znam gorsze nieszczęścia.

– Ale nie będę wtedy mogła opowiedzieć ci do końca całej historii.

– No dobrze, niech ci będzie. Przyznaję, że chciałbym usłyszeć całą resztę.

– Wobec tego wskakuj na skuter i jedź za mną.

– Dokąd? Do redakcji? Chcesz pisać teraz artykuł?

– Nie, to może poczekać. Chcę cię zabrać do mojego brata. To jego historia. Niech ci ją sam opowie. Poza tym umieram z ciekawości, co zaszło między nim a Annie.

Celem ich wyprawy okazała się drewniana chata nad zamrzniętym jeziorem. Stała na pustkowiu, ale widać było, że ktoś w niej mieszka. Droga była przetarta pługiem, z komina leniwie płynął dym, a w oknie mignęła im jakaś twarz. Na podjeździe stał pikap, skuter śnieżny i pług.

– Tu mieszka Dennis? – spytał Mike. Claudia kiwnęła głową.

– To nasz domek letni, o tej porze roku zwykle nie używany. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś tu w zimie zabłądził, więc pomyśleliśmy, że to najbezpieczniejsze miejsce.

– A ten pikap? Mam rozumieć, że to właśnie ów prezent gwiazdkowy dla Lucille? A skuter obok to właśnie jej skuter?

– Brawo! – uśmiechnęła się Claudia. – Jesteś nadzwyczaj bystry. Natomiast pług śnieżny jest pożyczony od Earla.

Drzwi chaty uchyliły się i wyjrzała przez nie wyraźnie zdenerwowana i spięta Annie.

– Claudia? Mike? Co wy tu robicie?

– Przyjechaliśmy porozmawiać z Dennisem – wyjaśniła Claudia, biorąc Mike'a za rękę i ruszając do wejścia.

– Z Dennisem? Z jakim Dennisem?

– Wszystko w porządku, Annie. Mike już wie. I nie piśnie ani słówka.

– Jesteś pewna? Wiesz, co robisz?

– Tak. Więc czy mogłabyś nas wpuścić, zanim ze środka uleci reszta ciepła?

Na takie dictum drzwi uchyliły się szerzej. Stojący za nimi mężczyzna, którego Mike znał z fotografii, ucisnął szybko siostrę i wyciągnął do niego rękę.

– Skoro Claudia mówi, że mogę ci ufać, to mi wystarczy.

Miał mocny uścisk dłoni i szeroki uśmiech, co mu od razu zjednało sympatię Mike'a.

– Przywiozłam go, żebyś sam opowiedział mu całą historię – wyjaśniła Claudia bratu.

– To ty mu jeszcze nie powiedziałaś?

– Nie, byliśmy zajęci tropieniem oszustwa: Miałeś rację, że Wayne Greenaway coś knuje.

– No widzisz? Siadajcie. – Zaprosił ich na kanapę przy kominku. – Chciałbym usłyszeć szczegóły.

– Czy sądzisz, że Wayne naprawdę był gotów cię zabić? – spytała Annie, kiedy Claudia skończyła swoją historię.

– Nie wiem. Ale nigdy w życiu się tak nie bałam, jak przez te kilka sekund, zanim Mike wkroczył do akcji. Teraz twoja kolej – zwróciła się do brata. – Powiedz mu, dlaczego musisz się ukrywać.

– Nie miałbym też nic przeciwko temu, żeby się dowiedzieć, czemu bawisz się w Świętego Mikołaja – dodał Mike.

– To najłatwiejsze do wyjaśnienia, więc może od tego zacznę – oznajmił Dennis.

– Zaparzę kawę – zaofiarowała się Annie. Już to wszystko słyszałam – dodała, znikając w kuchni.

– Jak wiesz, musiałem tu siedzieć jak mysz pod miotłą, cały dzień byłem sam i zaczynałem się strasznie nudzić. Więc kiedy usłyszałem o tych zwolnieniach z pracy tuż przed świętami, pomyśl z Mikołajem wydał mi się dość podniecający.

– Dennis zawsze lubił podniecające pomysły – dorzuciła Annie, wychodząc z kuchni i dosiadając się na kanapę.

– Przysięgam ci, skarbie, że się zmieniłem powiedział, otaczając ją ramieniem. – Nie jestem już taki lekkomyślny jak kiedyś.

– Czyżby? To dlaczego nie przestałeś dostarczać prezentów po przyjeździe Mike’a? Czy nie dlatego przypadkiem, że nadal lubisz grać z ogniem?

– Może troszeczkę. Ale z drugiej strony, jak mogłem przerwać w połowie i jedne pokrzywdzone rodziny obdarować, a drugie zostawić bez niczego?

– Jesteś równie niemożliwy jak zawsze – oświadczyła Annie z uśmiechem.

– Dennis jeszcze w szkole był znany z tego, że ciągle wpadał w tarapaty – wyjaśniła Claudia.

– Dajcie spokój. Nie będziemy teraz roztrząsać mojej burzliwej młodości, zwłaszcza że jeszcze nie skończyłem opowiadać Mike’owi historii z Mikołajem. No więc, jak mówiłem, wreszcie miałem się czym zająć. Claudia dostarczyła mi listę wymarzonych przez dzieci prezentów i zrobiłem kilka wypraw po zakupy.

– Ale jeśli miałeś się nikomu nie pokazywać...?

– Pojechałem do sklepów w Timmins i North Bay, gdzie nawet dziesięć lat temu prawie nikogo nie znałem. I nosiłem kominiarkę. Jeden ze sprzedawców nawet wziął mnie za rabusia, ale poza tym wszystko poszło dobrze.

– Ktoś cię wziął za rabusia? – wykrzyknęła Claudia. – Nie mówiłeś mi o tym. A gdyby wezwali policję i...

– Ale nie wezwali – odparł Dennis z uśmiechem. – Nie przerywaj mi co chwilę, bo nigdy nie wyjaśnię Mike’owi, dlaczego się ukrywam.

– I nie zapomnij wyjaśnić, jak to się stało, że Annie tu wylądowała

wczoraj w nocy.

Po chwili znaczącej ciszy oboje wybuchnęli śmiechem.

– Ciekawi byliśmy, jak długo się powstrzymasz przed zadaniem tego pytania – powiedziała Annie.

– Nie tak długo, jak bym chciała, ale skoro już o tym mowa... – Claudia zerknęła na Mike'a. – Możesz poczekać jeszcze chwilę na resztę tamtej historii?

– Oczywiście. To nie ja muszę jeszcze dzisiaj napisać artykuł na pierwszą stronę „Kuriera”.

– No więc? – zwróciła się do Annie.

– Otóż po trzeciej w nocy usłyszałam jakiś hałas przed domem. Kiedy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam na schodach Świętego Mikołaja.

– Rozwiozłem już wszystkie prezenty i zorientowałem się, że został mi jeden kosz ze smakołykami – wtrącił Dennis. – Więc postanowiłem podrzucić go Annie.

– To jedyny powód, dla którego tam pojechałeś? – spytała Claudia sceptycznie.

– Powiedz jej całą prawdę – zarządziła Annie. – Powiedz jej o zdjęciu.

– O jakim zdjęciu? – zawołała Claudia. Dennis był wyraźnie zakłopotany.

– No więc... Nie wiem właściwie, co mnie naszło, ale kiedy tu wróciłem...

– Chciał mnie znowu zobaczyć – wyjaśniła Annie. – I jak zupełny idiota postanowił zadowolić się na początek moim zdjęciem. Po to właśnie poszedł do twojej piwnicy. Wiedział, że masz tam nasze fotografie i...

– Rąbnął mnie w głowę – przerwał Mike. – A więc to była twoja sprawka, Dennis!

– No, tak. Bardzo przepraszam, Mike. Gdyby był jakiś inny sposób...

– On ci to przebacza – powiedziała szybko Claudia.

– Uhm. Jasne – mruknął Mike niechętnie. – Zapomnijmy o tym.

– Dzięki, Mike. W każdym razie, wracając do wydarzeń zeszłej nocy, postanowiłem zostawić ten kosz Annie.

– Nie mógł dłużej beze mnie wytrzymać – wtrąciła Annie.

– Zapewne – zgodził się. – No i kiedy wszedłem na ganek, ona nagle otworzyła drzwi.

– Najśmieszniejsze jest, że zrobiłam to dla Mike'a. Chciałam wyświadczyć mu przysługę i pomyślałam, że działając z zaskoczenia, zerwę Mikołajowi brodę i dowiemy się wreszcie, kim on jest.

– Ale kiedy to zrobiła, najbardziej zaskoczona była ona sama – zakończył Dennis.

– No i co dalej? – spytała Claudia.

Sposób, w jaki Dennis i Annie na siebie spojrzeli, nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

Annie poszła do kuchni po kawę, a Dennis wreszcie zaczął opowiadać, dlaczego musiał uciekać z Florydy. Otóż parę tygodni temu jacyś dwaj podejrzani osobnicy wynajęli jego łódź na poranne łowienie ryb. Cały czas nie zdejmowali z siebie marynarek, najwyraźniej mieli przy sobie broń. Ale wszystko poszło dobrze. Złowili kilka dużych sztuk i byli w świetnych humorach. Po powrocie do portu Dennis zaofiarował się pomóc im zanieść sprzęt na parking.

– I to był twój błąd – powiedziała Annie. Pokiwał głową.

– Rzecz jasna. Bo kiedy doszliśmy do ich samochodu, czekało już tam na nich dwóch innych typków. Powiedzieli, że chcą porozmawiać, ale moi klienci nie tracili czasu na rozmowę. Wyjęli pukawki i podziurawili tamtych jak sito. A potem jeden z nich powiedział do kumpla, że nie potrzeba im świadków, i patrząc na mnie zaczęli ładować broń z powrotem. Jeszcze nigdy w życiu tak nie uciekałem.

– Ale i tak za nim strzelali – dodała Claudia. – Miał szczęście, że go nie zabili.

– Jednak wiedziałem, że bez trudu mnie wytropią, więc pojechałem prosto do domu i spakowałem rzeczy. Powinienem właściwie iść na policję, ale jakoś nie miałem na to ochoty, bo wiedziałem, że te dwa typy będą siedzieć mi na karku. Pojechałem więc prosto na lotnisko i teraz dopiero następuje najbardziej nieprawdopodobna część tej historii. Czekać na samolot, kupić gazetę, żeby się za nią schować. A w środku były podane szczęśliwe numery wylosowane na loterii. Sprawdziłem z moim kuponem i co powiesz? Okazało się, że na mój numer padła główna wygrana.

– Prawie trzydzieści milionów dolarów – dodała Annie.

– Trzydzieści milionów? – powtórzył Mike z niedowierzaniem..

– Uznałem, że co jak co, ale taka suma jest warta ryzyka, poszedłem więc do biura loterii i odebrałem pieniądze. I jeszcze zanim wieczorne wiadomości pokazały w telewizji twarz najnowszego szczęściarza, byłem już dziesięć tysięcy metrów nad ziemią.

– Rozumiesz mnie teraz, Mike? – spytała Claudia, biorąc go za rękę. – Wiesz już, dlaczego tak się bałam powiedzieć ci prawdę? Gdyby twoje artykuły skończyły się ujawnieniem tożsamości Dennisa, gdyby jego nazwisko, nie mówiąc już o zdjęciu, ukazało się we wszystkich gazetach lokalnych Wentwortha, zwłaszcza tych na Florydzie, ci gangsterzy wiedzieliby, gdzie go szukać.

– Ale wtedy natychmiast bym stąd wyjechał – zauważył Dennis.

– Tak czy owak, mieliby świeży ślad – zaznaczyła Claudia. – Więc rozumiesz mnie, Mike?

Skinął głową, zastanawiając się, czy to oni przypadkiem czegoś nie rozumieją. Czy naprawdę uważają, że Dennis jest tu całkiem bezpieczny, dopóki jego zdjęcie nie ukaże się w gazecie?

– Czy kupiłeś bilet lotniczy na swoje nazwisko? – spytał Dennisa.

– Musiałem, żeby móc się wylegitymować na granicy z Kanadą. Ale zmyliłem tropy. Poleciałem z Florydy do Montrealu, a potem jako Fred Brown do North Bay. Stamtąd zadzwoniłem do ojca, który po mnie przyjechał. Więc nawet gdyby ci dwaj mnie tropili, skąd mogliby wiedzieć, że opuściłem Montreal?

Mike zawahał się, nie wiedząc, co ma o tym wszystkim sądzić. Claudia i Annie i tak już miały przerażone miny.

– Myślisz, że mogą go tu wyśledzić?

– Cóż, nie tak trudno sprawdzić, skąd ktoś pochodzi. – W rzeczywistości była to bułka z masłem. – A miasto rodzinne samo nasuwa się na myśl, jeśli się kogoś szuka.

– Ale minęło już tyle czasu – powiedział Dennis. – Gdyby mieli mnie tu szukać, dawno by tu byli.

– Może tak, a może nie. Na twoim miejscu zabierałbym się stąd. Mam znajomego, który pomoże ci się ukryć. I kiedy już będziesz bezpieczny, powinieneś porozmawiać z policją. Przez najlepszego adwokata, jakiego ci się uda znaleźć.

– Dennis? Co o tym myślisz? – spytała Annie.

– To dobry pomysł – dodała Claudia.

Pokiwał wolno głową, a potem podał telefon Mike'owi.

– Może rzeczywiście porozmawiaj z tym swoim znajomym. Annie, pojedziesz ze mną? Teraz, kiedy jestem już taki bogaty?

– Nigdy nie zależało mi na pieniądzach – szepnęła.

– Ale chyba nie pozwolił, żeby pieniądze nas rozdzieliły?

Uśmiechnęła się szelmowsko:

– A co z dziećmi, które oczekują, że mademoiselle Robidoux wróci po świętach do pracy i podejmie znojny trud uczenia ich francuskiego?

– Może ofiaruję szkole pewną sumę? – odparł z uśmiechem. – Wystarczającą, żeby dyrektor mógł sprowadzić tuzin nauczycielek prosto z Paryża?

Zapadał zmierzch, kiedy Claudia podjechała pod dom, gdzie czekał już Mike, nonszalancko opierając się o skuter. Towarzyszył jej w powrotnej drodze tylko kilka kilometrów, a potem puścił się na przelaj.

– Jeździsz jak wariat – zgaśniła go, gdy wsiadał do jepea.

Pocałował ją gorąco i powiedział:

– Dałaś na siebie tak długo czekać, że wypuściłem na dwór Morgana, wypilem kawę, a potem zdążyłem odkurzyć cały dom.

– Tylko mi nie mów, że wysprzątałaś dom.

– Nie, ale miałem na to czas.

– Bardzo śmieszne – powiedziała, ruszając do miasta.

– Nie jedziesz do redakcji? – spytał, widząc, że skręca w inną stronę. – Już prawie wieczór. Iggy musi się zamartwiać, co się z tobą dzieje.

– No to niech pozamartwia się jeszcze trochę. W gruncie rzeczy nie musi oddawać gazety do druku przed północą, a ja chcę jak najprędzej przekazać ojcu i Lucille najnowsze wieści. Będą szczęśliwi, że z Dennisem wszystko tak dobrze się ułożyło.

A ona była szczęśliwa, że między nią i Mikiem też wszystko tak dobrze się ułożyło. Spojrzała na niego i widząc jego uśmiech, poczuła się jeszcze szczęśliwsza.

– Nie sądzisz, że Dennis już dał im znać? – spytał.

– Nie, Annie na pewno nie pozwoli mu tknąć telefonu, dopóki twój znajomy do niego nie oddzwoni. Myślisz, że długo to potrwa?

– Nie, z pewnością zaraz się zgłosi. Twojego brata i twojej przyjaciółki pewno rano już tu nie będzie.

– I nawet my nie będziemy mieli pojęcia, gdzie są?

– Na tym to polega. Nikt nie będzie wiedział, ale tylko przez jakiś czas.

– Chwała Bogu. Wolałabym, żeby się nie musieli ukrywać przez całe wieki. – Skręciła w ulicę, przy której mieszkał ojciec, i powiedziała: – Wprost trudno mi uwierzyć, że znów są razem. I choć minęło tyle lat... Sam widziałeś, jak do siebie pasują. Są jakby...

– Stworzeni dla siebie? – odpowiedział. Stała przed domem, zgasiła silnik i spojrzała na niego. Wyraz jego oczu wprawił jej serce w drżenie.

– Tak, stworzeni dla siebie – potwierdziła. Jakby dobrali się w kocu maku.

– Może tak jest. Może tak się czasem zdarza, że niektórzy ludzie idą samotnie przez życie, bo nie dane im było spotkać właściwej osoby?

– Pewno tak bywa – szepnęła. Mike wziął ją za ręce.

– Lecz kiedy się już spotka tę właściwą osobę, nie powinno się pozwolić jej odejść.

Czekała bez tchu na jego dalsze słowa, a on tymczasem ujął jej twarz w dłonie i wycisnął na jej ustach długi pocałunek.

– Nadal jesteś gotowa przyjechać do mnie do Los Angeles?

– Jeśli ty nadal tego chcesz.

– Prawdę mówiąc, myślałem o czymś więcej niż o krótkiej wizycie.

– Tak? – szepnęła, bojąc się odetchnąć. Pocałował ją jeszcze raz i szepnął:

– Wyjdiesz za mnie, Claudio?

Gardło miała tak zaciśnięte, że nie była w stanie wydobyć słowa.

– Wiem, że to może wydawać ci się zbyt pospieszne – szeptał w jej włosy – ale nie chcę cię tu zostawiać i wracać do domu bez ciebie.

– A miłość od pierwszego wejrzenia stanowi tradycję w twojej rodzinie. – Wreszcie odzyskała głos. – Więc należałoby się raczej martwić, gdyby to nie było pospieszne.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– Tak.

– Wobec tego pozostaje tylko jeden poważny problem.

Te słowa zmroziły jej krew w żyłach. Nie chciała słyszeć o żadnym problemie, a co dopiero poważnym.

– Jaki? – wykrztusiła.

– Musimy zdecydować, co obwieścimy najpierw: nowinę o Dennisie czy o nas.

Jego uśmiech wyraźnie mówił: „Mam cię!” Claudia odetchnęła głęboko, starając się nie pokazać po sobie, że naprawdę ją przestraszył.

– Jest jeszcze parę innych, bardziej realnych problemów, Mike – oświadczyła, z satysfakcją obserwując, jak mina mu rzędzie. – Na przykład nie wiem, czy w twoim mieszkaniu znajdzie się miejsce dla psa i kota.

– Naturalnie. Mam dom w Santa Monica. Nie jest może zbyt duży, ale na pewno ci się spodoba. A Santa Monica jest piękne. Bardziej przypomina małe miasteczko niż przedmieście Los Angeles.

– Miałam wrażenie, że mieszkają tam wyłącznie gwiazdy filmowe.

– Tylko kilka. Większość z nas to zwykli zjadacze chleba. Ale czy taki polarny pies jak Morgan będzie się dobrze czuł w ciepłym klimacie?

– Żartujesz? On nienawidzi mrozu. Dałby wszystko, żeby mieszkać w Kalifornii.

– No to będzie mi po prostu winien przysługę. Czy to już załatwia te realne problemy?

– Nie całkiem – odparła, zdecydowana nie ustępować mu tak łatwo. – Jest jeszcze jedna, najpoważniejsza sprawa. Skąd mam wiedzieć, że nie chcesz się ze mną ożenić tylko dlatego, że mój brat ma trzydzieści milionów dolarów?

– Co byś powiedziała, żebyśmy spisali intercyzę przedślubną, w której zobowiążę się nigdy nie brać od niego żadnych pieniędzy?

– Hmm... To mogłoby być rozwiązanie.

– Oczywiście – dodał, kiedy wysiedli z jeepa – to mnie nie powstrzyma od poproszenia go raz czy drugi o jakiś ładny drobiazg na urodziny. Na początek może być na przykład wyścigowe ferrari, a w następnym roku jakiś zgrabny jacht. Nie miałabyś chyba nic przeciwko temu?

– Bardzo śmieszne.

– To właśnie pociąga cię we mnie najbardziej? – spytał, kiedy wchodzili po schodach. – Moje poczucie humoru? Czy mój dar ubierania choinek? A może moje umiejętności w innych sprawach?

Roześmiała się. Była pewna, że Mike zawsze będzie zdolny wprawić ją w dobry humor.

– Powiem ci później, co mnie pociąga najbardziej – powiedziała, otwierając drzwi i wchodząc do środka. – Tato? Lucille? – zawołała. – To ja.

– Może nie ma ich w domu.

– Światła są zapalone, a samochód i skuter stoją na podjeździe. Tato? Lucille?

– Jesteśmy w piwnicy – dobiegł ich głos Lucille.

Claudia położyła torebkę na stoliku w przedpokoju i ruszyła przez dom.

– Wiesz – powiedział Mike, podążając za nią – ostatnio mam jakąś dziwną awersję do piwnic.

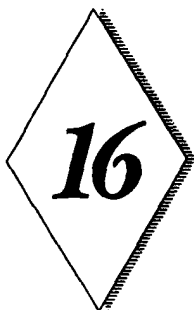
– Ta jest całkowicie bezpieczna. Kiedy byliśmy dziećmi, Dennis i ja bawiliśmy się w niej całymi dniami. Ale jeśli chcesz, możesz wziąć mnie za rękę – dodała, ściskając mu dłoń i schodząc w dół. – Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że zdecyduję się wyjść za mężczyznę, który boi się piwnic.

– Wcale się nie boję.

– Mam wrażenie, że jednak. Co będzie, kiedy wysiądą korki? Albo pralka? Albo...?

Nagle zamarła, czując, że uginają się pod nią kolana, a serce podchodzi do gardła. Jej ojciec leżał bez ruchu na podłodze, z rozbitą głową i twarzą zalaną krwią.

Nad nim stało dwóch mężczyzn z bronią w rękę. Jeden celował w nią, a drugi trzymał na muszce Lucille.



Mike'owi krew zastygła w żyłach, ale nie tracąc głowy, w ułamku sekundy ocenił sytuację. Dwóch mocno opalonych, gładko uczesanych oprychów idealnie pasowało do opisu gangsterów dybiących na życie Dennisa. Długa lina leżąca przy Raymondzie świadczyła o tym, że chcieli go związać. Co przynajmniej znaczyło, że go nie zabili.

– To jego siostra, tak? – spytał niższy z nich Lucille. – A ten facet?

– Przyjaciel – odpowiedziała Lucille przerażonym głosem.

– Tato? – szepnęła Claudia, jakby wychodząc z transu.

Chciała do niego podbiec, ale Mike chwycił ją za ramię i mocno przyciągnął do siebie.

– To mój ojciec! – krzyknęła do napastników: – Coście mu zrobili?

– Zamknij się – warknął ten, który nie spuszczał z niej lufy. – Nic mu nie jest.

– Uderzyli go – zaszlochala Lucille, wycierając oczy. – Pistoletem.

– Puść ją i stawaj pod ścianą! – zarządził ten drugi, wymachując bronią w kierunku Mike'a.

– Rób, co mówią i nie sprzeciwiaj się – szepnął jej do ucha, odchodząc na bok.

– Zmiana planów – powiedział ten niższy. Nie możemy wziąć z sobą wszystkich, więc ty tu z nimi zostaniesz...

– Boja wiem, Rocco...

– Zostaniesz – powtórzył Rocco stanowczo – a ja z Claudią pojedę do

tego domku nad jeziorem.

– O mój Boże – szepnęła Claudia. – Powiedziałaś im, gdzie jest Dennis.

– Musiałam! Chcieli zabić Raymonda!

– To godzina drogi stąd, tak? – spytał Rocco Claudii. Nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał, wskazując na Lucille: – Ona tak powiedziała. Mam w samochodzie telefon. Zadzwoń tu, kiedy już porozmawiam z twoim bratem:

– Wcale nie chcesz z nim rozmawiać! Chcesz go zabić!

– Najpierw spróbujemy porozmawiać. Zobaczymy, jak nam pójdzie. Ale nie chcę, żebyś wodziła mnie bez sensu w te i we wte, więc jeśli nie zadzwonię tu za jakieś, powiedzmy, półtorej godziny, tatuś, ta pani i twój przyjaciel znajdują się na tamtym świecie. Zrozumiałaś?

– Claudia? – odezwał się Mike.

Kiedy na niego spojrzała, starał się przekazać jej wzrokiem, że zrobi wszystko, aby ich uratować.

– Rób, co ci ten facet każe – powiedział. – Jedź prosto do Dennisa.

– Lepiej posłuchaj swojego kochasia – przytaknął Rocco.

Mike poczuł wściekłość.

– Jeśli tylko ją tkniesz – zagroził – jesteś trupem.

– Uhm – sarknął Rocco. – Cały się trzęsę. Chodźmy. – Pociągnął Claudię za ramię.

Kiedy trzasnęły za nimi drzwi, Mike zwrócił się do pilnującego ich opryszka:

– Co z nim? – Wskazał głową Raymonda. – Ma się wykrwawić na śmierć? Może przynajmniej podłożmy mu coś pod głowę.

Zerknął na Lucille, prosząc ją wzrokiem o pomoc. Musiała go zrozumieć, bo zaczęła głośno lamentować:

– O mój Boże, Raymond umrze! Trzeba coś zrobić, trzeba coś natychmiast zrobić!

Szlochała tak histerycznie, że w końcu mężczyzna warknął:

– Cicho już. Dajcie mu coś pod głowę. Nie ty! – krzyknął, kiedy Mike się poruszył. – Ona.

Wciąż łkając, Lucille spojrzała spod oka na Mike'a.

– Pomogę ci – zaofiarował się, robiąc krok w jej kierunku.

– Mówiłem, żebyś się nie ruszała!

Mężczyzna podszedł i wymierzył mu pistolet prosto w pierś.

A więc jest już dostatecznie blisko – gdyby tylko Lucille zrobiła coś, żeby sięgnąć uwagę bandyty.

– Dobrze, dobrze... – powiedział uspokajająco, podnosząc wolno ręce do góry. – Nigdy się nie sprzeciwiam facetowi z bronią w ręku.

– Słusznie. Wracaj pod ścianę.

W tym momencie Lucille potknęła się i upadła. Opryszek odwrócił w jej

stronę głowę, a Mike błyskawicznie rzucił się na niego, z całej siły rąbiąc go splecionymi dłońmi w kark. Wylądowali na podłodze, przygniatając krzyczącą wniebogłosy Lucille. Po chwili jednak to już nie ona, lecz napastnik krzyczał.

Mike wyrwał mu pistolet z ręki i przyłożył do gardła, z satysfakcją widząc, że Lucille omal nie oderwała mu ucha.

– Dobra robota – pochwalił ją: – Podaj mi tę linę. Umiesz posługiwać się bronią?

– Tak.

– Nie zawahasz się strzelić mu w łeb, jeśli się poruszy?

– Mogę to zrobić, nawet jeśli się nie poruszy.

Widząc, że Lucille nie żartuje, Mike szybko ją zapewnił:

– Raymondowi nic nie będzie. Rany głowy zawsze mocno krwawią. Trzymaj więc tylko naszego przyjaciela na muszce, dopóki porządnie go nie zwiążę.

Spętał z wprawą ręce i nogi bandyty, wziął od niej pistolet i powiedział:

– Jadę nad jezioro. Zadzwoń do lekarza, na policję i do Dennisa. Gdzie są kluczyki do skutera Raymonda?

– Na stole kuchennym.

Wbiegł na schody, kiedy za nim zawołała.

– O co chodzi? – spytał niecierpliwie. Liczyła się każda sekunda.

– Zapomniałam, że jego skuter jest rozebrany. Raymond coś przy nim naprawiał. Musisz wziąć furgonetkę.

Klnąc pod nosem, wyszedł na dwór i zobaczył, że jeep Claudii wciąż stoi na podjeździe. I w nagłym przeblysku przypomniał sobie, że zostawiła torebkę z kluczykami na stole w przedpokoju. Ale mimo wszystko jak ma wyprzedzić Rocca w drodze do domku Dennisa, jeśli nie będzie mógł jechać na przelaj przez pola?

Claudia, odrętwiała ze strachu, siedziała bez ruchu na przednim siedzeniu samochodu gangsterów, nie widząc żadnego wyjścia z sytuacji.

– Na lewo i prosto – wykrztusiła kolejną instrukcję.

– Na pewno?

– Tak. Jesteśmy prawie na miejscu.

Niestety, była to prawda: Gdyby skierowała Rocca w złą stronę, jego kumpel zabiłby ojca, Lucille i Mike'a. Na samą myśl o tym oczy wypełniły się jej łzami. Kochała ich wszystkich i tak bardzo pragnęła zostać żoną Mike'a...

– Twój brat ma broń? – spytał Rocco.

– Nie – skłamała.

W domku była broń myśliwska. Więc może, przypadkiem, Dennis zdąży zastrzelić Rocca, zanim... Ale wtedy Rocco nie zadzwoni do swojego kumpla i tamten zabije ich wszystkich. Z tej sytuacji nie ma wyjścia...

– Daleko jeszcze?

– Już tu. Na prawo.

Kiedy skręcał, marzyła, żeby Dennis i Annie dostrzegli światła reflektorów. I w tym momencie Rocco je zgasił. Połykając łyżę, mówiła sobie, że przynajmniej powinni usłyszeć warkot silnika samochodu, tak jak zawsze słyszeli jej skuter. Ale skuter jest o tyle głośniejszy... Mogłaby nacisnąć klakson albo krzyknąć, żeby ich ostrzec – lecz wtedy byłoby już po niej.

– Czyżby oczekiwali gości? – spytał, zatrzymując się kilkadziesiąt metrów od domku. – Wiesz coś o tym?

Potrząsnęła głową, patrząc przez szybę. Nad frontowymi drzwiami paliło się światło. Oświetlało skuter Lucille i... Ocierając łyżę z oczu, starała się odzyskać jasność widzenia.

– Posłuchaj uważnie – mówił Rocco. – Wsiądziesz teraz z samochodu, spokojnie i grzecznie, i wolnym krokiem podejdziesz do drzwi. Pamiętaj, że cały czas mam cię na muszce, więc nie próbuj robić żadnych numerów.

Potrząsnęła głową, jakby jej to nawet nie przyszło na myśl.

– Ja będę szedł pół kroku za tobą. Zapukasz i powiesz bratu, że to ty. Jasne?

– Tak – szepnęła. – No to chodźmy.

Trzęsącymi się rękami otworzyła drzwi samochodu i wolno wysiadła, rozglądając się ukradkiem wokół. Nie widziała nic podejrzanego. Oprócz tego, że nigdzie nie było furgonetki, a skuter stał zaparkowany pod samymi drzwiami. Tuż pod lampą, żeby nie mogła przeoczyć, że to wcale nie jest skuter Lucille, lecz jej własny. Ale jak to możliwe?

Czując oddech Rocca za plecami, szła wolno, krok za krokiem, bojąc się, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Kiedy zbliżyli się do wejścia, drzwi nagle otworzyły się i stanęła w nich Annie.

– Claudia! – powiedziała. – Co za miła niespodzianka. A ty – zwróciła się do Rocca – musisz być tym przyjacielem, którego Dennis zaprosił na święta? Wyjechał furgonetką po skrzynkę piwa, ale zaraz będzie z powrotem. Wejdźcie, proszę.

Claudia przekroczyła próg na uginających się nogach, a tuż za nią Rocco.

– Cudownie cię znów widzieć – powiedziała Annie, biorąc ją w ramiona, a do Rocca dodała: – Zamknij drzwi, dobrze? – Zatrzymała na nim wzrok na ułamek sekundy i przyciągnęła Claudię do siebie. W momencie, kiedy szepnęła: – Schyl się – dał się słyszeć trzask drzwi i łomot, zwieńczony głuchym odgłosem upadku.

Przed Claudią wyrósł nagle Dennis ze sztucercem w rękę, a zza pleców

usłyszała głos Mike'a:

– Już po wszystkim.

Odwrociła się gwałtownie. Stał przy drzwiach, a pod jego nogami leżał zwinięty w kłębek Rocco. Popatrzyła przez chwilę na nieruchome ciało i przeniosła wzrok na Mike'a. Najwyraźniej ogłuszył go trzymanym w rękę pistoletem, ale nie miała pojęcia, skąd się tutaj wziął.

– Mike był za drzwiami, kiedy je otwierałam – powiedziała Annie.

I wtedy nogi odmówiły Claudii posłuszeństwa. Zachwiała się i niechybnie by upadła, gdyby Mike nie chwycił jej w ostatniej chwili w ramiona.

– Jak ci się udało uciec? – spytała, leżąc już wygodnie na kanapie.

– Musiało się udać. Pojechałem jeepem do twojego domu i wziąłem skuter, żeby móc jechać na przelaj. Strasznie się bałem, że nie zdążę. Umierałem ze strachu o ciebie – dodał, przytulając ją mocno.

– A ja o ciebie – szepnęła. – Co z tatą?

– Myślę, że się wyliże. Lucille zadzwoniła tu ostrzec Dennisa. Powiedziała, że lekarz jest już w drodze, a Raymond odzyskał przytomność i mówi, że nic mu nie jest.

– Dzięki Bogu. A ten bandyta?

– Albo jeszcze leży związany w piwnicy, albo jest już w areszcie.

– Tylko pod warunkiem, że policja pospieszyła się tam bardziej niż tu – mruknął Dennis. Jakby na zawołanie, rozległo się walenie w drzwi i okrzyk:

– Otwierać! Policja!

Claudia, Dennis i Annie słuchali z niepokojem rozmowy Mike'a z jego poufnym informatorem na Florydzie. Sprawdzenie Rocca i jego współnika zajęło mu niecałą godzinę, lecz zanim oddzwonił, całej trójce czas dłużył się w nieskończoność. Bo gdyby ci dwaj okazali się członkami dużego gangu, ich kumple mogliby szukać zemsty.

– Masz szczęście, Dennis – powiedział Mike, odkładając słuchawkę. – To tylko dwa małe rzezimieszki.

– To znaczy, że nie musimy się ukrywać? upewniła się Annie.

– Wygląda na to, że Dennis może się już czuć bezpieczny. Oczywiście lepiej uważać, kiedy pojedzie na Florydę składać zeznania w sądzie, na wypadek gdyby trafili się jacyś dawni kolesie z przerostem ambicji. Ale generalnie, jak słyszę, możesz spać spokojnie.

– Dobry Boże – westchnął Dennis. – Kamień spadł mi z serca. Tobie chyba też, Mike – dodał z uśmiechem. – Podobno Iggy ci zagroził, że zostaniesz tu choćby do Wielkanocy, jeśli nie zidentyfikujesz Mikołaja. Teraz możesz już opowiedzieć wszystkim całą historię.

– Iggy powinien być zadowolony – powiedział Mike.

– Zadowolony? – powtórzyła Claudia. – Mam nadzieję, że z nadmiaru szczęścia nie dostanie zawału. W końcu mamy dla niego wymarzone zakończenie cyklu Mike’a, sensację na temat spółki Hillstead i jakby tego było jeszcze za mało, mrozący krew w żyłach kryminał z udziałem Rocca i jego kumpla.

– Moja siostra nigdy nie lubiła robić nic połowicznie – powiedział Dennis z sarkazmem.

– Zauważyłem – roześmiał się Mike. – Ale wracając do Iggy’ego, nie uważasz, że najwyższy czas przekazać mu materiał choćby przez telefon? Jest już prawie dziesiąta. Biedak gotów dostać tego zawału ze zmartwienia.

Była już prawie jedenasta, kiedy Claudia odłożyła słuchawkę.

– I co? – spytał Dennis. – Iggy szczęśliwy?

– Jest w siódmym niebie. Mówi, że nakład nam wzrośnie niebotycznie i setki nowych reklamodawców będą pukać do naszych drzwi. Jest tylko jeden problem – dodała. – On naprawdę wierzy, że nasza sytuacja poprawi się na stałe, a tak przecież nie będzie. Wszyscy nowi prenumeratorzy czy reklamodawcy wcześniej czy później się wycofają. Mam przez to wyrzuty sumienia, jeśli chodzi o mój wyjazd do Los Angeles. Czuję się, jakbym opuszczała tonący statek.

– Wiesz – powiedział Mike, całując Claudię we włosy – jest coś jeszcze, co Iggy powinien wypróbować. Coś, co zdało egzamin w innych małych gazetach.

– No, co?

– Mówiłaś, że przez ostatnie lata wyjechało stąd sporo stałych mieszkańców. Wielu z nich na pewno byłoby zainteresowanych tym, co się tu obecnie dzieje.

– Na tyle zainteresowanych, żeby opłacić prenumeratę? – spytała Annie sceptycznie.

– Może nie codzienną i nie od razu, ale wiem, że niektóre gazety wysyłają na próbę darmowe egzemplarze niedzielnego wydania przez, powiedzmy, pół roku. Ludzie przyzwyczajają się do czytania ich i zdumiewająco wiele osób zamawia później prenumeratę.

– Naprawdę? – ożywiła się Claudia.

– Wiem, że sprzedaż jednego wydania więcej na tydzień nie jest czymś oszałamiającym, ale jeśli się zliczy razem wszystkie zamówienia... Poza tym dawni mieszkańcy chętnie kupują dla pozostałych tu krewnych prezenty u lokalnych kupców, co tych z kolei zachęca do dawania ogłoszeń.

– Więc dlaczego Wentworth nie proponuje tego sposobu swoim małym gazetom?

– Ponieważ to by go kosztowało trochę pieniędzy, a także wymagało czasu i cierpliwości. Z tego, co wiem, należy do ludzi, którzy chcą natychmiast widzieć efekty swoich decyzji. I był najwyraźniej przygotowany łożyć na deficytowe pisma jeszcze tylko kilka tygodni.

– Więc gdyby ktoś pożyczył Iggy’emu pieniądze na wypróbowanie tego pomysłu...?

Claudia spojrzała na Dennisa. Potem Annie spojrzała na Dennisa.

– Czy tak właśnie wygląda los ludzi bogatych? – roześmiał się.

– Byłeś już Świętym Mikołajem w stosunku do tylu osób – powiedziała Claudia – że jedna więcej nie powinna ci robić różnicy.

– Święta racja. Jeśli to pozwoli ci wyjechać do Los Angeles bez wyrzutów sumienia...

– Wiesz, braciszku, jak na multimilionera nie jesteś wcale taki zły.

Claudia nie zapaliła światła w salonie, kiedy wreszcie dobrnęli do domu. Ale poświata księżycy wpadała prosto przez okno, a lampki na choince migotały jak gwiazdeczki. Morgan i Duch, zwinięci obok siebie, spali przy nogach kanapy.

– Szczęśliwa? – spytał cicho Mike, całując ją w kark.

– Ogromnie. Dennis jest bezpieczny, ojciec wyzdrowieje, a to najlepsze...

– Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– To ja? – uśmiechnął się. – Ja jestem to najlepsze?

– Bez wątpienia. Tak sobie myślę...

– Mmm...?

– W przyszłym tygodniu jest Boże Narodzenie. Czy musisz naprawdę wracać w sobotę?

– Chcesz, żebym został?

– Bardzo. Lucille robi cudownego indyka. I będą to pierwsze święta od dawna z Dennisem. I nasze pierwsze święta. Ale pewno jesteś już zaproszony do swojej rodziny...

– Tak, to prawda, lecz oni mnie nie rozumieją. Pod warunkiem, że przedstawię im dostatecznie ważny powód.

– Czy ja jestem dostatecznie ważna?

– Jesteś najważniejsza na świecie.

Pocałował ją gorąco, a potem usiadł na kanapie i spleceni w uścisku, podziwiali migającą światelkami choinkę.

– Dobrześmy się z nią spisali, prawda? – spytał Mike.

– A co będzie w przyszłym roku? W Santa Monica? Nie musimy mieć sztucznego drzewka, prawda? Możemy mieć prawdziwą choinkę?

– Możesz mieć wszystko, co tylko zechcesz.

– Już mam wszystko, co chcę – szepnęła. – Tu, w tym pokoju.

– Co masz? – spytał, rozglądając się wokół. – Mówisz o swoim pachnącym świerku? O Morganie i Duchu?

– Bardzo śmieszne – szepnęła.

A potem zaczęła go całować z taką pasją, że nie miał już wątpliwości, czego naprawdę chce.



Czternaście miesięcy później

Claudia wracała do domu, czując lekki zamęt w głowie. Machinalnie skręciła w obsadzoną palmami ulicę spokojnej, tonącej w kwiatach dzielnicy, którą tak lubiła. Stała na podjeździe, wyjęła pocztę ze skrzynki i odczekała, aż Morgan wykona swój rytualny taniec opuszczonego psa. Duch, który leżał na stole w holu, otworzył jedno oko i spojrzał na niego z niesmakiem.

– Przygotuj się na wielkie zmiany, piesku powiedziała, poklepując go czule.

Wypuściła Morgana do ogrodu i patrząc przez oszklone drzwi na bujną zieleń myślała, ile już zmian zaszło ostatnio w jej życiu. Została żoną Mike'a i przeniosła się z mroźnej północy do słonecznej Kalifornii. Zapisała się na studia dziennikarskie i ostatnio jeden z głównych magazynów kupił od niej artykuł – co zwiastowało dobry początek.

Rzuciła okiem na nadesłaną korespondencję, wyjmując kartkę z pozdrowieniami z Hawajów. Dennis co rusz wysyłał ojca i Lucille na egzotyczne wycieczki, realizując ich długoletnie marzenia. On i Annie też wiele podróżowali. Przeznaczyci część pieniędzy na cele charytatywne, a teraz przemyślivali nad tym, gdzie chcieliby osiąść na stałe.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, kiedy Mike wróci z redakcji. W końcu uznała, że nie jest w stanie dłużej czekać, pobiegła ponownie do

samochodu i pojechała do „Los Angeles Gazette”.

– O’Brian, masz gościa – powiedział Howie, który siedział przy sąsiednim biurku.

Na widok Claudii Mike poczuł to samo co zawsze ciepło wokół serca, ale dzisiaj to uczucie było zmieszane z niepokojem. Podszedł do niej szybko, z wyrazem oczekiwania w oczach. Robiła dziś rano badanie ultrasonograficzne i pewno dlatego tu przyjechała.

– No i co? – spytał, biorąc Claudię za rękę. – Wszystko w porządku? Naprawdę będę ojcem?

– Jak najbardziej.

Wziął ją w ramiona i uściśnął. Lekarz od początku twierdził, że wszystko jest dobrze, ale widzieć to czarno na białym to zupełnie co innego.

– Mike? – Odchyliła się i spojrzała mu w oczy. – Pamiętasz, jak zawsze mówiłeś, że powinniśmy mieć dwoje dzieci, jak twoje siostry? Że tylko dwójka tworzy prawdziwą rodzinę?

– Uhm... – powiedział niepewnie.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy mieli tę dwójkę za jednym zamachem?

– Chcesz powiedzieć, że to bliźniaki?

Pokiwała głową.

– Bliźniaki... – powtórzył, czując, że szczyrzy zęby jak idiota. Przyciągnął Claudię bliżej do siebie i powiedział: – Wiesz, Paquette, twój brat ma rację. Rzeczywiście nie lubisz robić nic połowicznie.

– Cóż, O’Brian, trudno powiedzieć, żeby to była wyłącznie moja robota, więc widocznie i ty nic nie robisz na pół gwizdka.

Roześmiał się głośno.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak cię kocham?

Uśmiechnęła się do niego promiennie, a on zaczął ją całować tak zapamiętale, że cała redakcja nagrodziła go brawami na stojąco.
